ZIEMKIEWICZ KONTRA SEMKA:

DMOWSKI CZY PIŁSUDSKI?

NR 3(133)/2024 MARZEC 2024

CENA 12,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO

DO RZECZY



RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

Polskie elity skaczą sobie do gardeł

WOJNA DOMOWA II RP

DO RZECZY HISTORIA

ISSN 2299-9515 Nr indeksu 296 031

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”

+ W PREZENCIE KSIĄŻKA **WIOLETTA SAWICKA: „WILCZE DZIECI”**

Dziecko wobec wojny jest zawsze ofiarą, niezależnie po której stronie frontu się urodziło.

Historie i świadectwa „wilczych dzieci”, czyli wojennych sierot z obecnych terenów Warmii i Mazur oraz obwodu kaliningradzkiego, które jeszcze długo po 1945 roku ukrywały się w lasach.

Upadek Trzeciej Rzeszy rozpoczął się z chwilą wkroczenia Armii Czerwonej do Prus Wschodnich, pierwszego terytorium Rzeszy, do którego dotarli sowieccy żołnierze. Rosjanie wystawili Niemcom bardzo wysoki rachunek za zbrodnie popełnione przez nazistów na froncie wschodnim. Bojowy szlak czerwonoarmistów znaczyły stosy bestialsko pomordowanych bezbronnych ludzi, masowe gwałty, grabieże, pożary i powszechna dewastacja mienia. Nikt nie był bezpieczny od żądnych zemsty sowieckich zdobywców. Śmiertelne żniwo wśród ludności cywilnej zbierał też przeraźliwy głód. Gdy umierały matki, dzieci, często kilkuletnie, zostawały same.

Według różnych źródeł w lasach i ruinach tych terenów ukrywało się około dziesięciu tysięcy sierot. Niektóre źródła podają, że nawet dwadzieścia tysięcy. By zdobyć cokolwiek do jedzenia, przemierzały pieszo wiele kilometrów. Przekradały się też na Litwę, gdzie żebrząc o żywność, miesiącami, czasem latami, tułały się od wioski do wioski. Kilka dekad później nazwano je wilczymi dziećmi.

Ktoś mógłby rzec - co to za nazwa! Ale czyż nie jesteśmy trochę, jak wilki? Razem z wilkami spędzaliśmy czas w lasach - mówi jedno z byłych „wilcząt”. To jest prawdziwa opowieść o nich.



155 zł

oszczędność 42 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO sp. z o.o.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 31615842ca

ADRES:
HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.HISTORIA.DORZECZY.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Włoczyk**
Redaktorzy: **Tomasz Stańczyk, Anna Szczepańska**

STUDIO GRAFICZNE:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

KOREKTA: Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska

OKŁADKA: Krzysztof Wyrzykowski

PORTAL DORZECZY.PL
redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

WYDAWCA:
Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

spółka notowana na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA

ZARZĄD PMPG POLSKIE MEDIA SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

ZARZĄD SPÓŁKI ORLE PIÓRO:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA
Adam Borzęcki
a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK Walstead Starachowice

PRENUMERATA WYDAWNICZA
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631
Od pn.–pt. w godz. 10–16
e-mail: prenumerata@pmpg.pl
https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna)
tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl
www.kolporter.com.pl
Garmond, tel.: +48 (12) 422 14 85
e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl
www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o., tel.: +48 (22) 649 41 61
www.glm.pl
Poczta Polska
https://prenumerata.poczta-polska.pl/

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Nowosielce, 29 czerwca 1936 r.

Generał Edward Śmigły-Rydz przybywa na uroczystość ku czci Michała Pyrza, chłopskiego bohatera z XVII w.



FOT. NAC

Od redaktora



Piotr Włoczyk

Spirala zemsty

Nienawidzące się polityczne plemiona, próby wypychania przeciwników poza margines i chęć odwetu, która przysłania interes narodowy – to wszystko już u nas było, ale w skali, która dziś nie mieści się w głowie nawet najbardziej zapalonym kibicom tej czy innej partii politycznej. Oczywiście wszyscy pamiętamy, że odrodzona II Rzeczpospolita była cudem. Państwem i społeczeństwem, które walecznie, z ogromnym poświęceniem obroniło swoje granice w sytuacji, gdy było otoczone właściwie ze wszystkich stron przez wrogów. Wskrzeszona Polska miała swoje ambicje, celowała wysoko – zarówno w kwestiach polityki wewnętrznej, modernizując kraj, jak i w sprawach zagranicznych – starając się nie popaść w zależność od żadnego z wielkich mocarstw. Jednak przy całym sentymencie do międzywojennej Polski, która dziś może się wydawać wzorem patriotycznego społeczeństwa, nie możemy jednak zapominać, że w tamtym czasie toczył się ostry konflikt polityczny, który przybrał nawet formę – na szczęście tylko kilkudniowej – wojny domowej z setkami ofiar.

Tomasz Stańczyk opisuje w swoim artykule (str. 6) najbardziej dramatyczne momenty politycznego konfliktu w II RP. Kolejne dwa teksty, które polecam Państwa uwadze, to dwugłos Rafała A. Ziemkiewicza i Piotra Semki na temat Józefa Piłsudskiego i Romana Dmowskiego i – szerzej – obozów, których twarzami byli obaj giganci przedwojennej Polski. Ostatni z tekstów bloku numeru o politycznej wojnie domowej w II RP to artykuł Sławomira Kopra o walce o władzę na emigracji po katastrofie wrześniowej. A także o aktach zemsty, nierzadko najpodlejszej, której dokonywali przedstawiciele naszej elity politycznej. I przyznać trzeba, że jest to wyjątkowo gorzka lektura. Państwo leżało w gruzach, społeczeństwo cierpiało pod batem okupantów, emigracyjne władze były kompletnie uzależnione od sojuszników, a nasi politycy znajdowali jeszcze w tym wszystkim czas i energię, by wyrządzać sobie nawzajem najgorsze podłości. ©℗

eprasa.pl 31615842ca



/ TEMAT NUMERU

.6 TOMASZ STAŃCZYK
Krew na pierwszych stronach

.11 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Polska Dmowskiego!

.14 PIOTR SEMKA
Polska Piłsudskiego!

.17 SŁAWOMIR KOPER
Emigracyjne polskie piekiełko

eprasa.pl 31615842ca



/ CZASY I LUDZIE

.22 LESZEK LUBICKI
Dwa mordy Konrada

.26 JAKUB OSTROMĘCKI
Biało-czerwony „Nautilus”

.30 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Rozpracowane powstanie

.34 MAREK GAŁĘZOWSKI
O kapitanie Elsenbergu i narodowym długu

.38 MIKOŁAJ IWANOW
Mobilizator Stalin

.41 WOJCIECH LADA
Zaginiona eskadra



.44 PIOTR WŁOCZYK
Salomon z Hitlerjugend

.50 ANNA SZCZEPAŃSKA
Niewolna Liberia

.54 LLOYD LLEWELLYN-JONES
„Leseferystyczne” imperium

.58 DARIUSZ SIKORSKI
Wikingowie u Piastów

/ CO CZYTAĆ

.62 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Retro Janusza Majewskiego

.66 RECENZJE

/ FELIETONY

.70 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Mordercze czytadło

.71 PIOTR SEMKA
Kto chce umierać za Essequibo?

/ BATALIE I WODZOWIE

.74 GRZEGORZ JANISZEWSKI
Pogromca „zielonych ludzików”

.76 MICHAŁ MACKIEWICZ
Werndle dla legionistów

/ TECHNIKA

.78 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Podniebny rajd braci Wright

/ POD PRĄD

.80 PIOTR ZYCHOWICZ
Masakra na Przełęczy Skorpionów

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
„Przyszła pora na Melchiora”

eprasa.pl 31615842ca



Zdjęcie z pogrzebu ofiar przewrotu majowego FOT. NAC

1922–1930 / Piłsudski, Narutowicz, Witos, Zagórski

Krew na pierwszych stronach



Tomasz Stańczyk

Zamach na głowę państwa, skrytobójstwo, trupy na ulicach Warszawy i Krakowa, uwięzienie polityków opozycji – to ponure epizody z dziejów konfliktów politycznych II RP

Wieść o zamordowaniu Józefa Piłsudskiego rozeszła się 6 grudnia 1922 r. po Warszawie lotem błyskawicy. Następnego dnia – nie było wówczas radia – o zamachu na Naczelnika Państwa dowiedziała się cała Polska. Eligiusz Niewiadomski, ceniony krytyk sztuki i malarz, widział to już oczami wyobraźni. Widział też siebie tamtego dnia, stojącego na otwarciu wystawy w kamienicy Baryczków tuż za plecami Piłsudskiego. Wyjmuje rewolwer z kieszeni i strzela do niego.

Tak miał wyglądać pierwszy mord polityczny w II Rzeczypospolitej. Niewiadomski wyznał: „Myśl o zamachu dla odebrania życia Naczelnikowi Państwa kiełkowała we mnie już dawno. Pierwszą chwilą było powołanie rządu ludowego. Od tego czasu podlegała pierwszym wahaniom i tłumieniom aż do chwili sprawy z gabinetem Korfantego. Stronność o pomstę do nieba wołającą, jaką okazał w tej sprawie, i język, jakim przemawiał p. Naczelnik Państwa do przedstawicieli sejmu, grożąc im, że zejdzie na ulicę i przemówi językiem ulicy, wreszcie niedotrzymanie zobowiązań przyjętych wobec Korfantego i Sejmu, że nie będzie przeszkadzał tworzeniu tego gabinetu,

eprasa.pl 31615842ca





Józef Piłsudski i Gabriel Narutowicz
FOT. NAC

wyjaśniły mi ostatecznie jego moralne i umysłowe kwalifikacje".

Eugeniusz Niewiadomski był nieprzejednanym wrogiem socjalistów i wszelkich ugrupowań lewicowych, uznawał też, że znajdują się one pod wpływem Żydów lub żydowskiej mentalności. Oburzyło go to, że Piłsudski powierzył w listopadzie 1918 r. sformowanie rządu Jędrzejowi Moraczewskiemu, członkowi PPS. Niewiadomski nie chciał zauważyć, że Naczelnik Państwa ustąpił wobec prawicy i zrezygnował z Ignacego Daszyńskiego jako kandydata na premiera, gdyż był on zbyt „czerwony" dla endecji. Co więcej, Moraczewski chciał, by do jego rządu weszli politycy endeccy, ale oni się na to nie zgodzili. Nie zauważył też Niewiadomski, że pakiet praw socjalnych, który wprowadził w życie rząd Moraczewskiego, był zaporą przeciw komunizmowi w Polsce.

W lipcu 1922 r. Komisja Sejmowa desygnowała Wojciecha Korfantego, lidera chrześcijańskiej demokracji, na stanowisko premiera. Piłsudski jako Naczelnik Państwa odmówił zatwierdzenia tej kandydatury. W rewanżu prawica usiłowała pozbawić Marszałka stanowiska, poprzez głosowanie w Sejmie nad wotum nieufności dla niego. Nie zebrała jednak potrzebnej większości głosów. Ostatecznie Sejm wycofał kandydaturę Korfantego. To wydarzenie zbulwersowało Niewiadomskiego. Na szczęście Niewiadomski przed dokonaniem zamachu na Piłsudskiego chciał skończyć swoje prace z zakresu teorii i historii sztuki. W listopadzie 1922 r. odbyły się wybory do parlamentu. Prawica, stronnictwa narodowe i chadeckie zyskały większość mandatów. Niewiadomski mógł odetchnąć z ulgą, jednak w grudniu miały nastąpić wybory prezydenta RP. Dość powszechnie spodziewano się, że Józef Piłsudski będzie kandydował, pewności jednak nie było. Niewiadomski powziął myśl zamordowania Piłsudskiego nie tylko ze względu na jego ewentualne kandydowanie. „Chodziło mi o to, by zarazem przekłuć ten balon (nie umiem inaczej tego określić) stronnictw socjalistycznych, wydęty popularnością Naczelnika Państwa. Raz przekłuty, sądziłem, że się okaże oczom wszystkich tym, czym istotnie jest, drobnym, nikłym woreczkiem".

Niewiadomski uznał Piłsudskiego za patrona socjalistów, lewicowców – ci zaś byli dla Niewiadomskiego samym złem i nieszczęściem dla Polski. Dlatego też postanowił zabić Piłsudskiego.

Postarał się o zaproszenie na otwarcie wystawy „Warszawa za Stanisława Augusta" w kamienicy Baryczków. Był przekonany, że 6 grudnia 1922 r. będzie ostatnim dniem życia Piłsudskiego. Jednak dzień wcześniej wziął do ręki gazetę i dowiedział się z niej, że Piłsudski nie zamierza ubiegać się o prezydenturę. Doznał – jak sam opowiadał – uczucia ulgi, że nie będzie musiał zabijać człowieka. Jednakże czuł gorycz, że sprawca najgorszych nieszczęść i „twórca Judeo-Polski" (określenie Niewiadomskiego) będzie nadal odgrywał ważną rolę w życiu politycznym Polski. Z zabójstwa zrezygnował, gdyż – jak mówił – „ofiarą byłaby tylko osoba fizyczna Piłsudskiego. Jego popularność, jego idee, jego duch byłyby pozostały i triumfowały. Czyn mój byłby uznany powszechnie



eprasa.pl 31615842ca

za czyn szaleńca i zbrodniarza. Zamiast wzmocnić ideę narodową, byłbym jej zadał cios. To było niepodobieństwem".

Zabójstwo bez nienawiści

Gabriel Narutowicz został wybrany na prezydenta Rzeczypospolitej dopiero w piątej turze głosowania. Padło na niego w Zgromadzeniu Narodowym 289 głosów, na kandydata prawicy – Maurycego Zamoyskiego – 227. Za Narutowiczem głosowali elektorzy z PPS, innych stronnictw lewicowych, mniejszości narodowych, a w ostatniej turze PSL „Piast". Tak więc to ludowcy, a nie mniejszości narodowe zdecydowali o wyborze Narutowicza. Endecja natomiast podkreślała, że większość elektorów Polaków głosowała na Zamoyskiego.

Prawica była w szoku i zareagowała brutalną kampanią, naznaczoną – jakbyśmy to dziś powiedzieli – „językiem nienawiści". Wybitny publicysta endecki Stanisław Stroński nazwał prezydenta elekta „Zawadą", a więc kimś, kogo należy usunąć, krzyczano o „żydowskim elekcie". Usiłowano nie dopuścić Narutowicza do Sejmu, by uniemożliwić mu złożenie przysięgi, starano się zatarasować drogę, obrzucono jego powóz grudami śniegu, błotem i kamieniami. Wreszcie przyszedł tragiczny dzień 16 grudnia: śmierć prezydenta Gabriela Narutowicza z rąk Eligiusza Niewiadomskiego podczas otwarcia wystawy w Zachęcie.

Do dziś z pełną premedytacją i do znudzenia powtarza się, że Gabriel Narutowicz padł ofiarą kampanii nienawiści prawicy, którą wywołał jego wybór na prezydenta. Rzekomo więc Eligiusz Niewiadomski miał działać pod wpływem tejże kampanii. To oczywista nieprawda. Niewiadomski od dawna przecież nosił w sobie myśl o zabiciu kogoś, kto jego zdaniem stanowi hańbę dla Polski, uosabia siły zła, za które uważał socjalistów i Żydów. Taką osobą był dla niego Piłsudski, taką też stał się Gabriel Narutowicz, po jego wyborze na prezydenta. Zabójca bynajmniej nie kierował się nienawiścią do niego, mówił o Narutowiczu, że jest to człowiek zapewne dobry i szlachetny. „Narutowicz, trzeba przyznać, nie był człowiekiem winnym. Padł ofiarą okoliczności, ofiarą sytuacji będącej poza nim. Gdyby przeszedł był większością polską albo gdyby wyboru nie przyjął, zamachu by nie było".



Generał Włodzimierz Zagórski

FOT. NAC

Po zabójstwie Narutowicza szykował się – być może – także znacznie bardziej krwawy scenariusz. Na ulicach dochodziło do starć sympatyków lewicy i prawicy, PPS planowało wielką manifestację, mogło podczas niej dojść do brutalnych porachunków z politykami prawicy. Grono warszawskich działaczy PPS i kilku piłsudczyków miało rozważać taki scenariusz. Ostatecznie groźbę rozlewu krwi ze strony lewicy i może wojny domowej powstrzymał swoim autorytetem lider socjalistów Ignacy Daszyński, przekonując, że moralna przewaga, którą zyskali przeciwnicy prawicy – posiadając własnego męczennika w osobie Narutowicza – zostanie zrujnowana, jeśli w odwecie zostaną zabici prawicowi politycy. Uważał zresztą, że „endecja popełniła polityczne samobójstwo".

Napięcie sięgało zenitu, dlatego też nowy premier, Władysław Sikorski, by zapobiec ulicznym konfrontacjom lewicy i prawicy, wprowadził stan wyjątkowy.

Krew jednak polała się na bruk niecały rok później. Rok 1923 był ciężki dla Polaków, szalały hiperinflacja, drożyzna i był to powód do robotniczych strajków. Jednakże – jak zauważał prof. Władysław Konopczyński – rząd Wincentego Witosa był atakowany przez socjalistów pod hasłem „precz z reakcją", choć za tym rządem stała większość wyborców, w tym dwie trzecie polskich. Jednocześnie endecję, współtworzącą gabinet Witosa, bezpardonowo atakował Józef Piłsudski. Proklamowany w listopadzie przez Polską Partię Socjalistyczną strajk powszechny miał nie tylko cele ekonomiczne, lecz także polityczne. 6 listopada w Krakowie doszło do tragedii. Policja usiłowała zablokować strajkującym dojście do Domu Robotniczego. Padły strzały, jeden, drugi. Kto strzelał – policja czy demonstranci – tego nigdy nie ustalono. Tak czy inaczej robotnicy zaczęli wyrywać broń z rąk asystujących policjantom żołnierzy, rozbrajać ich. Wzywano też wojsko do złożenia broni, a po odmowie zaczęto do niego strzelać. Ofiarami starć było 15 demonstrantów, trzech postronnych cywilów i 14 żołnierzy. Ku wściekłości komunistów, obecnych i agitujących wśród strajkujących, PPS porozumiał się jeszcze tego samego dnia z rządem: walki ustały, robotnicy zostali rozbrojeni, zaprzestano strajku generalnego, a rząd cofnął militaryzację kolei i zrezygnował z sądów doraźnych. Jeden z przywódców PPS, Mieczysław Niedziałkowski, oświadczył, że socjaliści postanowili nie kontynuować strajku powszechnego, gdyż mogło to grozić wojną domową, której Rzeczpospolita mogła nie przeżyć, mając za sąsiadów Niemcy i Rosję bolszewicką, z pretensjami do jej ziem.

Bratobójcza walka

W listopadzie 1925 r. do Sulejówka, gdzie mieszkał Józef Piłsudski, polityczny emeryt, ale publicznie bardzo aktywny, przyjechało ok. tysiąca oficerów z generałami na czele, by świętować kolejną rocznicę odzyskania niepodległości i uczcić jednego z jej budowniczych (dla piłsudczyków – jedynego budowniczego) – marszałka Piłsudskiego. Sensacją tego spotkania było przemówienie gen. Gustawa Orlicza-Dreszera, byłego legionisty, który zwrócił się następującymi słowami do Piłsudskiego: „Chcemy, byś wierzył, że gorące chęci nasze, byś nie zechciał być w tym kryzysie nieobecny […], nie są tylko zwykłymi uroczystościowymi komplementami, lecz że niesiemy Ci prócz wdzięcznych serc i pewne, w zwycięstwach zaprawione szable".

Było to niezawoalowane wezwanie, by Piłsudski powrócił do polityki i do władzy – jak trzeba będzie, to i siłą. Marszałek nie odpowiedział ani tak,

eprasa.pl 31615842ca

ani nie, lecz zapamiętał sobie deklarację oficerów. Chciał wrócić na naczelne stanowisko w wojsku, jednak na swoich warunkach, które odrzucał każdy rząd. Chodziło o ustalenie kompetencji szefa Sztabu Generalnego, Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych oraz ministra spraw wojskowych. Natomiast zwolennicy Piłsudskiego, byli legioniści, często z socjalistycznym rodowodem, czuli się zmarginalizowani w Polsce rządzonej przez prawicę, a wyobrażali sobie, że to właśnie oni, którzy przelewali krew w Legionach za sprawę polską, powinni odgrywać ważną, a może najważniejszą rolę w Polsce. Oczywiście nie chodziło tylko o personalne pretensje i ambicje Piłsudskiego oraz piłsudczyków. Marszałek ostro krytykował rządy parlamentarne, „rozwydrzone partyjnictwo", korupcję i nadużycia, handel posadami, wykorzystanie stanowisk państwowych dla osobistych korzyści, niestabilność państwa w wyniku często zmieniających się rządów.

Sformowanie w pierwszych dniach maja 1926 r. kolejnego rządu Wincentego Witosa – poprzedni z 1923 r. źle zapamiętano – było iskrą rzuconą na proch niezadowolenia przeciwników centroprawicy i oczywiście Józefa Piłsudskiego. Lewica, na czele z PPS, uznała utworzenie rządu Witosa za wyzwanie rzucone demokracji i groźbę wyzysku ludu pracującego. Marszałek postanowił na czele wiernych sobie oddziałów (tych „zaprawionych w boju szabel") wkroczyć do Warszawy i demonstracją zbrojną wymusić dymisję dopiero co powstałego rządu. Sądził, że jego autorytet jest tak wielki, że zostanie przepuszczony do centrum miasta i cała rzecz odbędzie się spokojnie. To znaczy: spokojnie dokona się zamach stanu, gdyż tym właśnie był plan wymuszenia dymisji rządu. Napotkał jednak opór ze strony prezydenta Stanisława Wojciechowskiego, z którym niegdyś drukował socjalistycznego „Robotnika", a potem wojsk wiernych rządowi. Rozpoczęły się kilkudniowe walki w stolicy. Socjaliści, a nawet komuniści, poparli Piłsudskiego. Ci pierwsi, mając swoich członków i zwolenników na kolei, paraliżowali transporty oddziałów wojskowych wezwanych przez rząd.

Generałowie broniący rządu opowiadali się za koniecznością prowadzenia walki aż do pokonania zbuntowanych oddziałów. Natomiast Piłsudski nie mógł się cofnąć, gdyż w przeciwnym razie, gdyby się poddał, czekałyby go sąd i surowa kara.

Prezydent Stanisław Wojciechowski uznał ostatecznie, że przedłużanie się walk może doprowadzić do wojny domowej, co stworzyłoby skrajnie groźną sytuację dla państwa. Było to stanowisko godne męża stanu. Wojciechowski zrezygnował z urzędu prezydenta, a w ślad za nim poszedł premier Wincenty Witos, zgłaszając dymisję gabinetu. Zgromadzenie Narodowe wybrało Józefa Piłsudskiego na prezydenta. Marszałek wyboru nie przyjął, oświadczył natomiast, że przyjmuje wynik głosowania jako zalegalizowanie dokonanego przez niego przewrotu… Ceną obalenia rządu Witosa i powrotu Piłsudskiego do władzy była śmierć 215 żołnierzy i 164 osób cywilnych.

„Zaginięcie" gen. Zagórskiego

Bezpośrednio po zamachu majowym zostało uwięzionych kilku generałów zaangażowanych po stronie rządu. Był wśród nich gen. Włodzimierz Zagórski, osobisty wróg Piłsudskiego z czasów służby w Legionach. Piłsudski zarzucał mu służenie Austriakom oraz działanie przeciw niemu, reprezentującemu stanowisko niepodległościowe. Zagórski był oficerem wywiadu i z tej racji mógł dużo wiedzieć o współpracy Piłsudskiego z austriackim wywiadem, a być może nawet dysponował związanymi z tym dokumentami. Ta wiedza była bardzo niebezpieczna dla Marszałka, mimo że współpraca służyła jak najbardziej sprawie polskiej.

Generała zamierzano oskarżyć o nieprawidłowości w zawieraniu umowy z Francuzami na dostawę samolotów wojskowych, narażenie Skarbu Państwa na straty, naruszenie przepisów budżetowych i innych. Choć Zagórski siedział w areszcie ponad rok, to nigdy nie doręczono mu aktu oskarżenia. Zamiast tego 6 sierpnia 1927 r. w wileńskim areszcie pojawił się kpt Lucjan Miładowski z nakazem zwolnienia generała. W jego towarzystwie Zagórski przyjechał pociągiem do Warszawy. Na Dworcu Wileńskim oczekiwał ich mjr Zygmunt Wenda. Oświadczył generałowi, że Marszałek nie może go dziś przyjąć do raportu, gdyż wyjechał już na zjazd Związku Legionistów Polskich do Kalisza, ale każe



Wiec Centrolewu w Warszawie, 1930 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl 31615842ca



Na ławie oskarżonych w procesie brzeskim. Od lewej: Józef Putek, Kazimierz Bagiński, Norbert Barlicki, Adolf Sawicki FOT. NAC

stawić mu się 8 lub 9 sierpnia. Cała trójka wsiadła do samochodu. Według zgodnych zeznań Miładowskiego i Wendy generał poprosił, by wysadzić go na Krakowskim Przedmieściu, gdyż chce skorzystać ze znajdującej się tam łaźni. Jednak policjant pełniący tamtego dnia służbę na Krakowskim Przedmieściu zeznał, że nie zauważył żadnego zatrzymującego się samochodu.

Nikt już więcej nie zobaczył gen. Zagórskiego. Ani żywego, ani martwego. Śledztwo w sprawie zaginięcia gen. Zagórskiego, a raczej dezercji, bo taką przyjęto wersję, skończyło się na niczym. Przed sędzią śledczym nie stawili się dwaj ważni świadkowie: Aleksander Prystor, szef gabinetu Piłsudskiego, oraz płk Bolesław Wieniawa-Długoszowski. Były próby skierowania śledztwa w kierunku przyjęcia tezy, że gen. Zagórski uciekł z kraju. Analizowano list z zagranicy pisany rzekomo ręką generała. Grafolodzy uznali, że to jego charakter pisma. Jednak po wojnie, w PRL, eksperci milicyjni wykluczyli taką możliwość.

Co się stało z Włodzimierzem Zagórskim – nikt tego nie wie. Uciekł z kraju czy został zamordowany? Ta druga możliwość jest znacznie bardziej prawdopodobna. Dokonanie zbrodni sugerował historyk Władysław Pobóg-Malinowski, zresztą piłsudczyk. Komentując pobicie przeciwników Piłsudskiego – byłego ministra Jerzego Zdziechowskiego, wybitnego publicysty Adolfa Nowaczyńskiego i pisarza Tadeusza Dołęgi-Mostowicza – pisał: „Jak w sprawie Zagórskiego (sic! – przyp. T.S.) tak i w tych brutalnych aktach sprawcy zacierali skrzętnie wszelkie ślady po sobie; podejrzenia szły w kierunku pewnej mafii, rekrutującej się z młodszych elementów legionowych, politycznie przeważnie głupców […]. Nie rozumiało to niemądre grono, jak wielką krzywdę robi swoimi metodami Piłsudskiemu właśnie”.

Jest więc możliwe, że owa piłsudczykowska mafia, wiedząc, że Zagórski jest człowiekiem znienawidzonym przez Marszałka, bez wiedzy Piłsudskiego postanowiła zlikwidować generała. O tym, że Zagórskiego zamordowali oficerowie piłsudczycy, był przekonany gen. Edward Śmigły-Rydz, który wyraził to w rozmowie z gen. Józefem Kordianem-Zamorskim i wymienił nawet nazwisko jednego z oficerów. W 1940 r. Bolesław Wieniawa-Długoszowski, ambasador we Włoszech, powiedział w rozmowie z attaché wojskowym płk. Marianem Romeyką: „Panie, czy pan wie pan, że mnie oskarżają, żem zabił Zagórskiego? Ja? Ja? Przysięgam, że go nie zabiłem”. Tym samym Wieniawa stwierdził, że jednak ktoś zamordował generała.

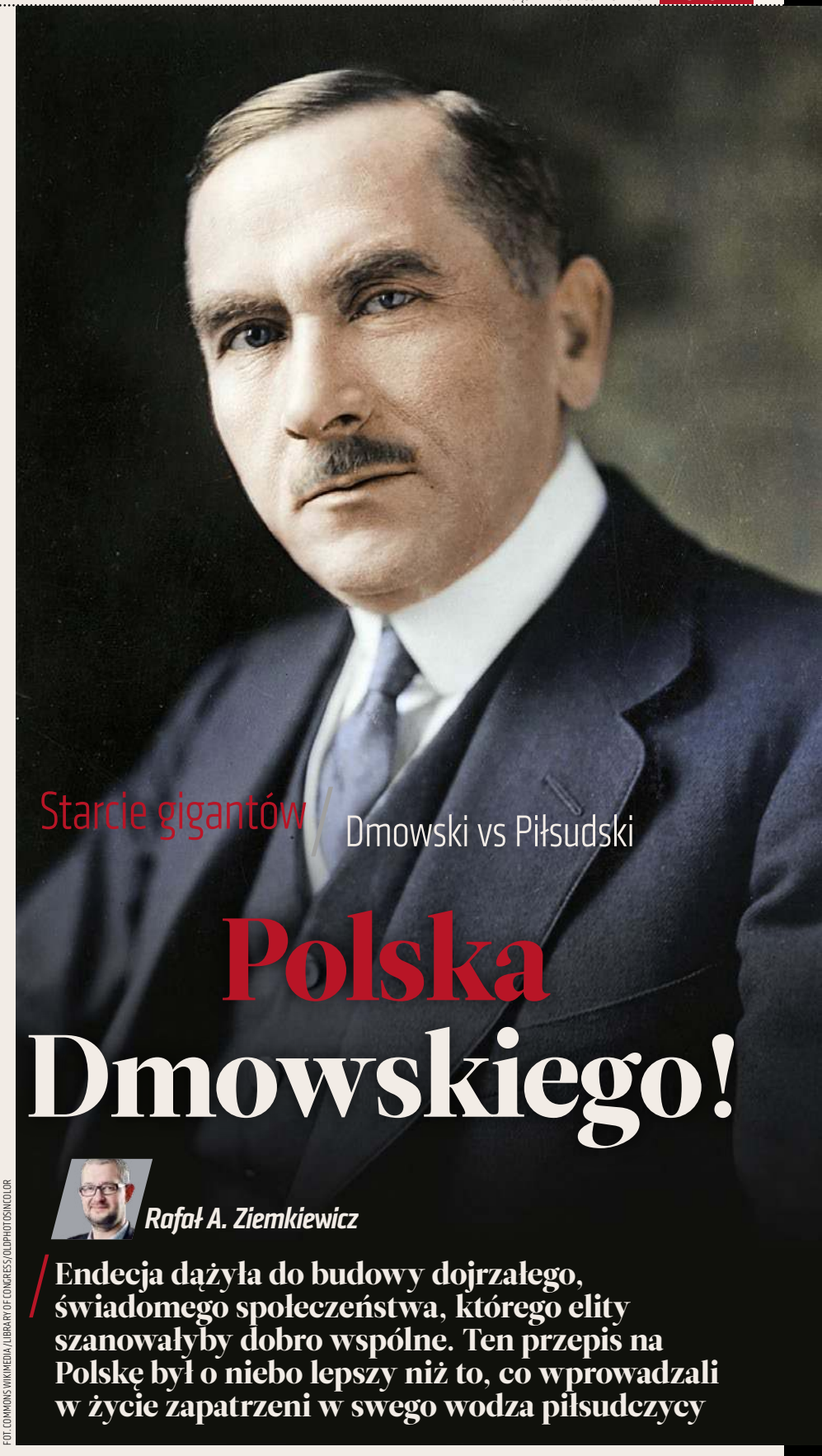
Więzienie dla opozycji

Polska Partia Socjalistyczna, która zawsze popierała Józefa Piłsudskiego i pomogła mu znacznie w dojściu do władzy w maju 1926 r., dość szybko po zamachu majowym – widząc autorytarne rządy jego ekipy – przeszła do zdecydowanej opozycji. Sejm wbrew woli Piłsudskiego wybrał na stanowisko marszałka nie jego kandydata, Kazimierza Bartla, lecz socjalistę Ignacego Daszyńskiego. Wyraził też głosami lewicy i prawicy wotum nieufności dla rządu Kazimierza Świtalskiego. Opozycja dysponowała większością głosów, tak więc mogła torpedować każdy rząd piłsudczyków. Wreszcie ukształtował się opozycyjny blok partii centrowych i lewicowych, nazwany Centrolewem. Na kongresie krakowskim w czerwcu 1930 r. padły hasła walki o usunięcie dyktatury Józefa Piłsudskiego, aż do zwycięstwa, żądano ustąpienia prezydenta Mościckiego i stworzenia rządu opartego o zaufanie społeczeństwa. Miało się to stać raczej nie w drodze wyborów, dopiero za dwa lata, ale możliwie jak najwcześniej, być może w wyniku „demokracji ulicznej”. Na 14 września zapowiedziano wielkie manifestacje w całej Polsce. Piłsudski uważał, że mogą one doprowadzić do obalenia rządów jego obozu i przywrócić przedmajowe „partyjnictwo” i „sejmokrację”. Postanowił do tego nie dopuścić. Na jego wniosek prezydent Mościcki rozwiązał parlament. Kilka dni przed zapowiedzianymi ogólnopolskimi protestami rozkazał aresztować niechronionych już immunitetem poselskim czołowych polityków opozycji, z Wincentym Witosem na czele. Sam sporządził listę kilkunastu polityków PPS, PSL „Piast” i PSL „Wyzwolenie”. Zostali oni uwięzieni w wojskowym więzieniu w twierdzy brzeskiej, gdzie traktowano ich bardzo brutalnie – zastraszano, poniżano, bito i, z wyjątkiem Witosa, symulowano egzekucję.

Polityków opozycji oskarżono o próbę siłowej zmiany rządu. W procesie brzeskim zapadły wyroki skazujące na kary więzienia, maksymalnie cztery lata. W 2023 r. Sąd Najwyższy uchylił te wyroki, stwierdzając: „Proces brzeski był przykładem instrumentalnego wykorzystania sądów i prawa do prześladowania przeciwników politycznych, do zastraszenia polityków opozycji i wyborców”. Prawo wobec opozycji było zatem stosowane przez rządzących według zasady „prawo – tak jak my je rozumiemy”. Poprzez aresztowanie posłów opozycji i wyroki więzienia „nadwerężono, i to niezwykle poważnie, kształtujące się dopiero u obywatela poczucie prawnego ładu. Ugruntowywano przekonanie, że władza może pozwolić sobie niemal na wszystko” – pisał prof. Włodzimierz Suleja, biograf Marszałka.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 31615842ca



Starcie gigantów / Dmowski vs Piłsudski

Polska Dmowskiego!

Rafał A. Ziemkiewicz

Endecja dążyła do budowy dojrzałego, świadomego społeczeństwa, którego elity szanowałyby dobro wspólne. Ten przepis na Polskę był o niebo lepszy niż to, co wprowadzali w życie zapatrzeni w swego wodza piłsudczycy

Zdanie, które najlepiej streszcza istotę myśli Romana Dmowskiego, nie pochodzi od niego samego. Najzwięźlej i najtrafniej to, o co chodziło Narodowej Demokracji, ujął jej prekursor, niesłusznie dziś zapomniany założyciel Ligi Polskiej (przekształconej z czasem w Ligę Narodową) Zygmunt Fortunat Miłkowski. We wstępie do programowej broszury Ligi – „Rzecz o obronie czynnej i Skarbie Narodowym" – zawarł genialnie proste zdanie: „Żołnierz nie na to idzie w bój, aby go zabito, ale by wygrał".

Kto jak kto, ale Miłkowski (bardziej znany pod literackim pseudonimem Teodor Tomasz Jeż, pod którym publikował powieści przygodowe i podróżnicze) coś o tym wiedział, jako jeden z polskich żołnierzy tułaczy, konspirator i uczestnik kolejnych narodowych powstań (ciekawostką jest, że próbując się w 1863 r. ze sformowanym w Turcji legionem polskim przebić do Polski, stoczył jedyną w naszych dziejach bitwę z wojskami rumuńskimi, pod Kostangalią, zresztą zwycięską). Właśnie doświadczenie powstańcze kazało mu zająć się ostatecznie polityką po to, by skończyć wreszcie z „chodzeniem w bój bez broni". Celem Ligi Polskiej, wyznaczonym we wspomnianej broszurze, było odwrócenie dotychczasowego powstańczego zwyczaju, zgodnie z którym najpierw ogłaszany był narodowy zryw zbrojny – zwykle przez nieodpowiedzialnych, młodych zapaleńców, zwołujących wszystkich, by „stanęli na zew" – a potem dopiero zastanawiano się, co dalej.

Miłkowski oraz jego o pokolenie młodsi uczniowie – Jan Ludwik Popławski, Zygmunt Balicki i Roman Dmowski – widzieli powstanie jako ukoronowanie długotrwałej pracy, właśnie owej „obrony czynnej", z czasem nazwanej „pracą narodową". Zacząć trzeba od organizowania struktur, w każdej parafii i gminie, struktur wszelkiego rodzaju, nie tylko, jak rozumiano to wcześniej, konspiracji wojskowej, lecz także samokształceniowych, gospodarczych, finansowych, dobroczynnych – na tyle licznych, aby przynajmniej w pewnym stopniu zastąpiły Polakom struktury państwa, zabrane przez zaborców. One dopiero pozwolą na stworzenie Skarbu

FOT. COMMONS.WIKIMEDIA.ORG/LIBRARY OF CONGRESS/OLDPHOTOSINCOLOR

eprasa.pl 31615842ca



Uroczystość nadania tytułu doktora honoris causa Romanowi Dmowskiemu (pierwszy z prawej), Uniwersytet Cambridge, 11 sierpnia 1916 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA/FUNDACJA NARODOWA IM. ROMANA DMOWSKIEGO

Narodowego, bez którego powstanie powieść się nie może.

„Czwarta brygada"

Od samego początku więc, jeszcze przed Dmowskim, ruch – nazwany potem Narodową Demokracją – jasno i wyraźnie wyznaczał cel: odzyskanie niepodległego państwa polskiego. Wbrew „gębie" dorabianej uparcie endecji przez piłsudczyków, których propaganda – żywa do dziś, czego dowodem znane naszym czytelnikom publikacje Waldemara Łysiaka – wmawiała, że endecja niepodległości nie chciała i zależało jej tylko na tym, żeby Polakom pod zaborami żyło się dostatniej. To bezczelne kłamstwo, szerzone zwłaszcza po roku 1926, przypisanie swojemu obozowi wyłącznej zasługi odzyskania Polski, miało uzasadniać szczególne prawo piłsudczyków do wyłącznego rządzenia nią i czynić z nich – jak to zauważył Melchior Wańkowicz – „nową szlachtę". Stało się to szczególnie obłudne po tzw. zjeździe nieświeskim, na którym piłsudczycy otworzyli się szeroko na „czwartą brygadę" (określenie oczywiście ironiczne, były tylko trzy) rekrutującą się z dawnych „aktywistów", „realistów" i konserwatystów, czyli tych właśnie, którzy przed 1918 r. faktycznie niepodległość Polski odrzucali lub uważali za nieosiągalną.

Żywym do dziś, a mającym swe korzenie w międzywojniu pomieszaniem pojęć – celowym – jest też zacieranie różnicy między narodowcami a galicyjskimi konserwatystami, których horyzonty myślenia ograniczone były do przekształcenia monarchii austro-węgierskiej w austro-węgiersko-polską. Dmowski plan ten (przyświecający m.in. Sikorskiemu i bardzo mocno wspierany, aż do 1918 r., przez rzekomo „endecki" Kościół) odrzucał jako całkowicie bezsensowny, uznając – słusznie – że anachroniczna monarchia, czy to dualistyczna, czy trialistyczna, skazana jest na rychły rozpad. W istocie, wzajemne stosunki konserwatystów i endecji były wrogie – pierwsi uważali narodowców i socjalistów za wartych siebie, jednako zagrażających porządkowi publicznemu radykałów; co sądził o konserwatystach i „realistach" Dmowski, można przeczytać w jego broszurze „Upadek myśli konserwatywnej w Polsce". Piłsudskiemu wygodnie było jednak skleić swoich głównych wrogów – konserwatywny Naczelny Komitet Narodowy i jego Komendę Legionów, z którymi w czasach legionowych prowadził jawną wojnę z ziemiaństwem i endekami.

Nie wszystko w czarnej legendzie endecji i Dmowskiego jest oczywiście dziełem propagandy sanacyjnej: równie nienawistnie traktowały ją lewica i władze PRL. W lewicowej wersji „czarnej legendy" dominują z kolei stereotypy: „antysemityzm" i „faszyzm". Antyżydowskie filipiki Dmowskiego i jego współpracowników niewiele jednak miały wspólnego z antysemityzmem w typie zachodnioeuropejskim, rozumianym jako wrogość wobec rasy czy religii. W skomplikowanej sytuacji narodu, który nigdy nie miał klasy średniej, bo przestrzeń między ludem a szlachtą wypełniła właśnie mniejszość żydowska, próba stworzenia nowoczesnego narodu, rodzimej burżuazji i klasy średniej musiała wieść do starcia interesów. I tak też postrzegał Żydów Dmowski – nie jako gorszą rasę (jako biolog wręcz kpił z teorii rasowych, pisząc, że gotów jest ozłocić takiego, kto mu pod mikroskopem odróżni krew Murzyna czy Żyda od Aryjczyka) ani morderców Chrystusa, tylko jako wrogą Polsce grupę interesów. Zdania z jego wstępu do książki „Żydzi w XX wieku" (pisanej na przełomie lat 20. i 30.) pozwalają wręcz być z endeckiego „antysemityzmu" dumnym: w czasach, gdy Żydzi byli w całym zachodnim świecie prześladowani, ojciec polskiego nacjonalizmu wzywał do… „szerokiej dyskusji" nad sprzecznościami interesów Żydów z Polakami i sposobami ich rozwiązania. Kto nie wierzy, niech sprawdzi – pełny cytat jest za długi na tę publikację, a nie chcę go kaleczyć.

Przypisywanie zaś Dmowskiemu ciągot autorytarnych czy faszystowskich jest już skrajną podłością, dyktowaną przez propagandową potrzebę współczesnej lewicy, aby „zintegrować" historię polską z „europejską", zwłaszcza niemiecką. Drugi człon nazwy „narodowa demokracja" nie był ozdobnikiem – program endecji zakładał, że do odzyskania Polski dojść można tylko przez demokrację, a do niej – przez wytworzenie rodzimej klasy średniej. Wszelkie ciągoty autorytarne były endecji głęboko obce, Dmowski pisał wręcz, że „dyktatura może być rozwiązaniem jedynie przejściowym", gdyż na dłuższą metę niszczy naród, zamiast go budować. Odpowiedzią endeków na sanację Piłsudskiego był program „Rzeczy-



Członkowie Komitetu Narodowego Paryskiego. Roman Dmowski w pierwszym rzędzie w środku

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl 31615842ca



Roman Dmowski w Chludowie, gdzie mieszkał w latach 1922–1934

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

pospolitej Samorządnej", czyli, mówiąc dzisiejszym językiem, oddolnej budowy społeczeństwa obywatelskiego. Owszem, u schyłku lat 30. pojawiły się ruchy narodowo-radykalne, otwarcie demokrację odrzucające, były to jednak drobne odpryski potężnego nurtu narodowego, efekt naśladowania przez młodych wzorców zachodnich oraz „zarażenia przemocą" coraz bardziej brutalnej sanacji. To jednak tam właśnie, po stronie piłsudczyków, rozkwitł polski faszyzm (w ścisłym, włoskim sensie – nic wspólnego nie mając z niemieckim nazizmem): Obóz Zjednoczenia Narodowego Śmigłego-Rydza nie był przecież niczym innym jak dokładnym naśladowaniem wzorców Mussoliniego. Jest doprawdy wyjątkowym rechotem historii, że jako powód do hańby wskazuje się dziś nie tych, którzy budowali Berezę Kartuską, tylko tych, których w niej osadzano.

Rozmowa w Tokio

Uporczywość i wielorakość czarnej legendy Dmowskiego zmusiła mnie, by wiele miejsca poświęcić wyjaśnianiu, czym endecja nie była. Czym więc była? Próbą wprowadzenia do polskiego myślenia politycznego zdrowego rozsądku i racjonalnej kalkulacji. Odłożeniem „Ksiąg narodu i pielgrzymstwa polskiego" oraz „Króla-Ducha" tam, gdzie ich miejsce, na półkę z literaturą piękną, i zastąpienia ich studiowaniem żelaznych zasad polityki – takiej, jaką prowadzą europejskie mocarstwa.

Fakt, że Dmowski, syn prostego kamieniarza, był pierwszym w polskich dziejach politycznym liderem, który wywodził się z awansu społecznego, a nie z mniej lub bardziej spauperyzowanej szlachty, i za którym nie ciągnęła się dworkowa tradycja codziennej gnuśności przerywanej chwilami euforycznego zrywania ze ścian wiszących tam na co dzień szabel, miał tu moim zdaniem znaczenie kluczowe. W stosunkach między narodami nie ma pojęć słuszności i braku słuszności, są tylko siła i brak siły – a siła narodu jest skutkiem jego zorganizowania, skutkiem codziennej, żmudnej „pracy narodowej" prowadzonej przez świadome interesów elity tak, aby naród w każdej chwili rozumiał, ku czemu dążą jego przywódcy. Ład i postęp światowy nie mogą być osiągnięte inaczej niż w drodze ułożenia się między sobą państw narodowych świadomych swych interesów i zdolnych je wzajemnie ucierać. Największym zagrożeniem dla pozycji Polski w tej międzynarodowej grze, więcej, dla samego jej istnienia nie jest zaś Rosja, mimo całego bagażu krzywd, które nam wyrządziła, i oczywistego w tej sytuacji pragnienia odwetu – ale Niemcy, dla których zniszczenie, w ostateczności trwałe zmarginalizowanie i zniewolenie, Polski jest warunkiem mocarstwowości.

Co tej szkole myślenia przeciwstawiał Piłsudski? Dmowski opisał rozmowę, którą z nim (i towarzyszącym mu Tytusem Filipowiczem) odbył w Tokio. W odpowiedzi na konkretne pytania, co zamierzają osiągnąć, wzniecając w Polsce za japońskie pieniądze kolejne powstanie, na jakie siły liczą, etc., usłyszał – jak to określił – „procesję wzniosłych frazesów wypowiadanych z niezwykłą pewnością siebie". Trzeba walczyć, bo kto godzi się żyć „w wychodkowej atmosferze zaboru", sam pozbawia się „godności nie-niewolniczej". Nie wolno się w tej „wychodkowej atmosferze" „urządzać", zamiast myśleć o walce, nie wolno się cofać przed ściąganiem na Polskę cierpień, bo te wyjdą na dobre, budząc masy do walki (temu budzeniu służyć też miały socjalistyczne obietnice i hasła, traktowane przez Piłsudskiego całkowicie instrumentalnie), i, wreszcie, nie trzeba się też oglądać na międzynarodowe skutki polskich poczynań.

Dmowski dostrzegał, że powstanie styczniowe wymusiło sojusz prusko-rosyjski i otworzyło Prusom drogę do złamania potęgi Francji, a tym samym zjednoczenia Niemiec, co znacząco pogorszyło sytuację polską. Piłsudski, nie rozumiejąc tego, o mało nie doprowadził do europejskiej katastrofy. Powstanie w Królestwie Polskim, które próbował wywołać w 1914 r., gdyby doszło do skutku, dawałoby Rosji prawo (było to zastrzeżone w traktacie, którego wypełnienie popchnęło Rosję do wojny) wycofania się ze złożonych w ramach ententy przyrzeczeń. A co by się stało z nami, gdyby nad Marną nie zabrakło dywizji odesłanych w ostatniej chwili pod Tannenberg – wiemy, bo niemieckie plany na „po zwycięstwie" są znane.

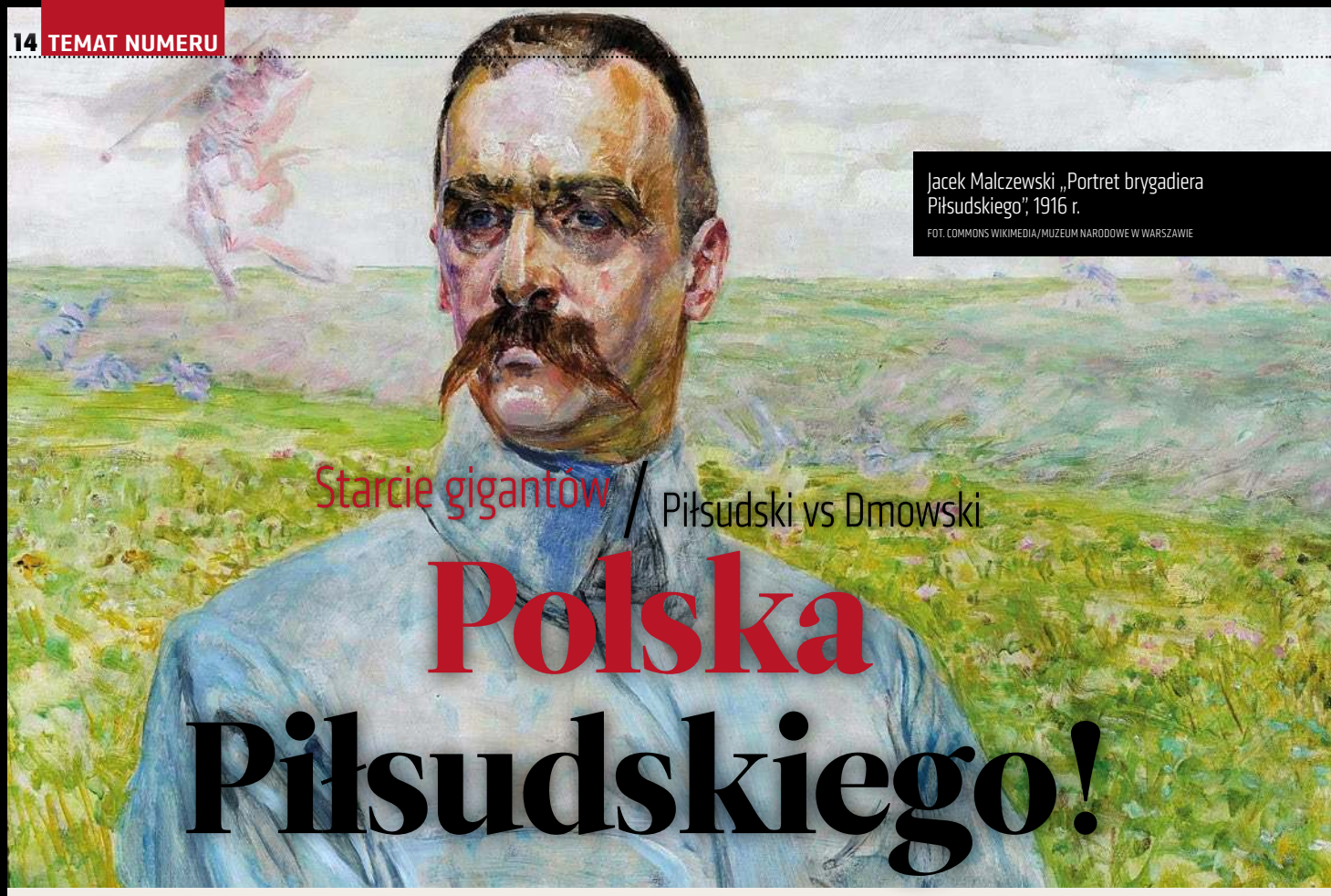
Jak u Krasickiego

Trudno, doprawdy, poza niezłomną wolą walki i równie niezłomnym przekonaniem, że on sam jest geniuszem, Królem-Duchem, jedynie i wyłącznie powołanym do dowodzenia tą walką, znaleźć u Piłsudskiego cokolwiek więcej. Jakie jego cytaty można przeciwstawić cytowanym wyżej wskazaniom Dmowskiego? „Bić k…. i złodziei"? „Polska naród wspaniały, ale ludzie k…y"? W najlepszym razie owo „być zwyciężonym i nie ulec – to zwycięstwo!". Ale przecież te wzniośle brzmiące w czasach niewoli słowa dla Polski niepodległej stały się przekleństwem, legitymizacją warcholstwa i stawiania na swoim za wszelką cenę, które ostatecznie zmieniło piłsudczyków z pierwotnego zakonu rycerzy niepodległości w zwykłą sitwę, która realizowała swe coraz bardziej mafijne interesy przemocą i nawet po katastrofie 1939 r. uparcie odrzucała jakąkolwiek gotowość podzielenia się władzą, do samego końca konspirując przeciwko Sikorskiemu i Rządowi Jedności Narodowej.

Niestety, konkurencja między Dmowskim i Piłsudskim rozstrzygnęła się na innej płaszczyźnie. Pierwszy był intelektualistą, pisarzem politycznym i po trosze filozofem historii i polityki. Uczyniony na kilka miesięcy ministrem spraw zagranicznych RP męczył się na urzędzie w sposób wręcz anegdotyczny, ponoć ani razu nie pojawił się na obradach rządu, wysyłając tam zastępców. Drugi natomiast, samozwańczy „polski Napoleon", był człowiekiem ogarniętym wręcz manią „czynu", całkowicie oddanym budowaniu sieci wpływów, bojówek i siły wojskowej. Ostatecznie więc – jak w satyrze Ignacego Krasickiego – „mądry przedyskutował, ale głupi pobił". I dlatego Polakom ten drugi do dziś imponuje nieskończenie bardziej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 31615842ca



Jacek Malczewski „Portret brygadiera Piłsudskiego", 1916 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Starcie gigantów / Piłsudski vs Dmowski

Polska Piłsudskiego!



Piotr Semka

Marszałek potrafił stworzyć zwartą drużynę polityczną, która realizowała w praktyce swoje – w znacznej mierze godne pochwały – ideały państwowe. Dmowskiemu zabrakło tego talentu – zbyt często bywał solistą

Porównywanie Józefa Piłsudskiego i Romana Dmowskiego to już stały element polskiej debaty historycznej. Obaj prezentowali różne poglądy i doświadczenie, byli uwrażliwieni na różne kwestie, w czym rozpoznają się dzisiejsi Polacy. Już na wstępie powiem bez ogródek, że moim zdaniem rywalizację pomiędzy dwoma ojcami niepodległości w polskiej pamięci zdecydowanie wygrał Marszałek.

Jak współcześnie wygląda pamięć o Piłsudskim? Polacy obecnie, akceptując „Dziadka", pomijają niektóre fakty i wydarzenia, które złożyły się na jego życiorys. Dziś, gdy Piłsudski jest stawiany na piedestale, podkreśla się jego działania na rzecz niepodległości Polski w czasie pierwszej wojny światowej, dekret o wyborach do Sejmu Ustawodawczego, decydujący wkład w polskie zwycięstwa w 1920 r. w wojnie z bolszewicką Rosją.

O ile nasi przodkowie toczyli emocjonujące spory o to, czy Piłsudski, jako bojowiec PPS napadający na pociąg z carskimi pieniędzmi na stacji w Bezdanach był zwykłym bandytą czy nie, o tyle dziś tego typu dysputy już raczej nie mają miejsca. Wątpliwe okazały się próby postkomunistów, na czele z Aleksandrem Kwaśniewskim, powoływania się na Piłsudskiego jako na „towarzysza Wiktora", socjalistę z PPS. Tak samo słabo rezonują próby obsadzania Piłsudskiego w roli rzekomego sadystycznego patrona mordu na gen. Włodzimierzu Zagórskim czy rzekomego rozkazodawcy brutalnego pobicia literata i publicysty Adolfa Nowaczyńskiego. A już w ogóle wyblakł lansowany przez wrogów Marszałka pogląd, że był on współwinny klęski państwa polskiego we wrześniu 1939 r.

Z Piłsudskim jest trochę jak z Napoleonem. Jego najbardziej zacietrzewieni adwersarze już po drugiej wojnie światowej próbowali ubrać cesarza Francuzów w rolę niemal poprzednika Hitlera. Bardzo trafnie odrzucił tę manierę Stanisław Mackiewicz, który w jednej ze swoich książek umiejętnie wskazał, że o ile Napoleon bywał szlachetny (przynajmniej dla Polaków), o tyle istotą zachowania Hitlera była plugawość. Piłsudskiego nie da się wcisnąć w kostium krwawego dyktatora.

eprasa.pl 31615842ca



Marszałek z ministrami pierwszego rządu Kazimierza Bartla, 1926 r. FOT. NAC

Nawet po latach nie sposób nie wzruszyć się kultem, którym Piłsudski otaczał powstanie styczniowe. Było to dla Marszałka tak ważne, że wśród setek innych, pilniejszych spraw do załatwienia w dopiero co wskrzeszonej Polsce, w lutym 1919 r., znalazł czas, aby zająć się przyznaniem weteranom zrywu z 1863 r. stopnia oficerskiego i prawa do efektownych mundurów kombatanckich. We wszystkich armiach świata obowiązuje zasada, że niższy stopniem pierwszy salutuje wobec wyższego stopniem. Piłsudski uczynił w Polsce od tej zasady znaczący wyjątek. Wszyscy wojskowi, począwszy od najwyższych szarż wojskowych, włącznie z nim samym, Naczelnikiem Państwa, zobowiązani zostali do salutowania jako pierwsi, gdy spotykali na swej drodze stareńkich kombatantów styczniowego zrywu. Z takich to drobiazgów powstawała legenda Piłsudskiego.

A z czego wynikała jego skuteczność polityczna? Przeciwnicy Piłsudskiego, wyspecjalizowani w zwalczaniu jego legendy, wskazują, że większość Polaków jest święcie przekonana, iż Piłsudski był dowódcą całości Legionów Polskich w czasie pierwszej wojny światowej. Tak oczywiście nie było. Legiony dzieliły się na trzy brygady, a Piłsudski dowodził tylko pierwszą z nich.

Jeśli jednak do dziś Piłsudski utożsamiany jest z Legionami, to dlatego, że był uważany za ich moralnego przywódcę oraz stworzył wówczas wokół siebie i zahartował w bojach ok. 100–150-osobowy obóz swoich zwolenników, który okazał się niezbędny w procesie tworzenia polskiej armii po listopadzie 1918 r. To właśnie ta grupa stanowiła później także zrąb ekipy, która przeprowadziła zamach stanu w maju 1926 r. Podobne środowisko skupione było też wokół Józefa Hallera, byłego dowódcy II Brygady, lecz było ono o wiele słabsze, a i sam Haller był nieco na siłę kreowany, przez popierającą go Narodową Demokrację, na postać dorównującą Piłsudskiemu.

Brutalne metody

Piłsudski ma oczywiście na sumieniu brutalne terroryzowanie opozycji – obawiał się, że gdy dojdzie do władzy, powrócą tak krytykowane przez niego czasy „partyjnictwa" i „sejmokracji" – czego symbolem są niesławne wybory parlamentarne z 16 listopada 1930 r., odbywające się w cieniu aresztowań brzeskich. Nikt poważny nie neguje tego, że skala unieważniania opozycyjnych list wyborczych i stosowanie różnych pozaprawnych działań wpłynęły na wynik wyborów. Ciężko też nie zauważyć, że w ramach obozu sanacyjnego do władzy doszło wielu zupaków, ludzi o ograniczonych horyzontach, ślepych wykonawców woli Marszałka. Ich klasycznym reprezentantem był premier gen. Felicjan Sławoj Składkowski, który najskuteczniej sam się ośmieszył w swoich wspomnieniach pt. „Strzępy meldunków".

Jednak byli też piłsudczycy, którzy w chwili próby zdali egzamin. Można tu wskazać Stefana Starzyńskiego, który – co dzisiaj niechętnie się przypomina – był komisarycznym prezydentem Warszawy, czyli narzuconym miastu przez sanacyjną władzę, i stał się bohaterem obrony Warszawy w 1939 r. Tacy piłsudczycy jak płk Wacław Lipiński, uczestnik antykomunistycznej konspiracji, zdobyli sobie szacunek więźniów swoją nieskazitelną postawą, a później przeszli do historii jako ofiary politycznych mordów lub osoby represjonowane przez okupantów.

Gdyby nie było drugiej wojny światowej, a Piłsudski zmarłby w latach 50. i gdyby do władzy doszła antysanacyjna opozycja, po jego śmierci prawdopodobnie demontowano by jego pomniki w całej Polsce, a pamięć o ofiarach prześladowań z czasów sanacji byłaby nieporównanie żywsza. Ale komunizm przez nachalność antypiłsudczykowskiej propagandy sam z czasem przyczynił się do wskrzeszenia legendy Marszałka. I trzeba to przyjąć ze zrozumieniem. Tak się już splotła nasza historia.

Po 1989 r. legenda Piłsudskiego sprzęgła się w rozsądny kompromis z przekonaniami większości Polaków. Obecnie ta legenda opiewa Marszałka, niemal wyłącznie, jako ojca polskiej niepodległości. Nawet dziś mój redakcyjny kolega i surowy krytyk Piłsudskiego Rafał A. Ziemkiewicz przyznaje, że nie sposób porównywać Marszałka np. z Donaldem Tuskiem, gdyż Piłsudski zawsze wystrzegał się uzależnienia polskiej polityki od obcych mocarstw. Owszem, potrafił grać np. z austriackim wywiadem przed pierwszą wojną światową. Był to dla Piłsudskiego niełatwy, jednak warty zapłacenia i niezbędny koszt na drodze do uzyskania przez Polskę suwerenności. W wolnej Polsce natomiast powtarzał już wezwanie: „Podczas kryzysów strzeżcie się agentur. Agentury jak jakieś przekleństwo idą dalej. Spotykam świat agentur idący przeciwko nam całą siłą, całą parą, starający się nas zbrukać". Dziś to przesłanie jest tak samo aktualne jak w latach 20. i 30. minionego stulecia.

Żołnierz czy polityk?

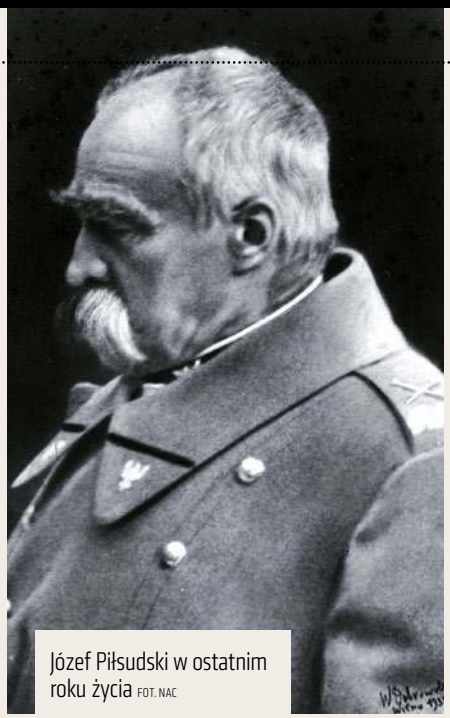
Jak na tym tle ma się wielki konkurent Piłsudskiego, czyli Roman Dmowski? Także w jego przypadku współcześni

eprasa.pl 31615842ca

Polacy wybierają z jego bogatego dziedzictwa głównie jedną rolę – szermierza sprawy polskiej na kongresie w Wersalu w 1919 r. Dlaczego jednak Dmowski nie ma dziś statusu równego upartemu Litwinowi z Zułowa? Po pierwsze, Dmowski nie był wojskowym, a to jednak, jak się okazuje, charyzma dowódcy przemawia o wiele bardziej do zbiorowej wyobraźni Polaków. Po drugie, Dmowski był politykiem nierównym. Był bardzo skuteczny jako przywódca organizacji narodowych do momentu odzyskania niepodległości, w szczególności w specyficznych warunkach panujących w rosyjskiej Dumie w ostatnich latach przed kataklizmem pierwszej wojny światowej.

Chlubę przyniosło Dmowskiemu promowanie, jeszcze przed 1914 r., patriotycznych i obywatelskich postaw wśród mas chłopskich i sporej części klasy robotniczej, co odegrało ogromną rolę w wojnie z Rosją bolszewicką. Do historii przeszło też jego przemówienie z 29 stycznia 1919 r., które wygłosił przed tzw. Radą Dziesięciu Ententy. Przemawiał wtedy pięć godzin, zdobywając uznanie najwyższych rangą dyplomatów europejskich. Jednak po powrocie z Wersalu Dmowski wielokrotnie zapadał na zdrowiu, co wyłączało go z polityki na długie okresy. Po 1920 r. po raz pierwszy wycofał się z polityki, zaszywając się w Chludowie koło Poznania, gdzie dał się poznać jako zapalony gospodarz. W takich momentach endecja traciła wyrazistego lidera, który mógł uczynić z tej formacji dominującą siłę na polskiej scenie politycznej.

Z ważnych urzędów pełnił tylko jeden – był ministrem spraw zagranicznych w drugim rządzie Wincentego Witosa, który działał jedynie przez siedem miesięcy w 1923 r. Dmowski nie stworzył nigdy na tyle silnej, jednolitej partii narodowej, która mogłaby zapobiec zamachowi Piłsudskiego w 1926 r. Powołanie przez Dmowskiego, już po przejęciu przez sanację władzy, Obozu Wielkiej Polski, a po 1928 r. Stronnictwa Narodowego, również nie okazało się ogromnym sukcesem. W latach 30. endecja pogrążała się coraz bardziej w sporze między szacowną frakcją profesorską, przyzwyczajoną do działania w systemie demokracji parlamentarnej, a młodymi, którzy zezowali na wzorce z kraju Mussoliniego. Dmowski, zajęty przymiarkami do napisania wielkiego dzieła o kulturze narodów Europy, nie potrafił trzymać mocną ręką najbliższej sobie partii, a bez silnego władztwa nad ugrupowaniami endeckimi pod koniec lat 30. musiał wyrosnąć obok nich młody pretendent do kierowania radykalnym odłamem ruchu narodowego – Bolesław Piasecki.



Józef Piłsudski w ostatnim roku życia FOT. NAC

Okazało się, że Piłsudski, ze zwartym środowiskiem oficerów wywodzących się z I Brygady Legionów, był nieporównanie skuteczniejszy od Dmowskiego, który nie miał tak szerokiego spektrum ludzi w pełni mu oddanych. I ta słabość pana Romana, wzmacniana jeszcze przez nawroty rozmaitych chorób w latach 30., ustawiła go na gorszej pozycji w politycznej rozgrywce z Piłsudskim.

Ten rys słabości odzwierciedlił się w dziejach endeckiej emigracji po drugiej wojnie światowej. Nowy lider Stronnictwa Narodowego, Tadeusz Bielecki, był postacią niewielkiego formatu. Wojciech Wasiutyński, jedno z niewielu dobrych piór w prasie endeckiej, bardzo plastycznie opisywał w swoich wspomnieniach przygnębiającą banalność dyskusji na kolejnych zjazdach SN w latach 50., 60. i 70. Nic dziwnego, że Wasiutyński tak chętnie odwiedzał w latach 80. Polskę, wiążąc ogromne nadzieje z Ruchem Młodej Polski. Ale i RMP dotknęła jakaś dziwna klątwa, która wcześniej ścigała obóz Dmowskiego. Młodopolacy nie potrafili wyłonić spośród swojego grona skutecznego i sprawnego lidera, a szanse na pełnienie tej roli roztrwonił wpierw Aleksander Hall, a potem Wiesław Walendziak.

Równie krótkotrwałe były okresy bardziej wyrazistej aktywności Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, a potem Ligi Polskich Rodzin. Kolejny pretendent prezentujący się jako dziedzic tradycji Romana Dmowskiego, czyli Ruch Narodowy, także nie potrafił zbyt długo utrzymać się samodzielnie i w końcu dokonał fuzji ze zwolennikami neoliberalizmu, tworząc Konfederację.

Trumna Róży

Wygląda na to, że długo jeszcze trwać będą spory także o to, która z dzisiejszych dwóch wielkich partii w Polsce jest dziedzicem idei Dmowskiego. Ci, którzy zachowują krytycyzm wobec Jarosława Kaczyńskiego, obruszają się na określanie PiS partią prawicową, lecz w kwestii wrażliwości na suwerenność Polski i artykułowanie polskiego interesu narodowego to właśnie PiS wydaje się w jakimś stopniu spadkobiercą tradycji przedwojennych narodowców, nawet mimo tego, że formacja Jarosława Kaczyńskiego niezwykle rzadko nawiązuje do postaci Romana Dmowskiego. Jednocześnie sam Kaczyński na próby porównywania go do pierwszego marszałka Polski reaguje ponoć alergicznie.

Wbrew powracającej tezie Jerzego Giedroycia, twórcy paryskiej „Kultury", o oddziaływaniu na III RP dwóch politycznych trumien: Piłsudskiego i Dmowskiego, tak naprawdę poglądy obu ojców niepodległości mają niewielki wpływ na kształt dzisiejszej politycznej debaty. I chyba dobrze, bo polityczne programy trzeba rozpoznawać według nowych linii podziału, a nie według tego, czym emocjonowali się nasi pradziadowie. A jednak nie zniechęca to wielu publicystów do powtarzania do znudzenia bon motu Giedroycia. Przez to jednak można przeoczyć inny, bardzo realny trend: oddziaływanie na Polskę duchowej trumny Róży Luksemburg, zwolenniczki stopienia się wszelkich europejskich nacji w jeden ponadnarodowy kolektyw. Jest to coś, co zatrwożyłoby zarówno Józefa Piłsudskiego, jak i Romana Dmowskiego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 31615842ca



Generał Władysław Sikorski FOT. NAC

1939 r. / Polityczna wojna domowa poza granicami

Emigracyjne polskie piekiełko



Sławomir Koper

W kraju trwały jeszcze walki, nie wszyscy skapitulowali, a emigracyjni politycy nad Sekwaną już skakali sobie do gardeł

eprasa.pl 31615842ca



Generał Bolesław Wieniawa-Długoszowski żegna się, wyjeżdżając do Włoch jako ambasador FOT.NAC

18 września 1939 r. internowany w Rumunii prezydent Ignacy Mościcki wskazał swojego następcę. Został nim ambasador RP w Rzymie, gen. Bolesław Wieniawa-Długoszowski, co wywołało ogromne kontrowersje wśród polskiej emigracji. Klęska wrześniowa stanowiła bowiem znakomitą okazję do przejęcia władzy, a nad Sekwaną znaleźli się przedstawiciele stronnictw wrogich sanacji, w tym ludzie związani z tzw. Frontem Morges powstałym trzy lata wcześniej pod patronatem Ignacego Paderewskiego. Wśród jego założycieli byli działacze opozycji (Wojciech Korfanty i Karol Popiel) oraz oficerowie pozbawieni stanowisk po przewrocie majowym (Władysław Sikorski, Józef Haller, Marian Januszajtis, Izydor Modelski). Ich politycznym ramieniem było Stronnictwo Pracy, które wprawdzie nie miało poparcia społecznego, ale teraz uznano, że nadszedł właściwy czas na przejęcie władzy.

Popierali ich Francuzi, gdyż powołanie polskiego rządu na emigracji blokowało Niemcom i Rosjanom możliwość utworzenia władz kolaboracyjnych w kraju. Był tylko jeden problem – rząd powoływał premier wskazany przez prezydenta.

Politycy z Paryża bez problemów porozumieli się z polską opozycją. Władysław Sikorski nienawidził piłsudczyków, do czego zresztą miał słuszne powody. Dwa lata po przewrocie majowym, podczas którego zachował neutralność, został zdymisjonowany ze stanowiska i otrzymał status generała do dyspozycji. W praktyce oznaczało to przedwczesną emeryturę.

A Sikorski miał ogromne ambicje. Dał temu wyraz na początku lat 20., pełniąc urząd premiera, a następnie ministra spraw wojskowych. Przed wybuchem wojny zgłosił swój akces do armii, ale władze sanacyjne zignorowały jego zabiegi. Generał opuścił stolicę w pierwszych dniach kampanii i 18 września znalazł się w Rumunii, gdzie rozpoczął własną grę.

Doszedł do porozumienia z polskim attaché w Bukareszcie Tadeuszem Zakrzewskim i pozostawił mu ścisłe dyrektywy w sprawie kwalifikacji polskich uchodźców do wyjazdu do Francji. Zadbał, by na listach znaleźli się jego współpracownicy, a także ludzie, z którymi porozumienie uważał za możliwe. Nie zapomniał również o „wszystkich ważnych i spokojnych" endekach i zlecił rozpoczęcie poszukiwań Wincentego Witosa. Zasłużony działacz ludowy, trzykrotny premier i więzień Brześcia idealnie nadawał się na osobę firmującą jego politykę.



Posiedzenie rządu RP i Rady Narodowej w Londynie FOT. NAC

Zamach stanu

Generał przybył do Paryża 24 września i natychmiast rzucił się w nurt wielkiej polityki. Gdy następnego dnia dotarła do niego informacja, że Mościcki wyznaczył Wieniawę na prezydenta, zareagował natychmiast.

Zwołał naradę zakończoną kategoryczną konkluzją, że Wieniawa nie może zostać następcą Mościckiego. Uznano to za powrót piłsudczyków do władzy, widząc w Długoszowskim wyłącznie przedstawiciela wrogiego obozu.

Wydarzenia paryskie z trzeciej dekady września 1939 r. można uznać za zamach stanu. Trwały jeszcze walki w kraju, jeszcze nie wszyscy skapitulowali, a emigracyjni politycy nad Sekwaną już skakali sobie do gardeł. Porozumienie

eprasa.pl 31615842ca

Sikorskiego z Francuzami błyskawicznie przyniosło efekty, inna sprawa, że czas naglił i opozycja musiała działać szybko.

Ambasador Rzeczypospolitej w Paryżu Juliusz Łukaszewicz złożył oficjalną notę o desygnowaniu Długoszowskiego i wówczas usłyszał, że rząd francuski nie aprobuje tego wyboru. Złudzeń nie pozostawił również ambasador Francji w Bukareszcie, komunikując obcesowo Mościckiemu, że jego mocodawcy „nie mają zaufania do wyznaczonej osoby" i że Paryż „nie uzna jakiegokolwiek rządu powołanego przez generała Wieniawę".

Sikorski głosił publicznie, że Wieniawa jest nałogowym alkoholikiem nieznanym szerzej społeczeństwu, sekundowali mu w tym jego poplecznicy. Nie powiodła się próba zneutralizowania generała przez Łukasiewicza i na polecenie ambasadora Sikorski został mianowany dowódcą polskich sil zbrojnych we Francji.

Gdy Wieniawa przybył do Paryża, od razu zrozumiał, że nie ma szans na bezproblemowe objęcie urzędu. Natychmiast się wycofał, uznając, że w stanie wojny nie należy stwarzać podziałów wewnętrznych. Na wszelki wypadek policja i wojsko francuskie otoczyły drukarnię, gdzie drukowano egzemplarze „Monitora Polskiego" z nominacją dla Wieniawy i cały nakład został skonfiskowany.

Zaraz po rezygnacji Długoszowski wziął udział w naradzie mającej wyłonić kandydata możliwego do zaakceptowania przez Mościckiego, grupę Sikorskiego i Francuzów. Tym razem wybór padł Władysława Raczkiewicza – byłego senatora, wojewodę i marszałka Sejmu.

Wieniawa powrócił do Rzymu i historycy do dziś spierają się, czy można go oficjalnie uznawać za prezydenta Rzeczypospolitej. Po dłuższych targach Raczkiewicz wyznaczył ostatecznie na premiera Sikorskiego. Generał uzyskał wreszcie to, do czego dążył. To jednak było zbyt mało dla jego ambicji i niebawem otrzymał nominację na Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych. Od czasów Piłsudskiego żaden polski polityk nie skupił w swoich rękach podobnej władzy.

Prezydent i rząd to nie wszystko, potrzebna była jeszcze namiastka parlamentu. W styczniu 1940 r. powstała instytucja pod nazwą Rady Narodowej. Nie było oczywiście żadnych wyborów, członkowie Rady zostali powołani przez mianowanie. Teoretycznie w jej składzie mieli znaleźć się przedstawiciele najsilniejszych stronnictw, a w rzeczywistości znalazło się tam 20 przypadkowych osób. I chyba mieli rację złośliwi, że była to synekura dla tych, dla których nie starczyło stanowisk rządowych.

Na jej przewodniczącego powołano Ignacego Paderewskiego, który ze względu na wiek był wyłącznie figurantem. Inna sprawa, że Rada Narodowa miała uprawienia wyłącznie konsultacyjne i opiniodawcze, a w jej składzie znaleźli się tylko Polacy i Żydzi, nie uwzględniono Ukraińców, Białorusinów czy Litwinów. Wszedł do niej natomiast przedstawiciel Polaków w III Rzeszy (sic!), Arka (Arkadiusz) Bożek.

Salon odrzuconych

Warto przyjrzeć się bliżej składowi emigracyjnego rządu Władysława Sikorskiego. Znaleźli się w nim przedstawiciele partii opozycyjnych, ale nie byli to pierwszoplanowi działacze. Większości liderów nie było w Paryżu, zresztą Sikorski nie tolerował zbyt silnych indywidualności. Gabinet miał być rządem jedności narodowej, wobec tego ministrem został również płk Adam Koc, uznawany za przedstawiciela sanacji. A kiedy nad Sekwaną pojawił się gen. Kazimierz Sosnkowski, również otrzymał tekę ministra. Dla równowagi dokooptowano jednak prof. Stanisława Kota z SL – zajadłego zwolennika porachunków z przeszłością.

Zdziwienie wywoływała obfita reprezentacja kanapowej partii Sikorskiego. Stronnictwo Pracy uznano za równoważnego reprezentanta społeczeństwa, co nie miało odbicia w rzeczywistości. Nie bez powodów uważano, że inne ugrupowania przysłały do Paryża swoich reprezentantów, a tylko Stronnictwo Pracy przybyło w komplecie...

Nowi ministrowie potrafili jednak zadbać o własne potrzeby. W chwili, gdy brakowało pieniędzy na ewakuację polskich wojskowych z Rumunii i Węgier, nad Sekwaną zajęto się własnymi uposażeniami. Zażądano poborów równych pensjom członków francuskiego rządu i takie otrzymano.

Sikorski łączył cztery funkcje (był jeszcze ministrem spraw wojskowych i ministrem sprawiedliwości), co samo w sobie stanowiło problem, a na domiar złego nie potrafił zorganizować sobie pracy. Chciał wszystkiego dopilnować osobiście, źle dobierał ludzi, podpisywał dokumenty bez czytania ich, gubiąc się w tysiącach spraw.

Skandalicznie wyglądała sprawa rozliczeń za klęskę wrześniową. Katastrofa państwa wymagała śledztwa, ale nowa elita władzy zatraciła resztki instynktu politycznego. Ludzie przez wiele lat odsunięci od stanowisk i wpływów skierowali teraz całą aktywność na porachunki z sanacją.

Powołano specjalną komisję do zbadania „ostatnich zdarzeń w Polsce i ustalenia ich przyczyn" (przewodniczący: gen. Józef Haller). To nie wszystko – wiosną 1940 r. pod przewodnictwem Stanisława Kota pojawiła się kolejna komisja mająca przygotować materiały do planowanego procesu liderów sanacji. Emigracyjni inkwizytorzy



Minister Stanisław Kot z żoną FOT. NAC

eprasa.pl 31615842ca

mieli jednak większe ambicje niż zbadanie przyczyn katastrofy wrześniowej. Podstawowym zajęciem komisji stało się poszukiwanie dowodów przestępstw liderów sanacji i wykazanie zgnilizny moralnej całego systemu. Szczególnie energicznie działał w tym kierunku prof. Kot, a Jan Stańczyk z PPS zasłynął zgłaszaniem tak kontrowersyjnych projektów, że wzbudzały one opór Sikorskiego i jego francuskich protektorów (np. pozbawienie polskiego obywatelstwa członków władz sanacyjnych).

W ramach działań komisji z całą powagą badano, czy aktualny ambasador RP w Turcji, Michał Sokolnicki, gdy w latach 1921–1922 był posłem w Helsinkach, wydawał pieniądze z funduszu dyspozycyjnego na kapelusze dla żony. Przy okazji zakwestionowano wydatki na środki przeciwbólowe Ignacego Matuszewskiego zakupione podczas słynnej ewakuacji polskiego złota we wrześniu 1939 r. A żonom dwóch oficerów biorących udział w akcji i pełniących funkcje pomocnicze polecono zwrócić koszty podróży z Polski do Francji…

Znienawidzony Kot

Najbardziej znienawidzoną postacią polskiej emigracji okazał się jednak prof. Kot. Szara eminencja generała i zwolennik rozliczeń z przeszłością wytwarzał chorobliwą atmosferę nienawiści. Całą energię kierował na sprawy personalne, nie przejmując się specjalnie wiarygodnością swoich oskarżeń. Stanisław Cat-Mackiewicz nazywał go „detektywem – amatorem" i „kanalią", a samowola Kota przekraczała wszelkie granice. Początkowo był ministrem bez teki, ale po klęsce Francji został ministrem spraw wewnętrznych i wicepremierem. W emigracyjnej rzeczywistości oznaczało to inwigilację rodaków ewakuowanych do Wielkiej Brytanii. Do tego doszedł jeszcze nadzór nad szkolnictwem wyższym, co tłumaczono tym, że właściwy minister oświaty, czyli gen. Haller, kompletnie się na tym nie znał…

Prawdopodobnie to Kot stał za powstaniem w Cerizay koło Angers Ośrodka Zbornego Rezerwy Oficerów, gdzie kierowano ludzi związanych z poprzednim reżimem. Byli tam internowani, ale na własny koszt, a dostawali tylko połowę żołdu. Do Cerizay zsyłano na podstawie rozkazu, chociaż niewykluczone, że niektórych osadzonych planowano z czasem postawić przed sądem. Uniemożliwiła to katastrofa Francji, a w dniach klęski nikt nie pamiętał o izolowanych. Rezydenci obozu do Anglii dotarli na własną rękę i z reguły ponownie zostali internowani. Ekipa Sikorskiego nie porzuciła bowiem pomysłu odosobnienia przeciwników politycznych. Ale tym razem na znacznie większą skalę.

Upadek Francji był szokiem dla Sikorskiego. Trudno mieć pretensje do generała za wiarę w potęgę sojusznika, ale zachowanie Naczelnego Wodza w dniach kampanii francuskiej zasługuje na słowa potępienia. W ciągu kilku tygodni ekipa Sikorskiego doprowadziła do niemal całkowitej zagłady polskich sił zbrojnych i do tragedii uchodźców cywilnych. Symbolem nieodpowiedzialnego postępowania generała w tych tragicznych dniach było to, że wydawał rozkazy dla dwóch polskich dywizji, przemawiając przed mikrofonami Radia BBC! Coś podobnego nie zdarzyło się nawet w tragicznym wrześniu 1939 r.

Po klęsce Francji Anglikom jednak zależało na zachowaniu pozycji Sikorskiego. Znali go już wcześniej, a ważny był jego trzeźwy stosunek do ZSRS i Kresów Rzeczypospolitej. Sikorski był dość elastyczny, nie wykluczał porozumienia ze Stalinem (nawet kosztem ustępstw terytorialnych), a Brytyjczycy liczyli na skłócenie Sowietów z Niemcami.



Generał Felicjan Sławoj Składkowski

FOT. NAC/ARCHIWUM EMIGRACJI

W polskich kręgach wojskowych narastał jednak bunt przeciwko Sikorskiemu i niespełna miesiąc po kapitulacji Francji Raczkiewicz wręczył premierowi dymisję. Za plecami generała uzasadniano decyzję prezydenta „kompletnym egocentryzmem", brakiem kompetencji politycznych i „promowaniem nienawistnego wszystkim Kota". Nowym premierem miał zostać minister spraw zagranicznych, August Zaleski, co skłóciło pozostałych ministrów. Niezadowoleni byli również Brytyjczycy, a problem rozwiązała grupa oficerów pod dowództwem płk. Tadeusza Klimeckiego. Udali się oni do Zaleskiego z bronią (!!!) i wymusili na nim rezygnację. To jednak nie wszystko, gdyż uzbrojeni oficerowie odwiedzili także prezydenta (!!!), który posłusznie zgodził się z ich argumentami.

Pozostałością nieudanej próby obalenia Sikorskiego stała się kuriozalna wykładnia sposobu odwoływania urzędującego premiera. Od tej pory prezydent miał „powoływać nowego szefa rządu w porozumieniu z ustępującym premierem (!) i partiami politycznymi".

Natomiast dla zadeklarowanych przeciwników reżimu przygotowano obóz izolacyjny w Rothesay na wyspie Bute (Wyspie Węży) niedaleko Glasgow. Funkcjonował on ponad dwa lata i przewinęło się przez niego ok. 1,5 tys. oficerów.

Wstyd po polsku

W czerwcu 1940 r. z internowania w Rumunii uciekł ostatni premier przedwojennej Polski, gen. Felicjan Sławoj Składkowski. Trafił na Bliski Wschód, do armii jednak go nie przyjęto. Zamiast tego został mianowany inspektorem sanitarnym bez uprawnień dowódczych i administracyjnych. Niebawem jednak przeniesiono go do rezerwy, co oznaczało zmniejszenie poborów o połowę i utratę pewnych przywilejów.

Na problemy finansowe nałożyły się kłopoty zdrowotne, Składkowski cierpiał na krwotoki i jako lekarz z zawodu sam postawił diagnozę – nowotwór jelit. Konieczna była natychmiastowa opera-

eprasa.pl 31615842ca



Rothesay na wyspie Bute
FOT. GETTY IMAGES

cja, na co potrzebna była jednak kwota 100 dol. A tych pieniędzy Sławoj po prostu nie miał. Był on jednak najwyższym stopniem polskim oficerem w Tel Awiwie, byłym premierem, człowiekiem, który w szeregach Legionów walczył o Polskę. Zwrócił się o pożyczkę do rządu w Londynie, ale Sikorski odpowiedział, że „od Polski nic mu już się nie należy". Sławoj poprosił o pomoc dowódcę Polskiej Armii na Wschodzie gen. Władysława Andersa, nie otrzymał jednak odpowiedzi. Anders dobrze bowiem pamiętał, że 20 lat wcześniej rywalizował ze Składkowskim o względy pewnej urodziwej Francuzki i to Sławoj się z nią ożenił…

Zdesperowany Składkowski napisał wreszcie do prezydenta USA, F.D. Roosevelta: „Pisze do Pana ostatni premier przedwojennego polskiego rządu. Człowiek, który pierwszy w Europie odważył się Niemcom powiedzieć »nie« i wydać swoim rodakom rozkaz walki na śmierć i życie… Dzisiaj ja sam prowadzę walkę o życie… Czy mógłby Pan, Panie Prezydencie, pożyczyć mi 100 dolarów na cel operacji? Zobowiązuję się słowem honoru oficera polskiego zwrócić Panu dług w trzy tygodnie po zakończeniu wojny".

Roosevelt okazał się człowiekiem na poziomie i niezwłocznie polecił przekazać pieniądze. Wykluczył również ich zwrot, prosząc jedynie o informację na temat wyników operacji i postępów rekonwalescencji. Zabieg się powiódł, były premier przeżył jeszcze 20 lat.

Składkowski zwrócił się o pożyczkę do rządu w Londynie, ale Sikorski odpowiedział, że „od Polski nic mu już się nie należy"

Piekiełko bez końca

Śmierć Sikorskiego w katastrofie gibraltarskiej oznaczała koniec łączenia funkcji Naczelnego Wodza ze stanowiskiem premiera. Szefem rządu został Stanisław Mikołajczyk, natomiast zwierzchnictwo sił zbrojnych objął gen. Sosnkowski. Prezydent Raczkiewicz zobowiązał go do niemieszania się do polityki, co było nierealne. Niektórzy, obawiając się zresztą Sosnkowskiego, proponowali na Naczelnego Wodza Andersa, a zwolennikiem tej kandydatury był nawet Stanisław Kot. Najwyraźniej profesorowi nie przeszła nienawiść do piłsudczyków.

Sosnkowski został odwołany za ostrą krytykę zachowania sojuszników wobec powstania warszawskiego i wraz żoną wyjechał do Kanady, gdzie za resztę oszczędności i kredyt bankowy zakupili farmę. Jego sytuację materialną trafnie podsumował Jan Lechoń, który spotkał go kiedyś w Nowym Jorku. Stwierdził, że skoro generał „pracuje na swej farmie w Kanadzie", to w „tutejszych stosunkach oznacza, że jest właściwie swoim własnym parobkiem".

Stanisław Mikołajczyk pozostał premierem do 24 listopada 1944 r., kiedy to podał się do dymisji, a wraz z nim gabinet opuścili przedstawiciele Stronnictwa Ludowego. Nowym premierem został Tadeusz Arciszewski z PPS, ale w lipcu 1945 r. mocarstwa zachodnie wycofały swoje poparcie dla jego gabinetu, uznając Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej z Mikołajczykiem jako wicepremierem. Od tej pory zaczęła się postępująca izolacja polskich władz na uchodźstwie, a ostatnimi państwami w Europie uznającymi rząd londyński były Irlandia (do 1958 r.), Hiszpania (do 1968 r.) i Watykan (do 1972 r.).

Nie przeszkodziło to w kontynuowaniu polskiego piekiełka. Następcą zmarłego w 1947 r. Raczkiewicza został August Zaleski, który po zakończeniu swojej siedmioletniej kadencji odmówił ustąpienia ze stanowiska prezydenta. W tej sytuacji jego przeciwnicy powołali tzw. Radę Trzech z gen. Andersem na czele. Miała to być kolegialna głowa państwa, chociaż organ ten nie miał umocowania w żadnych przepisach konstytucyjnych. System „dwuwładzy" przetrwał aż do śmierci Zaleskiego w kwietniu 1972 r. Wtedy to Rada uległa samorozwiązaniu, przekazując swoje uprawnienia wybranemu przez Zaleskiego następcy, Stanisławowi Ostrowskiemu.

Nie lepiej było z premierami powoływanymi przez Zaleskiego. Hugon Hanke okazał się tajnym współpracownikiem służb PRL i miesiąc po zaprzysiężeniu zbiegł do kraju. Stanisław Cat-Mackiewicz złożył premierostwo i też powrócił nad Wisłę. Chociaż władze na uchodźstwie nie miały żadnych realnych możliwości działania, to jednak przetrwały do upadku PRL.

Znienawidzony w czasie wojny prof. Stanisław Kot powrócił w sierpniu 1945 r. do kraju i został nawet ambasadorem w Rzymie. W związku z pogarszającą się sytuacją PSL został odwołany, ale odmówił powrotu do Polski. Zmarł na emigracji w grudniu 1975 r.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 31615842ca



Leszek Lubicki

Na imaginowanym portrecie Konrada Mazowieckiego z „Pocztu królów i książąt Polski" Jana Matejki władca w prawej ręce trzyma nóż. Nie przypadkiem ukazany został w sposób właściwy nie dla rycerza, lecz dla skrytobójcy...



Konrad Mazowiecki według Jana Matejki

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Lata 1217 i 1239 / Książęca zemsta na wojewodzie Krystynie i Janie Czapli

Dwa mordy Konrada

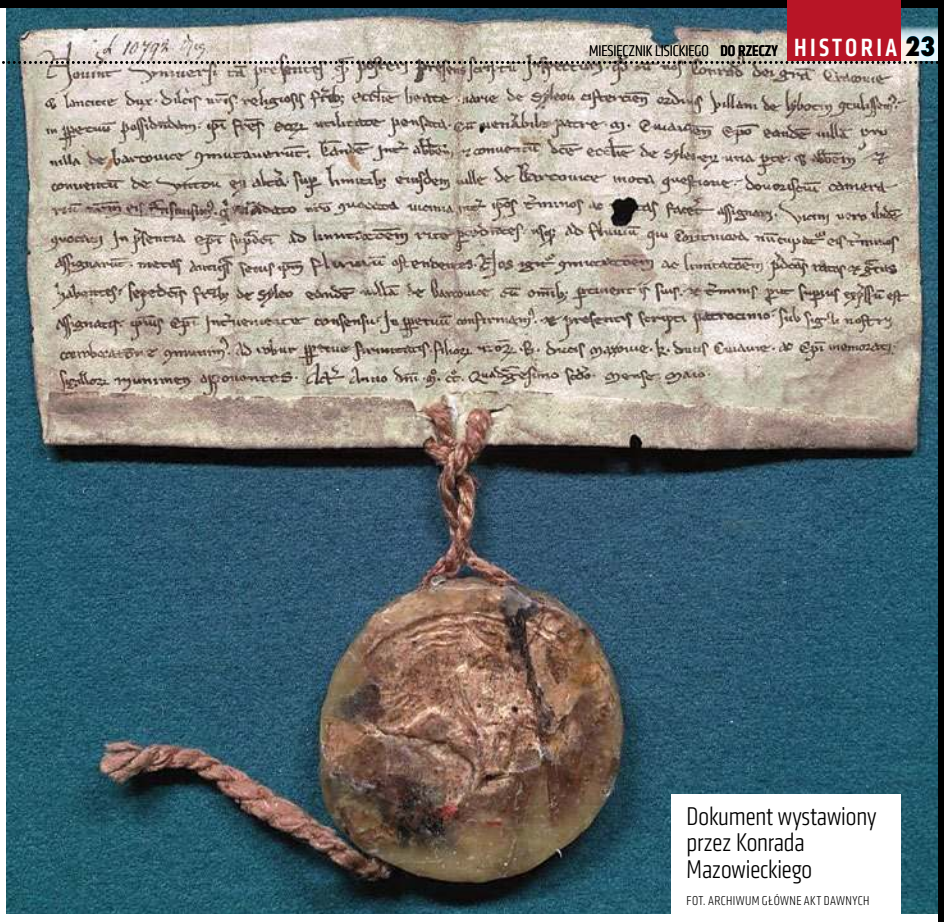
Co chciał przez ukazanie tego atrybutu, przecież nieksiążęcego, zasugerować nam mistrz Matejko? Odpowiedź wydaje się jasna – władca Mazowsza był „zbrodniczym okrutnikiem". Tak przynajmniej nazywali go historycy współcześni naszemu wybitnemu malarzowi i tak też Matejko go przedstawił. Co oczywiście nie przesądza, że książę własnoręcznie dokonał zabójstwa swojego wojewody Krystyna czy scholastyka Jana Czapli.

Po tajemniczym, niewyjaśnionym do dzisiaj zejściu z tego świata swego ojca, Kazimierza Sprawiedliwego, Konrad otrzymał od panującego wówczas księcia seniora Mieszka III Starego pod zarząd Mazowsze. Osiadł tam jednak dopiero po śmierci starego stryja, prawdopodobnie w roku 1202, przyłączając do swojej prowincji także część Kujaw. Miał wówczas ok. 14 lat, zatem był zbyt młody, aby samodzielnie sprawować rządy w nadanej mu dzielnicy. Opiekę nad nim objął przypuszczalnie wojewoda płocki Krystyn. Nasz największy dziejopis Jan Długosz określił palatyna mianem „dzielnego rycerza, kwiatem całego Mazowsza", mając oczywiście na myśli jego walkę z zagrażającymi od lat Mazowszu Prusami, gdy odpierał skutecznie ich najazdy. A lud to był, jak czytamy w „Kronice wielkopolskiej", „najokrutniejszy, z powodu dzikości groźniejszy od wszystkich

eprasa.pl 31615842ca

dzikich zwierząt, a zamieszkuje rozległą puszczę".

Przypomnijmy, że Krystyn to także bohater bitwy pod Zawichostem stoczonej w roku 1205 z Rusinami. Wówczas zginął najeźdźca, książę halicko-włodzimierski Roman. Obok siebie stali Konrad z oddziałami mazowieckimi i jego starszy brat Leszek Biały ze swoim wojskiem, ale z powodu ich młodego wieku nie pozwolono im czynnie w walce uczestniczyć. Laur zwycięzcy niestety nie przypadł wtedy ani Leszkowi, a tym bardziej ambitnemu Konradowi, tylko dowodzącemu wojskami polskimi Krystynowi. Niemniej to właśnie Konrad, mimo że był „znanym z płochości i nikczemności umysłu" (Szujski, 1862), według Henryka Samsonowicza, „stworzył wielkie Mazowsze, jednostkę terytorialną pokrywającą się z ziemiami, które dziś uważamy za mazowieckie" (Samsonowicz, 2008), panując tam prawie pół wieku. Konrad to w linii prostej wnuk Bolesława Krzywoustego i dziadek Władysława Łokietka oraz protoplasta Piastów mazowieckich. Ta linia dynastii wygasła dopiero w 1526 r., a więc z grubsza 300 lat po śmierci Konrada.



Dokument wystawiony przez Konrada Mazowieckiego

FOT. ARCHIWUM GŁÓWNE AKT DAWNYCH

Zabójstwo wojewody

W „Roczniku kapituły krakowskiej" pod rokiem 1217 zapisano, że „Krystyn palatyn Mazowiecki, dzielny żołnierz, został na rozkaz księcia Konrada oślepiony, a na koniec brutalnie uduszony". Zatem po niemal dekadzie od objęcia władzy na Mazowszu Konrad skazuje na śmierć własnego wojewodę. Kazał wyłupić mu oczy, a następnie udusić. „Czyn ten gwałtowny i srogi w całej Polsce sprawił wielkie wrażenie. Tajemnica pokryła przyczynę książęcego gniewu, a obok suchej wzmianki o straceniu Krystyna zapisano w rocznikach, że w nim zginął kwiat mazowieckiego rycerstwa, runęło przedmurze Mazowsza, że w tej ziemi mlekiem i miodem płynącej miód odtąd w piołun, mleko w zatrute męty poczęło się zmieniać" (Smolka, Sokołowski, 1893).

Czy udało się do czasów obecnych odkryć tę „tajemnicę" skazania wojewody Krystyna na okrutną śmierć, skoro od napisania powyższych słów badania historyczne posunęły się niezmiernie do przodu? Niestety, do tej pory dysponujemy jedynie hipotezami. Zauważmy też, że wszystkie te domysły i tak wywodzą się od słów, które zapisał Jan Długosz sześć stuleci temu, tylko różne wyciągane są z nich wnioski. Kronikarz przedstawił długi opis tego wydarzenia pod rokiem 1217. Przytoczmy go z dużymi skrótami:

„Pod jego zarządem i zwierzchnictwem [Krystyna – przyp. red.] Mazowsze i Kujawy uzyskały spokój, rosły bardzo dochody książęce, zbrodniarzy karano, a ludzi uczciwych obdarzano zaszczytami. Kiedy on karci swego księcia za wyuzdane i rozpustne obyczaje, które go doprowadziły do wszelkich sromotnych i zdrożnych czynów, gdy go napomina i nakłania najpierw prywatnie, a potem wobec doradców, żeby zaniechał niektórych niegodziwych wykroczeń i niedozwolonych postępków i oddał się życiu cnotliwemu, Konrad nie mogąc znieść tych zbawiennych napomnień, nie wytrzymał. Uniósłszy się niesłusznym gniewem, więzi i zamyka w brudnym więzieniu wymienionego wojewodę Mazowsza Krystyna, szczodrego obrońcę i stróża swego honoru i dobra, nadto swego receptora, wychowawcę i nauczyciela z lat chłopięcych […]. W tym czasie wielu jego wrogów […], a szczególnie jego kanclerz Jan Czapla donosił na niego wiele oszczerstw i zmyślonych zarzutów Konradowi, który wszystko przyjmował z łatwowiernością. Podrażniony nimi do żywego książę Konrad polecił najpierw wymienionego wojewodę Krystyna we wsi Kowale oślepić. Nienasycony jednak tym okrucieństwem, idąc za podszeptem najgorszych pochlebców, morduje oślepionego bardzo dzielnego rycerza, kwiat całego Mazowsza, człowieka znanego z bohaterskich czynów, z którym nie mógł się równać […]. Konrad nie mogąc ścierpieć tej sławy z obawy, że Krystyn jemu i jego synom da odczuć swoją przewagę, kazał go niesłusznie w okrutny sposób zgładzić". Ze słów Długosza możemy wyczytać nie jedną przyczynę wydania rozkazu pozbawienia życia wojewody, a dwie. Pierwsza – obyczajowa – to zemsta za zwrócenie mu publicznie uwagi na niecnotliwe prowadzenie się i druga – zazdrość o rosnącą popularność Krystyna na Mazowszu, a nawet w całej Polsce, co mogło w przyszłości zaszkodzić Konradowi i jego potomstwu.

eprasa.pl 31615842ca



Kielich Konrada Mazowieckiego

FOT. LESZEK LUBICKI

Jak zauważył Paweł Jasienica: „Możliwe, iż wojewoda, będący jednostką naprawdę wybitną, zanadto wyrósł i zaczynał brać górę nad samym księciem". Sprawa zbrodni nie wydaje się jednak tak prosta. Henryk Samsonowicz przypuszcza, że Krystyn być może wystąpił przeciwko Konradowi, sprzyjając innym władcom dzielnicowym. Długosz wspomniał o bohaterstwie Krystyna, określając go mianem „dzielnego rycerza, kwiatem całego Mazowsza", mając oczywiście na myśli jego walkę z Prusami. Uczony stawia hipotezę, że „mogło być też tak, że jego działania nie były tak skuteczne, jak przedstawiało to późniejsze kronikarstwo", a być może także w grę wchodziło „nieposłuszeństwo starszego, doświadczonego wojownika". Dalej historyk konkluduje: „Tak czy owak ten czyn Konrada przyniósł mu szkodę, straty terytorialne, złą opinię u współczesnych i potomnych". Jednak „Krystyn stał się po śmierci obiektem czci wśród mazowieckiej ludności, próbowano go wynieść na ołtarze". Faktem jest, że po jego śmierci najazdy Bałtów okrutnie spustoszyły północne Mazowsze i ziemię chełmińską, szczególnie w latach 1218 i 1220.

Zawróćmy uwagę na rzecz w przypadku takiej zbrodni niezwykle istotną. „Episkopat po tragicznej śmierci wojewody nie potępił odpowiedzialnego za nią Konrada oraz nie popierał propagowania świętości Krystyna" (Teterycz-Puzio, 2019). Prawie zawsze biskupi takie czyny ostro piętnowali, natomiast tutaj, jak widzimy, wstrzymali się od nałożenia na księcia choćby zwykłej pokuty, a przynajmniej nic nam na ten temat nie wiadomo. Musiała być zatem jakaś tego przyczyna. Krystyn inaczej widział ponoć sprawę pruską niż Konrad i miał odmówić kolejnej krucjaty na ich tereny. W tym czasie z nominacji papieża prawo chrystianizacji Prus dzierżył biskup misyjny, cysters Chrystian, zapewne Niemiec (w dzisiejszym rozumieniu), który starał się uniezależnić od księcia Konrada. Wojewoda Krystyn chętnie z nim współpracował, co nie podobało się dwóm polskim hierarchom – abp. Kietliczowi i biskupowi płockiemu Gedce. Cytowana uczona uważa, że obawiali się oni sytuacji, w której pozycja Chrystiana stanie się zbyt mocna. „Zatem niekoniecznie poparli stanowisko papieskie wobec sposobu chrystianizacji Prusów i wyboru wykonawców tego zadania". Nie dziwi zatem, że polski Kościół w osobach jego hierarchów milczał po okrutnym uśmierceniu wojewody, gdyż to Konrad prowadził zgodną z ich linią politykę, w przeciwieństwie do wojewody.

Możemy zatem przypuszczać z dużą dozą prawdopodobieństwa, że wydanie rozkazu zamęczenia na śmierć wojewody przez księcia Konrada podyktowane było względami politycznymi – stosunek do Prus, odmowy kolejnej na nich krucjaty i podjęcie współpracy z cystersami, jego wysoka pozycja i popularność wśród ludu – a nie obyczajowymi, jak wspomniane przez Długosza „wyuzdane i rozpustne obyczaje", których książę miał jakoby się dopuszczać. Faktem jest, że „od roku 1217 książę mazowiecki nie pozwolił już nikomu na osiągnięcie tak dużego znaczenia w swoim księstwie" (Barański, 2005), które do tego czasu posiadał Krystyn. Wydaje się prawdopodobne, że z tego właśnie powodu „w otoczeniu wojewody było wielu nieprzychylnych mu ludzi, którzy przeciw niemu mogli podburzać księcia" (Teterycz-Puzio, Zamachy, 2019).

Patena Konrada Mazowieckiego FOT. LESZEK LUBICKI



Kaźń Jana Czapli

W cytowanym fragmencie „kroniki" Długosza zwróćmy uwagę na jedno podane nazwisko. Książę rozkaz wydaje „za podszeptem najgorszych pochlebców". Wymienia tu z imienia Jana Czaplę. Tego doradcę księcia spotka 22 lata później podobny los. Czyżby Konrad zrozumiał, że popełnił błąd, skazując na śmierć wojewodę Krystyna z podpuszczenia Jana Czapli, i kazał go w szalonym gniewie zabić? Takie przypuszczenia czasami pojawiają się w przestrzeni historyczno-publicystycznej. Egzekucja wojewody Krystyna miała miejsce w roku 1217, a powieszenie Jana Czapli w 1239 r. Czy możliwe było, aby po ponad dwóch dekadach ruszyło sumienie takiego twardziela, którym był Konrad, który przez ten czas miał już tyle za uszami (np. uwięzienie bratowej Grzymisławy i bratanka Bolesława – późniejszego Wstydliwego – czy też porwanie Henryka Brodatego), że raczej nie zaprzątał sobie głowy tak odległą przeszłością?

Interesował go tylko, po zabójstwie starszego brata Leszka Białego, tron na Wawelu, to był cel jego życia, ponieważ „polscy książęta pamiętali, że każdy z nich ma potencjalne prawo do władzy nad dziedzictwem Bolesława Krzywoustego. Pamiętano też o szczególnej roli Krakowa. W XIII wieku każdy ambitny Piast dążył do zdobycia Wawelu i zjednoczenia Polski. Ponieważ jednak ambitnych Piastów było wielu, przeszkadzali sobie nawzajem w osiągnięciu tego celu" (Barański, 2005).

Najpoważniejszym jego rywalem w owym czasie był dziedziczny książę wrocławski Henryk Pobożny, syn i następca zasiadającego wcześniej na krakowskim stolcu i popieranego przez krakowskich panów Henryka Brodatego. I być może w ten konflikt pomiędzy dwoma książętami został wplątany lub wplątał się sam ów scholastyk. Opis

eprasa.pl 31615842ca

tej zbrodni, dokonanej bez sądu, i jej przyczyny pochodzą z „Kroniki wielkopolskiej":

„[...] Konrad opanowany diabelskim szałem kazał schwytać mistrza Jana Czaplę, scholastyka płockiego, i po ochłostaniu wielce udręczonego powiesić jak złodzieja [...]. A to dlatego, że gdy Kazimierz, syn wspomnianego Konrada, pojął za żonę córkę księcia Śląskiego Henryka, wnuczkę księcia Henryka Brodatego i św. Jadwigi, w czwartym stopniu pokrewieństwa z nim, a wspomniany scholastyk był mistrzem i wychowawcą Kazimierza, ten książę Kazimierz dłużej, niż należało, bawił przy żonie w domu teścia, i to wbrew woli ojca. Książę Konrad winą obarczył nauczyciela Jana, ponieważ za jego zgodą i radą książę Kazimierz lekceważąc ojca, ośmielił się to uczynić, i za to porwał się [Konrad] na jego zabicie".

Czyli mamy tu podtekst polityczny, gdyż Henryk Pobożny „właśnie wtedy sprzątnął tron krakowski sprzed nosa księciu mazowieckiemu" (Maciorowski, Maciejewska, 2018). I za to właśnie oberwało się Czapli. Natomiast trudno uwierzyć w tę część zapisu „Kroniki", że syn Kazimierz długo bawił na dworze swojego teścia, przebywając tam wraz z żoną (drugą), co zdenerwowało Konrada. Kazimierz miał wówczas 28 lat i był już wdowcem. Cytowana wyżej Agnieszka Teterycz-Puzio uważa, że mariaż Kazimierza kujawskiego z córką Henryka Pobożnego Konstancją śląską wcale nie musiał zaistnieć z inicjatywy Jana Czapli. Natomiast faktem jest, że małżeństwo to rozpoczęło współpracę syna Konrada z teściem Henrykiem, co było wbrew polityce Konrada w zakresie walki o krakowski tron.

Jak zauważa badaczka, Konrad „wyładował na nim złość" i stał się on po prostu „przysłowiowym kozłem ofiarnym". Taką wymowę znajdujemy także u Jana Długosza, który zapisał, że Konrad kazał wracać synowi z Wrocławia, a ten nie wykonał jego polecenia „za zezwoleniem i zgodą"



Konrad Mazowiecki i jego żona Agafia. Rysunek Jana Matejki

FOT. BIBLIOTEKA CYFROWA UNIWERSYTETU WROCŁAWSKIEGO

Jana Czapli. Wezwał zatem kanonika do siebie i „uniesiony wściekłością, nie zbadawszy sprawy, dopuścił się krwawego i haniebnego występku na niewinnym".

Długosz przy okazji wmieszał w to krwawe wydarzenie żonę księcia, Agafię. Ją właśnie obciążył znęcaniem się nad zwłokami kanonika. Posłuchajmy: „A kiedy zmarł i zdjęto go z pierwszej szubienicy i kilku braci dominikanów wiozło zdjętego do miasta, żeby go pochować, rozwścieczona księżna Agafia spragniona krwi kapłańskiej, jak druga Jezabel, odebrała go im, kazała złożyć na wóz ciągniony przez dwa woły i powiesić na nowo na drugiej przygotowanej umyślnie w tym celu szubienicy koło kościoła św. Benedykta



Pieczęć Konrada Mazowieckiego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/ZIELONOGÓRSKA BIBLIOTEKA CYFROWA

nad Wisłą od strony katedry płockiej, aby był tak odstraszającym, jak i haniebnym widowiskiem". Po tym wydarzeniu na księcia Konrada nałożono klątwę kościelną. Natomiast w żadnych pisanych dokumentach nie znaleziono wzmianek, aby także tę karę otrzymała księżna Agafia czy też starała się o zdjęcie ekskomuniki. Genezy tej zbrodni zapewne nigdy nie poznamy do końca. Konrad pokutował i wydał wiele przywilejów immunitetowych. Dzięki temu wrócił do łask. Dodatkowo książę ufundował dla kościoła płockiego dwa dary znane nam jako „Patena i kielich Konrada Mazowieckiego". I przez fakt dokonania morderstwa do dnia dzisiejszego zachowały się te wybitne zabytki sztuki romańskiej, które obecnie możemy podziwiać w Muzeum Diecezjalnym w Płocku. Co prawda, niektórzy badacze twierdzą, że te dzieła sztuki zdobniczej powstały już po śmierci Konrada (1247), ale na pewno z jego inicjatywy i fundacji. Mamy na nich przedstawione wizerunki Konrada, Agafii oraz dwóch ich synów – Kazimierza i Siemowita, czyli tego księcia, który miał z rozkazu Konrada uwięzić Jana Czaplę. W ten sposób na patenie przedstawiono postaci wszystkich książąt zamieszanych w sprawę śmierci scholastyka.

Jan Matejko w wieku 22 lat wydał album zatytułowany „Ubiory w Polsce 1200–1795". Na jednej z rycin oznaczonej latami 1228–1333 zatytułowanej „Magnaci" przedstawiono dziewięć osób. Trzeci od lewej to Konrad Mazowiecki, a obok niego Agafia. Zauważmy, że Konrad nie ma zarostu. Tak też jest ukazany na patenie. To ten klęczący pokutnik z kielichem w rękach, podpisany jako „Dux Conradus". Zapewne nasz malarz brał wzór dla postaci Konrada i Agafii właśnie z tego zabytku do swoich „Ubiorów". Jakże to inny wizerunek księcia mazowieckiego, niż go Matejko przedstawił lata później w swoim „Poczcie królów i książąt polskich".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA LITERATURA:

Barański M.K., ***„Dynastia Piastów w Polsce"****, Warszawa 2005; Maciorowski M., Maciejewska M.,* ***„Władcy Polski"****, Warszawa 2018; Samsonowicz H.,* ***„Konrad Mazowiecki"****, Kraków 2008; Smolka S., Sokołowski A.,* ***„Królowie i książęta"****, Wiedeń 1893; Szujski J.,* ***„Dzieje Polski"****, t. 1, Lwów 1862; Teterycz-Puzio A.,* ***„Konrad Mazowiecki. Kniaź wielki lacki"****, Kraków 2019; Teterycz-Puzio A.,* ***„Zamachy na Piastów"****, Poznań 2019.*

eprasa.pl 31615842ca



Powstaniec kapitan Nemo / Niespełniona wizja pisarza

Artystyczna wizja „Nautilusa" z powieści Juliusza Verne'a FOT. ADOBE STOCK

Biało-czerwony „Nautilus"



Jakub Ostromęcki

Juliusz Verne chciał, aby protagonista jego powieści, tajemniczy kapitan Nemo, był Polakiem, powstańcem styczniowym, mszczącym się na rosyjskich statkach za doznane krzywdy. O sprawie zaczęto mówić szerzej w latach 90. XX w., wraz z opublikowaniem korespondencji między pisarzem a jego wydawcą

W 1863 r., tuż po wybuchu powstania styczniowego, cesarz Francuzów Napoleon III zebrał koalicję kilu europejskich potęg, które wysłały do cara żądanie przywrócenia w Kongresówce stanu względnych swobód, istniejących tu jeszcze przed powstaniem listopadowym. Car żądanie oczywiście odrzucił. Logiczną konsekwencją powinna być więc wojna, ale do kolejnego starcia z Rosją, choćby i zwycięskiego, jak onegdaj w wojnie krymskiej, nikt z zebranych naprędce francuskich sojuszników się nie kwapił. Francja sama wojować nie zamierzała i tak na początku 1864 r. w Pałacu Tuileries zarzucono plany zbrojnej pomocy Polakom.

Przeciętny Francuz wyrażał się wówczas o nas pozytywnie – powstanie wspierali zarówno socjaliści, jak i liberalni republikanie. Tej propolskiej fali dał się ponieść również Juliusz Verne, który w naszej sprawie, choć mniej przychylnie, już raz się wypowiadał. W 1848 r. w czasie Wiosny Ludów młody prawnik popełnił bowiem referat zatytułowany „Czy Francja ma moralny obowiązek interweniować w Polsce?". Według czasopisma „Nautilus" wydawanego przez miłośników prozy pisarza tekst był „ćwiczeniem retorycznym na zadany temat, być może napisanym na potrzeby kółka samokształceniowego studentów ulicy Portier, do którego Verne wówczas należał". Referat ten, napisany językiem emocjonalnym, dusznym, nieraz mętnie, roi się od merytorycznych błędów, skrótów myślowych i niedorzeczności. Dwudziestoletni Verne przytacza tu dzieje Polski, skacząc po stuleciach, mieszając fakty, po macoszemu traktując podstawową chronologię. W drugiej części przechodzi do zarzutów wobec naszych elit. Tu jest bardziej konkretny. Stwierdza, niestety słusznie, że rozbiory ściągnęliśmy sobie na głowy sami, nie potrafiąc sprawnie rządzić, że nie pasują do nas ani prawdziwa monarchia, ani prawdziwa demokracja, bo szlachta wyklucza z niej chłopów i mieszczan. Emigracyjnej arystokracji zarzuca pychę i roszczeniowość. Jako zdeklarowany francuski republikanin ciepłe słowa znajduje dla Kościuszki: „To zwycięzca, to zwyciężony, ale zawsze przepełniony entuzjazmem i honorem, dokonujący nadludzkich wysiłków". Twierdzi, że Francja za czasów Napole-

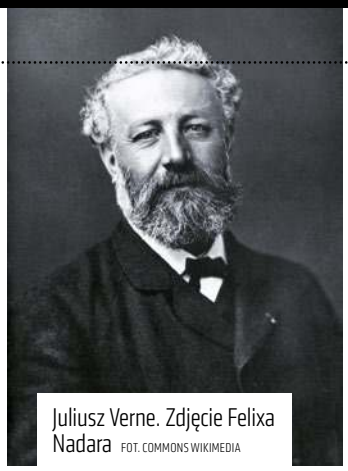
eprasa.pl 31615842ca

ona uczyniła już wobec nas wszystko, co mogła, a teraz, zajęta budową nowego społeczeństwa, nie powinna ryzykować kolejnej krwawej wojny w naszym imieniu: „Francja nie może, w imię żadnego zobowiązania, złamać życia milionów ludzi i wydać na łup śmierci tych, którzy uczą się teraz wielkich rzeczy, nadziei, przyszłości". Co innego pomoc represjonowanym Polakom: „Kiedy nie można pomóc w inny sposób, należy go z dobrocią przygarnąć. I to właśnie uczyniła Francja. Oto jej największy tytuł do chwały: od wielu lat niesie pocieszenie".

Kościuszko z „Nautilusa"

W latach 60. XIX w., pracując nad „20 000 mil podmorskiej żeglugi", Verne przyniesie nam pocieszenie po raz drugi. Stworzy jedną z barwniejszych postaci w całej plejadzie swoich bohaterów. Mizantropicznego kapitana łodzi podwodnej „Nautilus", owładniętego rządzą zemsty za jakieś straszne krzywdy. Surowego, porwanego obłędem, nieraz okrutnego, ale honorowego. Kapitan Nemo zostanie polskim szlachcicem.

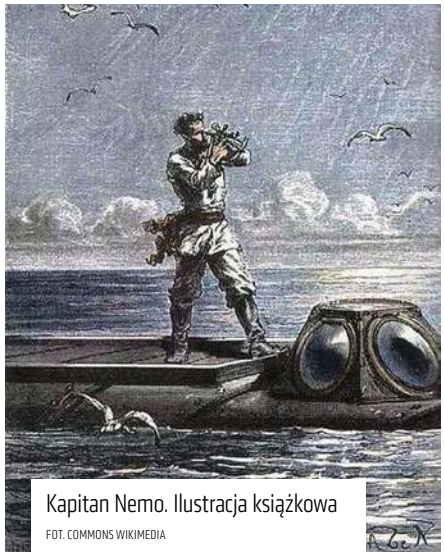
Wiosną 1869 r. Verne zachwalał swój pomysł, pisząc do Pierre'a-Jules'a Hetzla, swojego wydawcy: „Gdyby Nemo był Polakiem, którego żona padła martwa pod knutem, a dzieci pomarły na Syberii, to co ów Polak zrobiłby, gdyby nadarzyła mu się możliwość zemsty? Gdybyś był tym Polakiem, zachowałbyś się tak samo, i ja tak jak ty". Hetzel był jednak sceptyczny. Przede wszystkim bał się reakcji rosyjskich wydawców, księgarzy i czytelników. Dzieła Verne'a od kilku lat były już przetłumaczone i dostępne w imperium carów. Na postawę Hetzla mogła wpłynąć również jego kochanka Maria Wielińska, ukraińska pisarka pisząca pod pseudonimem Marko Wowczok i tłumaczka dzieł Verne'a na rosyjski, w której dziełach szlachta czy też ziemianie polscy przedstawieni są na wskroś negatywnie. Verne liczył się ze zdaniem swojego wydawcy. Hetzel kilka lat wcześniej rzekł wprost, że nie zamierza wydać „Paryża w XX wieku", na co pisarz bez mrugnięcia okiem się zgodził. Verne bronił teraz swojej idei, ale



Juliusz Verne. Zdjęcie Felixa Nadara FOT. COMMONS WIKIMEDIA

gotowy był do kompromisu: „Przez dwa lata żyję z nią i nie potrafię widzieć jej inaczej [...]. Przekaż mi swoje spostrzeżenia, a ja wezmę pod uwagę wszystko to, co będzie możliwe. Postąpię tak jak zawsze i w końcu znajdziemy wspólne rozwiązanie". I dalej: „Załóżmy, że Nemo jest Polakiem, a zatopiony [przez niego – przyp. J.O.] statek jest rosyjski. Czy będzie choć cień sprzeciwu wobec tego? Nie, po stokroć nie! [...] Ponieważ nie możemy tego powiedzieć wprost – to z pewnego punktu widzenia byłoby drażliwe – pozwólmy się domyślać, że tak właśnie mogło być". „Trzeba zachować niepewność co do jego narodowości oraz osoby, a także przyczyn, jakie popchnęły go do tak dziwacznej egzystencji [...]. Nie chcę uprawiać polityki, na której się mało znam, która nie ma z tym nic wspólnego".

W czasie owych gorących sporów Hetzel zaproponował jeszcze, aby uczynić Nemo mścicielem niewolnictwa polującym na statki handlarzy żywym towarem. Byłoby to głęboko humanistyczne, a także zyskowne. Nemo abolicjonista



Kapitan Nemo. Ilustracja książkowa FOT. COMMONS WIKIMEDIA

spodobałby się postępowym czytelnikom z Nowego Jorku czy Chicago. Ten pomysł z kolei Verne uznał za anachroniczny – nawet w południowych stanach USA sprowadzanie niewolników zza morza było nielegalne na grubo przed akcją powieści. Tak wykreowany Nemo powinien więc służyć w armii Unii, a nie pływać po oceanach. Stanęło na tym, że przez całą powieść nie dowiemy się, jakiej narodowości jest Nemo ani jaką banderę wywiesza polujący na niego okręt, ostatecznie posłany na dno przez „Nautilusa". Verne był zadowolony z kompromisu: „Teraz, gdy została tylko walka Nemo przeciw urojonemu i równie tajemniczemu jak on przeciwnikowi, nie mamy do czynienia z niczym więcej jak tylko pojedynkiem między dwoma postaciami. To znacznie umniejsza wagę problemu".

Na polski trop naprowadza nas delikatnie tylko jeden fragment, gdy wraz z bohaterami zwiedzamy jedno z pomieszczeń okrętu: „Były to portrety wielkich postaci historycznych, których życie było pasmem poświęceń dla ludzkości: oto Kościuszko, zwyciężony bohater, który padł ranny z okrzykiem »Finis Poloniae!«". Wszystkie jawne nawiązania do powstańczej przeszłości Nemo zniknęły, zanim Verne sięgnął po pióro. Sam przyznawał, że byłby niezdolny do przeróbek już przelanej na papier tak wspaniałej idei.

Powieść w formie książki ukazała się w 1870 r. Cztery lata później wydana została ostania część oceanicznej trylogii, czyli „Tajemnicza wyspa". Pod jej koniec okazuje się, że Nemo nie jest Polakiem, lecz indyjskim księciem mszczącym się na Brytyjczykach za represje po stłumieniu powstania sipajów. Jakaż niekonsekwencja wobec poprzedniej powieści! Przecież Hindusa bohaterowie „20 000 mil..." rozpoznaliby od razu. To nie Verne pogrzebał jednak koncepcję pochodzenia tajemniczego kapitana. Krzysztof Czubaszek w artykule „Podwodny powstaniec" opublikowanym w „Nautilusie" stwierdza: „Dzięki analizie rękopisu powieści wiadomo jest, że zakończenie trylogii to niemalże autorskie dzieło samego Hetzla". Verne przełknął tę gwałtowną ingerencję we własny tekst bez specjalnego awanturowania się.

Dlaczego jednak Hetzel, tak bojący się utraty czytelnika rosyjskiego

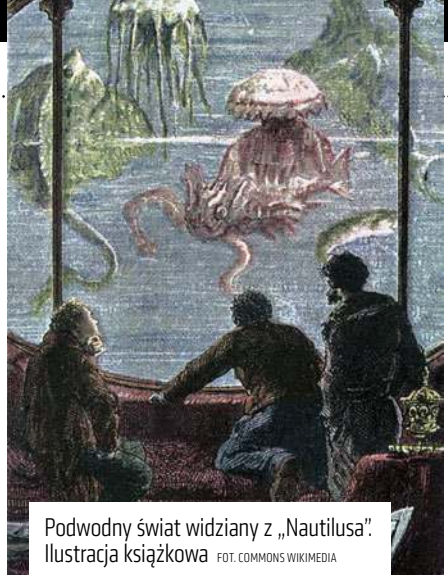
eprasa.pl 31615842ca

zniesmaczonego polskim wątkiem, nie bał się, że tym razem na postępowanie Nemo obrazi się czytelnik angielski? Otóż wyspiarze w takich sprawach postępowali dużo bardziej pragmatycznie niż Rosjanie. W brytyjskim wydaniu „Tajemniczej wyspy" wycięto po prostu kłopotliwy fragment. Zarówno zaspokoiło to narodową dumę, jak i pozwoliło zapełnić kieszeń wydawców i księgarzy. Okrojona wersja powieści wydawana była w Wielkiej Brytanii do połowy XX w.

W ten oto sposób lista poloników w prozie Verne'a okazuje się nad wyraz szczupła. Obok portretu Kościuszki na pokładzie „Nautilusa" w „Dzieciach kapitana Granta" mamy jeszcze niejakiego Pana Otovana, właściciela wyspy Amsterdam, którego pierwowzorem był Adam Mierosławski, brat słynnego Ludwika, powstańca i działacza niepodległościowego. Adam w 1848 r. sprzedał swoje posiadłości i uzyskane pieniądze dał bratu na wsparcie powstania w Wielkopolsce. Zmarł na Oceanie Indyjskim w 1851 r. w niewyjaśnionych okolicznościach. W polskim tłumaczeniu „Testamentu dziwaka" Verne'a, wydanym na ziemiach polskich w 1902 r., występuje jeszcze Helena Nałęcz, szlachcianka i emigrantka. W oryginale próżno jednak szukać tej postaci.

Prawdziwy Nemo

Tymczasem prawdziwego kapitana Nemo nie trzeba było wcale szukać w indyjskich tropikach czy w polskim dworku. Objawił się po drugiej stronie Atlantyku. Amerykański wynalazca, mechanik i przedsiębiorca Simon Lake urodził się w New Jersey 1866 r., czyli cztery lata przed premierą „20 000 mil...". Jako kilkunastolatek przeczytał podwodną epopeję kapitana Nemo i od tamtego momentu przyświecał mu jeden cel – przekuć fantazję w rzeczywistość. Już jako dorosły inżynier przejął odlewnię ojca. Bodziec do zrealizowania marzeń dała mu marynarka wojenna USA, ogłaszając przetarg na budowę okrętu podwodnego. Lake wynajął więc kilka magazynów w porcie i w 1898 r. miał gotową jednostkę. Mierząca 11 metrów wrzecionowata konstrukcja ochrzczona jako „Argonaut", przypominająca jako żywo powieściowego „Nautilusa", przepłynęła z Norfolk do Sandy Hook, kilkaset kilometrów wzdłuż wybrzeża USA. Choć „przepłynęła" to nie najlepsze słowo – „Argonaut" poruszał się na kołach po dnie morskim. Zasysanie powietrza i odprowadzanie spalin silnika odbywało się za pomocą dwóch długich rur wystających ponad lustro wody.



Podwodny świat widziany z „Nautilusa". Ilustracja książkowa FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Był to przełomowy moment dla dziejów okrętów podwodnych. Verne rezydował wówczas w swoim ulubionym Amiens z dala od paryskiego zgiełku. Gdy dowiedział się o wyczynie Lake'a, natychmiast wysłał do niego telegram gratulacyjny. Jego konkluzja brzmiała: „Choć moja książka »20 000 mil podmorskiej żeglugi« jest w pełni produktem wyobraźni, to jestem przekonany, że wszystko to, co tam napisałem, właśnie się ziszcza". Verne jako zdeklarowany amerykanofil cieszył się, że to właśnie za oceanem dokonano tak spektakularnego wyczynu.

„Argonaut" nie został przez US Navy zaakceptowany, ale już kolejne konstrukcje Lake'a jak najbardziej. Verne, humanista, wierzący w ludzki postęp, w swoim telegramie chwalącym wyczyn Amerykanina przewidywał głównie wojenne zastosowanie nowego wynalazku i był z tego powodu najwyraźniej ukontentowany. Pisarze dwudziestolecia międzywojennego, którzy częstokroć doświadczyli skutków zastosowania gazów bojowych i karabinów maszynowych, nie mówiąc już o tych, którzy widzieli spopieloną Hiroszimę, mówili już zupełnie innym językiem. Europejczyków drugiej połowy XIX w. cechował jednak w kwestii wojskowej technologii nieposkromiony optymizm. Pozostając więc w klimacie epoki Verne'a, przyjrzyjmy się, jak bardzo narzędzie zemsty kapitana Nemo bliskie było współczesnym okrętom podwodnym.

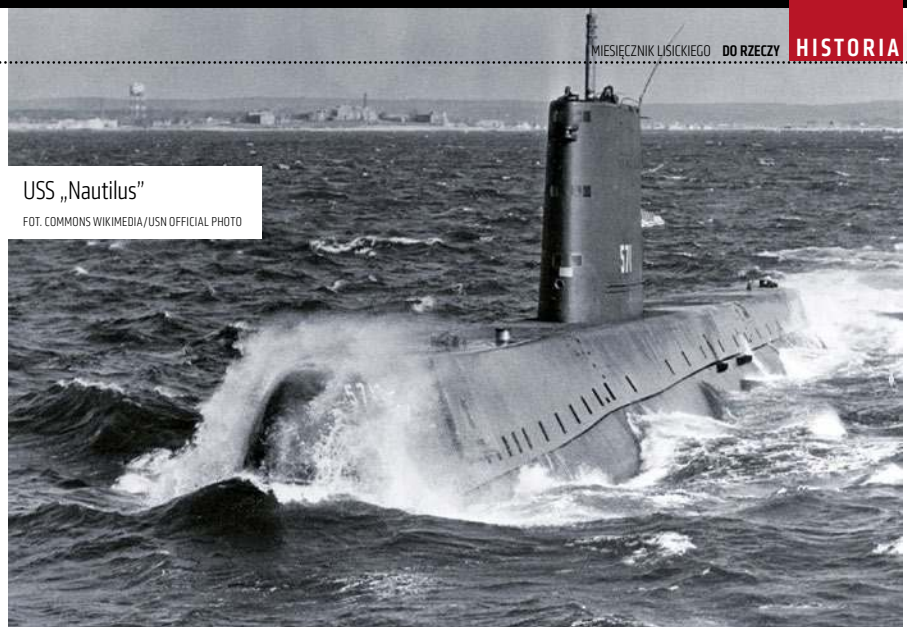
Wielkość Verne'a polegała na tym, że egzotyczne peregrynacje swoich bohaterów okraszał technologicznym wizjonerstwem, które miało jednak bardzo solidne podstawy w odkryciach naukowych połowy XIX w. W czasach Verne'a istniały już prototypowe silniki elektryczne, potrafiono wytapiać giętką i wytrzymał stal, istniały skafandry podwodne bazujące na jeszcze wcześniejszych dzwonach nurkowych. Sam pisarz był z zamiłowania żeglarzem, co miało niebagatelny wpływ na tworzoną przez niego fabułę.

Powieściowy „Nautilus" miał wrzecionowaty kształt. Jego dziób przechodził w stalową ostrogę służącą do taranowania burt wrogich okrętów. Kadłuby okrętów zbudowane w połowie XX w., w tym tych służących w trakcie drugiej wojny światowej, przypominały raczej okręty nawodne – bo i większość czasu, z powodu niedoskonałości akumulatorów, spędzały w wynurzeniu. Opływowy kształt kadłubów, przypominający nie tyle wrzeciono, ile cygaro, pojawi się dopiero w okresie zimnej wojny wraz z prawdziwym USS „Nautilus", który będąc pierwszym okrętem o napędzie nuklearnym, nie musiał się bez przerwy wynurzać. Współczesne okręty podwodne nie mogą pozwolić sobie na wrzecio-



Maszynownia „Nautilusa". Ilustracja książkowa FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl 31615842ca



USS „Nautilus”
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/USN OFFICIAL PHOTO

nowaty, ostry kształt. Po pierwsze, nie taranują swoich przeciwników. W cygarowatym, tępym przedzie okrętu można pomieścić dużo więcej urządzeń, takich jak sonary czy torpedy.

Kapitan Nemo nie zbudował w swoim „Nautilusie” kiosku, czyli nadbudówki chroniącej i stabilizującej długie maszty peryskopów i anten, a służącej zarazem jako mostek kapitański, gdy okręt płynie wynurzony. W czasie swoich rejsów na powierzchni morza powieściowy kapitan wychylony jest z włazu lekko wystającego ponad fale, co w rzeczywistości byłoby pomysłem dość niebezpiecznym. Verne'owski „Nautilus” miał proporcje zbliżone do prawdziwego nuklearnego „Nautilusa”, zbudowanego 80 lat po premierze powieści. Podobnie było ze stosunkiem wyporności w wynurzeniu i zanurzaniu. Dla powieściowego „Nautilusa” wynosił on 1356:1507 ton. Dla porównania: amerykański okręt podwodny klasy Los Angeles, produkowany masowo od lat 70., ma stosunek wyporności 6300:6900 ton.

Podwodny salon

Verne przewidział, że okręt podwodny dla bezpieczeństwa trzeba będzie podzielić grodziami, a drzwi w nich powinny być uszczelnione. Trafnie konkludował również, że okręt, jeśli chce przebywać pod wodą tak długo i tak głęboko jak w powieści, powinien mieć napęd elektryczny. Taką drogą poszła właśnie XX-wieczna technologia. Problem w tym, że akumulatory okrętów podwodnych w czasie drugiej wojny światowej rozładowywały się bardzo szybko. Manewrujący pod wodą i strzelający torpedami okręt mógł w zaledwie 30 minut wyczerpać zapas prądu! Aby tego uniknąć, potrzebne były generatory Diesla, które doładowywały akumulatory. Silnik czy generator Diesla potrzebuje jednak powietrza. U Lake'a doprowadzała je długa rura, w trakcie drugiej wojny światowej wykorzystywano do tego chrapy – czyli również rury, ale nie tak groteskowe jak w „Argonaucie”, lecz wystające lekko ponad kiosk okrętu.

„Nautilus” Verne'a mknie pod wodą z prędkością 50 węzłów. Jest to olbrzymia prędkość nawet jak na standardy współczesnych atomowych okrętów podwodnych. Światowy nieoficjalny rekord prędkości pod wodą został osiągnięty w latach 60. na sowieckim „K-222” i wyniósł niecałe 50 węzłów. Podobnie zawrotne jest zanurzenie okrętu Verne'a. Kapitan Nemo schodzi głębiej niż Rów Mariański – przy takiej konstrukcji kadłuba powieściowy „Nautilus” zostałby z pewnością zmiażdżony przez ciśnienie wody. „Nautilus” wynurza się z głębin z całkowicie fantastyczną prędkością 130 węzłów. Tymczasem prędkość awaryjnego wynurzania współczesnych okrętów podwodnych wynosi... 30 węzłów.

Skąd powieściowy silnik czerpie prąd? Kapitan tłumaczy, że pozyskuje sód z wody morskiej. Pierwiastek ten Nemo stosuje potem do ładowania „stosów”, czyli baterii, mając pewnie na myśli wynaleziony w 1812 r. stos Zamboniego. Jak dokładnie kapitan doprowadza do wytworzenia potężnego napięcia i jakim cudem owego prądu w „stosach” wystarcza na pół roku? Tego Verne nie wyjaśnia. Dwudziestowieczni konstruktorzy, chcąc utrzymywać swoje okręty całymi miesiącami pod wodą, musieli czekać aż do nadejścia ery atomowej – a tutaj akurat słowo „stos” jest jak najbardziej na miejscu.

„Nautilus” kapitana Nemo tak samo jak wszystkie współczesne okręty posiada zbiorniki balastowe, czyli przestrzenie w dolnej części kadłuba, które wypełniają się wodą, gdy okręt się zanurza, i opróżniane są w momencie wynurzenia. Dziś jednak, w przeciwieństwie do wizji Verne'a, okręty zmieniają zanurzanie, stosując stery głębokości. Wynurzenie poprzez opróżnienie zbiorników balastowych stosuje się w sytuacji awaryjnej. Powietrze potrzebne do życia okręt kapitana Nemo czerpie niczym wieloryb, wynurzając się na powierzchnię i napełniając zbiorniki, dzięki czemu można swobodnie oddychać pod wodą przez kilka dni. Dzisiejsze okręty stosują zbiorniki ze sprężonym tlenem, uwalniając go w odpowiednich sekwencjach lub wytwarzając „na miejscu” z wody w generatorach tlenu.

Verne, wykształcony mieszczanin z krwi i kości, wyposażył pomieszczenia „Nautilusa” tak samo, jakby projektował swoje przytulne mieszkanie w kamienicy z balkonem. Olbrzymią część statku zajmuje więc… salon. Są w nim dywan, fotele, sofa i biblioteka, a podmorski świat można oglądać przez bulaj. Nawet najnowocześniejsze okręty podwodne pozwalające załodze żyć wiele miesięcy w zanurzeniu nie mogą sobie pozwolić na podobne marnotrawstwo przestrzeni, gdzie każdy fragment pomieszczenia opleciony jest siecią przewodów i rur. W nowoczesnych nuklearnych okrętach podwodnych można natomiast destylować wodę morską, dzięki czemu marynarze mogą skorzystać z prysznica. O tym z kolei w swoich futurystycznych wizjach nie zająknął się Verne. W tamtym świecie, gdzie chętnie mówiono o szczegółach technicznych silników, opisy ablucji, choćby marginalne, oględne, wciąż były swoistym obyczajowym tabu. Zmienili to dopiero ulubieni przez Verne'a Amerykanie, z łazienki robiąc swoiste domowe miejsce kultu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 31615842ca



Żołnierze przeciwpartyzanckiego oddziału Einheit Josef FOT. DOMENA PUBLICZNA

Druga wojna światowa / Niemcy przeciwko słowackim partyzantom

Rozpracowane powstanie



Arkadiusz Karbowiak

Do walki ze słowackimi partyzantami Niemcy rzucili specjalnie sformowane jednostki. Ich zadaniami były infiltracja powstańczych oddziałów oraz pozbycie się cywilów, którzy udzielali partyzantce pomocy

Klęska powstania słowackiego (sierpień–październik 1944 r.) sprawiła, że powstańcy zmienili taktykę na walkę partyzancką. Obserwujący ten proces Niemcy zrozumieli, że zwalczanie leśnych oddziałów będzie wymagało skierowania do akcji żołnierzy mających doświadczenie w prowadzeniu wojny nieregularnej. Te przemyślenia zbiegły się z procesami reorganizacji, które dotknęły struktury wywiadu wojskowego Abwehry. Podporządkowano je w znacznej mierze VI Urzędowi SD-Ausland (wywiad zagraniczny) RSHA (Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy) kierowanemu przez SS-Brigadeführera Waltera Schellenberga. W jego ramach dowodzący Sekcją S, SS-Obestrumbannführer Otto Skorzeny, otrzymał 13 września 1944 r., od szefa Dowództwa Wojsk Waffen-SS, SS-Obergruppenführera Hansa Jüntera, rozkaz przejęcia istniejących jednostek specjalnych o profilu dywersyjno-sabotażowym. Ich kadrę oficerską i podoficerską stanowili żołnierze z dywizji Brandenburg, którzy zdecydowali się na przejście do szeregów Waffen-SS.

Jedną z takich jednostek była Jagdeinsatz Slowakei. Oddział zaczęto formować w sierpniu 1944 r. w miejscowości Baden koło Wiednia. Zakres jego aktywności obejmował działania dywersyjne, sabotażowe, wywiadowcze oraz antypartyzanckie. Dowódcą mianowano Niemca sudeckiego (od 1938 r. członka NSDAP), SS-Obersturmführera dr. Waltera Pawlowskiego, byłego oficera Dywizji Brandenburg. Jego zastępcą i „prawą ręką" został SS-Oberscharführer Kurt Werner Tutter, również „brandenburczyk".

Tutter, w przeciwieństwie do swego przełożonego (humanisty), był „ścisłowcem", a dokładnie elektromechanikiem i absolwentem czeskiej Wyższej Szkoły Technicznej w Pradze. Dodatkowo posiadał niezwykłe zdolności lingwistyczne i władał ośmioma językami, w tym hebrajskim. Tutter należał od dawna do

eprasa.pl 31615842ca

grona ludzi głęboko zaangażowanych politycznie. Będąc członkiem SdP (Partia Niemców Sudeckich) w Czechosłowacji oraz redaktorem gazet „Der Ruf" i „Nachrichtenblatt der Sudetendeutschen Heimatfront", doskonalił wiedzę nie tylko z zakresu dziennikarstwa, lecz także marketingu i propagandy. Po włączeniu Sudetów do Niemiec objął w Libercu posadę konsultanta w Biurze Propagandy III Rzeszy. Gdy wybuchła druga wojna światowa, Tutter rozpoczął służbę w Abwehrze. Podczas jednej z operacji na Kaukazie w 1942 r. został ranny. Po rekonwalescencji trafił do jednostki Brandenburg, gdzie poznał Oberleutnanta Waltera Pawlowskiego i wraz z nim, 10 września 1944 r., przybył do Bratysławy.



Walter Pawlowski FOT. DOMENA PUBLICZNA

Zmylić wywiady

Początkowo Jagdeinsatz Slowakei liczył ok. 42 ludzi (według innych danych 70) i składał się tylko z Niemców karpackich. W nocy z 29 na 30 sierpnia 1944 r. oddział relokowano do Bratysławy i zakwaterowano w hotelu Albrecht. W stolicy Słowacji żołnierze mieli za zadanie chronić prezydenta, ks. Josefa Tiso, oraz pałac prezydencki, brali także udział w zajęciu budynku ministerstwa obrony narodowej oraz uczestniczyli w rozbrajaniu oddziałów armii słowackiej. Akcjami tymi kierował SS-Oberscharführer Ervin Reindl, szef biura łącznikowo-werbunkowego.

Odpowiadając za proces rekrutacji, kontaktował się on z różnymi niemieckimi i słowackimi instytucjami. Strukturami, do których zwrócił się z prośbą o pomoc w poszukiwaniu ewentualnych wolontariuszy, były Hlinkowa Gwardia i Hlinkowa Młodzież. Z szeregów tych organizacji, a także z utworzonych we wrześniu 1944 r. Oddziałów Szturmowych Gwardii Hlinki (Pohotovostné Oddiely Hlinkovej Gardy), wywodzili się pierwsi słowaccy ochotnicy, którzy znaleźli się w składzie Jagdeinsatz Slowakei. Na początku października 1944 r. oddział przeniesiono do Rarborku, a potem do miejscowości Sekule – obie leżały



Plakat werbunkowy Hlinkovej Gardy (Gwardii Hlinki)
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

w słowackiej, znajdującej się pod całkowitą kontrolą Niemiec tzw. strefie ochronnej.

Szkolenie przebiegało w warunkach quasi-konspiracyjnych. Aby zmylić obce wywiady, jednostkę nazwano Pioniere Ersatz auf Ausbildung Komapnie 675. Zakres zagadnień, które musieli przyswoić żołnierze, obejmował: naukę strzelania, topografię, taktykę maskowania, obsługę radiostacji, obserwację, techniki infiltracji czy używanie materiałów wybuchowych. Liczebność Jagdeinsatz Slowakei, według stanu na 28 lutego 1945 r., wynosiła 10 oficerów, 372 niemieckich podoficerów i żołnierzy oraz 125 Słowaków, z których większość przybyła do jednostki w styczniu 1945 r. (wcześniej pojawiła się mniejsza grupa licząca 40 osób). Stany osobowe cały czas ulegały zmianie, gdyż nie każdego z ochotników instruktorzy uznawali za przydatnego do służby. Ostatecznie utworzono cztery plutony, które następnie, wraz ze wzrostem stanów osobowych, przekształcono w kompanie.

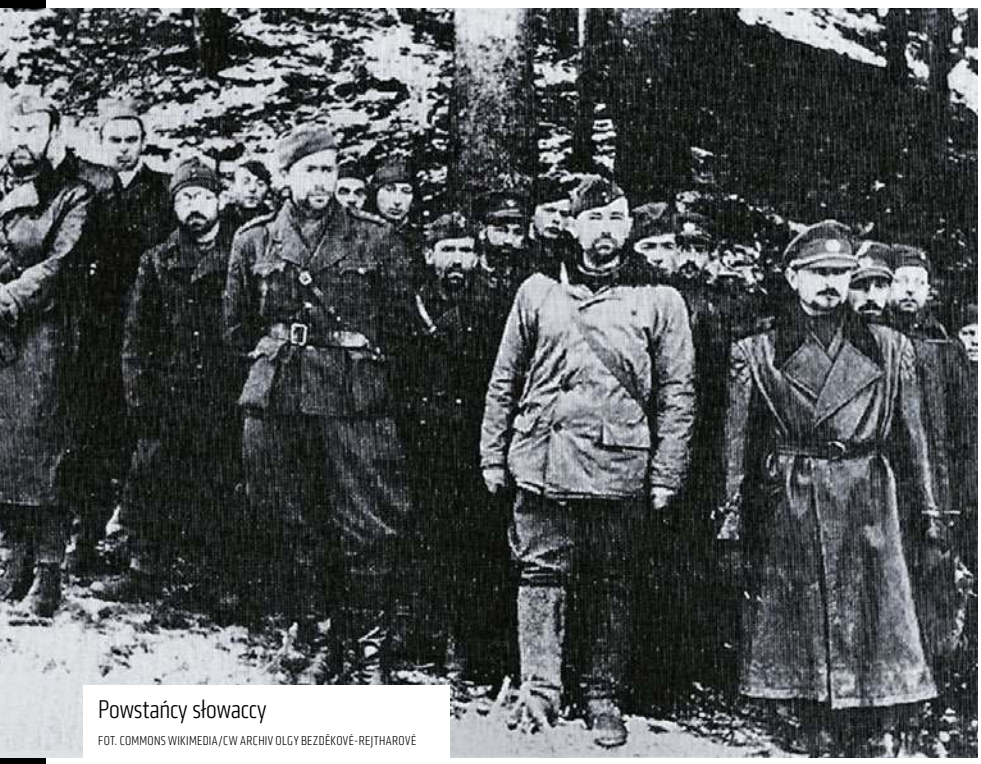
Pod koniec października 1944 r. sztab i dwa plutony przeniesiono do Trenczyńskich Teplic i na tamtym obszarze po raz pierwszy żołnierze Jadgeinsatz Slowakei wzięli udział w operacjach antypartyzanckich. Wtedy do oddziału wstąpił miejscowy współpracownik SD, Ladislav Hudec, jeden z kilku żołnierzy słowackich, który otrzymał Krzyż Żelazny II klasy.

Akcje wymierzone w partyzantów miały brutalny charakter. Walczących Słowaków oraz ich współpracowników zabijano lub brano do niewoli, przesłuchiwano, a następnie przekazywano w ręce SD w Trenczynie. Znajomość języka słowackiego ułatwiała członkom Jagdeinsatz Slowakei infiltrację struktur partyzanckiego zaplecza. Esesmani często podszywali się pod członków podziemia, przez co identyfikowali partyzanckich łączników, logistyków i wywiadowców. Walk z większymi oddziałami partyzanckimi zasadniczo unikano.

W połowie grudnia zaczęto typować osoby, które mogłyby przekroczyć linię frontu i prowadzić na tyłach sowieckich operacje dywersyjne. Był to, poza zwalczaniem rebeliantów, drugi ważny obszar zadań Jagdeinsatz Slowakei. 31 stycznia 1945 r. dowództwo poprosiło o zgodę na przeprowadzenie operacji „Schwein". Do jej realizacji jednak nie doszło ze względu na to, że w lutym zdezerterowało dwóch żołnierzy, Miroslav Dlhoša i Ladislav Klisenbauer (obu uciekinierów zszokowały morderstwa dokonane 18 lutego 1945 r. w Pustým Hradzie, gdzie do szyj ofiar przywiązano materiały wybuchowe

eprasa.pl 31615842ca

i zdetonowano je). Dowództwo uznało, że uciekinierzy posiadają zbyt dużą wiedzę na temat planowanego przedsięwzięcia, i dlatego postanowiło je odwołać. Dopiero 8 kwietnia 1945 r., w okolicach wsi Gajdel, 17-osobowy oddział pod dowództwem SS-Untersturmführera Ferdinanda Sonnebergera przekroczył linię frontu, jednak już trzy dni później grupa została rozbita, a jej członkowie ujęci przez oddziały sowieckie. Wkrótce trybunał wojskowy 40. Armii orzekł wobec nich wyroki śmierci i kary długoterminowego więzienia. Dwóm słowackim ochotnikom udało się uciec na niemiecką stronę i poinformować dowództwo jednostki o całej sytuacji.



Powstańcy słowaccy

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/CW ARCHIV OLGY BEZDĚKOVÉ-REJTHAROVÉ

Stany osobowe Jagdeinsatz Slowakei w tamtym okresie topniały nie tylko z powodu ponoszonych strat i dezercji, lecz także z racji relokacji żołnierzy. Pluton pod wodzą SS-Scharführera Františka Mátela przeniesiono w okolice Pragi. W efekcie 40 Słowaków i 11 Niemców włączono do II Batalionu Slowakische-Grenadier-Regiment Nr 1 „Hlinka Garde" SS-Standartenführera Waltera Domesa. Na przełomie marca i kwietnia 1945 r. Jagdeinsatz Slowakei przemieszczono na Morawy. W tym okresie trzej żołnierze oddziału – Ladislav Hudec, Kimil Gallo i Miroslaw Prengler – zostali skierowani do zniszczenia urządzeń telefonicznych i kolejowych na linii Bratysława – Trenczyn. Kiedy chcieli przedostać się w wyznaczone miejsce, napotkali 51-osobową grupę żołnierzy słowackiej Domobrany chcących zdezerterować (według innych informacji namawiali ich oni do niewykonywania zadania). Wieści o tym przekazano Niemcom i w rezultacie żołnierze Domobrany zostali rozbrojeni. W nagrodę trzej kolaboranci zostali awansowani do stopnia SS-Unterscharführera i odznaczeni Krzyżami Żelaznymi II klasy.

Sowieci, Czesi i Słowacy przeciwko Niemcom

W sierpniu 1944 r., niedaleko wsi Sklabina, wylądował (desantowany na spadochronach) 21-osobowy sowiecki oddział dywersyjny przysłany przez Ukraiński Sztab Ruchu Partyzanckiego. Jego zadaniem było zainicjowanie walk partyzanckich na obszarze Moraw, m.in. w celu odciążenia walczących na Słowacji powstańców. Wspomniany oddział stał się jądrem 1. Czechosłowackiej Brygady Partyzanckiej im. Jana Žižki, w której szeregach walczyło ponad 1,5 tys. partyzantów. Rozwój oddziału był możliwy, gdyż wstępowali do niego uciekinierzy i konspiratorzy zagrożeni aresztowaniem. Od października do grudnia 1944 r., na skutek niemieckich akcji antypartyzanckich, brygada poniosła poważne straty. Zginął wówczas jej dowódca Ján Ušiak (okrążony przez Niemców popełnił samobójstwo), a schedę po nim przejął dotychczasowy zastępca, z pochodzenia Tatar, kpt Dajan Bajanovič Murzin. Brygada prowadziła działalność podzielona na małe, niezależne oddziały. Jednym z nich była, funkcjonująca w pobliżu ukrytej wśród lasów niewielkiej osady Ploština, grupa, nad którą dowództwo sprawowali sowieccy oficerowie: por. Aleksander Kotrialow (poległ 3 kwietnia 1945 r.), por. Nikołaj Kostin (13 kwietnia 1945 r. popełnił samobójstwo po tym, jak odniósł ciężkie rany na skutek nieostrożnego obchodzenia się z pancerfaustem) i ppor. Grigorij Slepstow.

W Boże Narodzenie 1944 r. partyzanci pojawili się u Františka Rašky mieszkającego kilkaset metrów od Ploštiny na polanie w Ryliskách. Został on łącznikiem oddziału. Nadano mu kryptonim Major. Z biegiem czasu liczba osób wspomagających partyzantów systematycznie się powiększała. Ludzie zaopatrywali ich w żywność, a także przekazywali ważne informacje o charakterze wywiadowczym. Dzięki tej pomocy partyzanci coraz częściej organizowali akcje przeciwko Niemcom.

Na początku lutego partyzanci rozbroili stacjonującą w szkole w Újezdě jednostkę węgierską, zdobywając 40 sztuk broni oraz sporo amunicji i granatów. Potem w Horní Lidči wysadzili most kolejowy. Aktywność partyzantów spowodowała reakcję Niemców. Gestapo uruchomiło swą agenturę, której zadaniem było wykrycie miejsc pobytu rebeliantów. Dwaj konfidenci, Oldřich Baťa i František Mach, poznali już wcześniej kryjówki partyzantki. Pierwszy z wymienionych, po ucieczce z miejsca pracy,

eprasa.pl 31615842ca

gdzie spowodował wypadek, przeniósł się do Zlina i tam poznał Macha, który będąc agentem gestapo, obiecał mu wyciszenie sprawy. Pod jego wpływem Baťa także zaoferował swe usługi okupantom. Wykonując powierzone przez Sipo zadania, obaj konfidenci wstąpili w szeregi partyzanckiego słowackiego oddziału. Najprawdopodobniej stało się to pod koniec marca 1945 r. Początkowo budzili pewną nieufność, ale udział w akcjach skierowanych przeciw Niemcom przekonał do nich resztę grupy. Po ok. dwóch tygodniach agenci zbiegli i przekazali swym mocodawcom informacje dotyczące m.in. miejsc stacjonowania partyzantów, co pozwoliło zorganizować obławę.

Wisielcy na drzewach

W liczących niecałe 5 tys. mieszkańców Vizovicach stacjonowały liczne niemieckie jednostki policyjne i wojskowe. Dwie z nich odegrały zasadniczą rolę w przeprowadzonej 19 kwietnia 1945 r. pacyfikacji osady Ploština. Pierwszą był Jagdeisatz Slovakei, a drugą Zur besonderen Verwendung-Kommando Nr 31, czyli Oddział Specjalnego Przeznaczenia Nr 31 (była to formacja ulokowana w kilku miejscowościach, mająca za zadanie zwalczanie ruchu oporu). Częścią Oddziału Specjalnego w Vizowicach dowodził SS-Obersturmführer Erich Wienecke.

Decyzję o operacji w osadzie Ploština podjęła placówka gestapo ze Zliny, której 30 funkcjonariuszy na czele z SS-Obersturmführerem Helmutem Heineckiem znalazło się w szeregach pacyfikatorów. Kiedy rankiem 19 kwietnia 1945 r. Niemcy pojawili się w pobliżu miejscowości, obserwujący ich mieszkańcy nie byli tym zbytnio przejęci, licząc na to, że żołnierze po przeszukaniu domów odejdą (partyzanci ostrzeżeni o nadchodzącej obławie wycofali się już wcześniej). Ludzie nie przypuszczali, że wśród Niemców znajdują się słowaccy konfidenci. Ci zaś wskazali wszystkich, którzy udzielali partyzantom pomocy. W efekcie w Ploštinie zabito 24 osoby, w tym jedną kobietę, a także spalono



Powstańczy plakat propagandowy

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

8 z 10 budynków mieszkalnych. Jak się okazało, nie była to jedyna miejscowość spacyfikowana przy udziale Jagdeinsatz Slowakei.

Kolejną osadą był Prlov. Tam także cywilnych mieszkańców wioski zdradzili konfidenci. Zanim do tego doszło, oddział partyzancki por. Nikołaja Kostina 9 kwietnia 1945 r. zaatakował samochód należący do niemieckiej 17. Dywizji Pancernej. Tego samego dnia w Pozděchově zastrzelono natomiast żołnierza węgierskiego, a 10 kwietnia w Lutoninie partyzanci rozbroili pluton moździerzowy i 1. kompanię 24. pułku piechoty oraz rozstrzelali dwóch honwedów (żołnierzy węgierskich).

22 kwietnia 1945 r. na zamku w Vizovicach odbyła się narada niemieckiego dowództwa. W jej trakcie postanowiono wysłać na rozpoznanie kilku członków Jagdeinsatz Slowakei do kilku leżących w pobliżu wsi, tj. Prlova, Bratřejova i Pozděchova. Do przeprowadzenia akcji wyznaczono dwie grupy, cztero- i pięcioosobową. Esesmani mieli na sobie mundury armii słowackiej, udając dezerterów. Kilku mieszkańców dało się nabrać na ten kamuflaż i zdecydowało się udzielić im pomocy, wskutek czego znaleźli się oni dzień później na liście osób przeznaczonych do likwidacji. 23 kwietnia 1945 r. do wsi wkroczyły te same co wcześniej dwie jednostki SS. Poza gestapowcami towarzyszyli im ponadto funkcjonariusze Schupo z policyjnymi psami oraz pluton węgierskiej żandarmerii. W miejscowej gospodzie mieszkańców identyfikowali słowaccy esesmani oraz przywieziony, a wcześniej aresztowany i „złamany", członek ruchu oporu, Alois Oškera. Za winnych udzielania pomocy partyzantom uznano 15 osób, które po przesłuchaniach zabito na miejscu. Kolejne trzy osoby, rozpoznane przez oficera węgierskiego (wziętego do niewoli przez członków podziemia w zasadzce pod Bratřejovem i zbiegłego), powieszono na drzewach na drodze między Bratřejovem a Pozděchovem.

Pod koniec kwietnia 1945 r. Jagdeinsatz Slowakei zakończył swoją działalność. W okresie pobytu na Słowacji od listopada 1944 r. do marca 1945 r. esesmani ponieśli podczas akcji niewielkie straty (dwóch zabitych i czterech zaginionych), sami zaś pozbawili życia co najmniej 42 osoby (partyzantów i cywilów). Walter Pawlowski nie stanął nigdy przed obliczem Temidy; zmarł w Niemczech w 2000 r. Jego zastępcę Kurta Tuttera deportowano wraz z rodziną w 1945 r. z Pragi do Niemiec. Tam pracował w bawarskim ministerstwie rolnictwa, został jednak rozpoznany, aresztowany przez Amerykanów i przekazany w ręce władz czechosłowackich. Za szkolenie słowackich ochotników skazano go na sześć lat więzienia (nie rozpatrywano jego udziału w pacyfikacjach Ploštiny i Prlova). W 1952 r. Tutter został zwolniony, po czym wyjechał do RFN. Jeszcze w trakcie pobytu w Czechosłowacji podpisał zobowiązanie do współpracy z czechosłowacką StB (Służba Bezpieczeństwa). Mieszkając w Niemczech, współpracował z bezpieką pod kryptonimami Konrad II, a od 1969 r. jako Dietrich, przekazując komunistom wiele cennych informacji i dokumentów dotyczących m.in. Luftwaffe (był cywilnym pracownikiem Bundeswehry). Tutter zmarł 6 marca 1983 r. jako szanowany obywatel miasta Kötzting.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

LITERATURA:

Barvová L., ***„Der Umgang Mit Der Vergangenheit Der Fall Tutter";*** *Černý V.,* ***„Protipartyzánské operace na Moravě v letech 1944–1945";*** *Mičev S, Uhrin M.,* ***„Špeciálne protipartizánske jednotky na Slovensku",*** *[w:] „Slovensko v dejinách 20. storočia. Kapitoly k spoločenským a vojensko-politickým udalostiam. K 70. narodeninám PhDr. Mariána Hronského, Vojenský historický ústav"; Šamajová M.,* ***„Tragédie Ploštiny v kontextu veřejného povědomí a využitelnost tohoto tématu v edukačním procesu";*** *Svitálková K.,* ***„Vypálení Ploštiny a Prlova a jejich odraz v činnosti MLS v Uherském Hradišti".***

eprasa.pl 31615842ca



Żołnierze II Brygady Legionów pod Rarańczą FOT. NAC

O kapitanie Elsenbergu i narodowym długu



Marek Gałęzowski

Trzeba podjąć trud przywrócenia pamięci o tych, którzy w 1920 r. ocalili państwo i naród w wojnie o wszystko z Rosją bolszewicką

Spośród trwających trzy lata zmagań o granice Rzeczypospolitej najpoważniejsza i najcięższa była wojna z Rosją Sowiecką. Rządzący nią bolszewicy dążyli do budowy komunistycznego totalitaryzmu, który – jak liczyli – najpierw rozciągnie się na Europę, a w końcu – na cały świat. Nie był to system tożsamy z imperializmem i samowładztwem dawnej Rosji, jak powszechnie sądzono, także w Polsce, lecz – jak pisał później wybitny jego znawca Józef Mackiewicz – wynalazek psychologiczny przeistaczający wielotorowość ludzkiej inicjatywy w jednotorowego robota, odzierający człowieka „z wolności osobistej i godności ludzkiej", okupujący nie tylko dane państwo, „ale każdy dom rodzinny, myśl ludzką, psychikę narodową". Ponieważ system ten nakłada „kaganiec na każdą wolną myśl i słowo, stanowi największe zagrożenie dla rozwoju każdej kultury. Nie tylko polskiej, ale każdej".

Wszystkie opisane procesy były możliwe, gdyż towarzyszył im nieznany wcześniej w tak powszechnej skali terror, przemoc, która – jak pisze współczesny znawca komunizmu Thierry Wolton – „jest nierozerwalnie związana z reżimami komunistycznymi". Wyjątkowo trafna jest więc opinia, że dla Polaków przeciwstawienie się najazdowi bolszewickiemu było wojną o wszystko; przegrana oznaczała bowiem coś więcej niż tylko utratę dopiero co odzyskanej niepodległości.

Wojna daleka od wyobrażeń

Wspomniane cechy i zamierzenia powstającego od listopada 1917 r. totalitaryzmu komunistycznego nie były wówczas zwykle dostrzegane. O ile jednak Polacy powszechnie chcieli bronić dopiero co odzyskanej niepodległości, o tyle państwa Zachodu nie brały poważnie pod uwagę niebezpieczeństwa, które niósł ze sobą komunizm, nie mówiąc

eprasa.pl 31615842ca



Replika odznaki Polskich Drużyn Strzeleckich z 1913 r.
FOT. WIKIPEDIA/AMERICAN1990/CC BY 3.0

już o przeciwdziałaniu – trudno bowiem za takie uznać osławioną, a wyolbrzymioną przez propagandę sowiecką interwencję w czasie wojny domowej. Co więcej, były gotowe poświęcić Polskę dla zaspokojenia pretensji bolszewickiego reżimu.

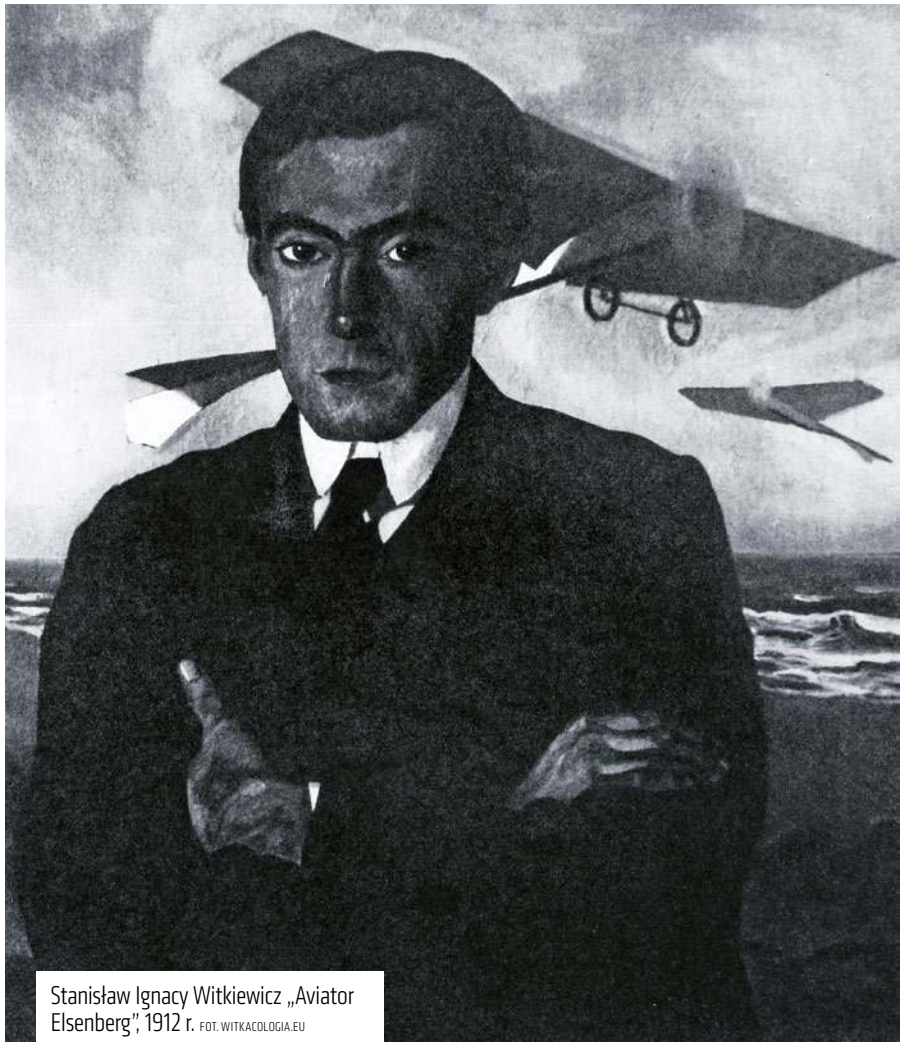
„Jedynie Polacy biją się z nami odważnie i zacięcie" – mówił Józefowi Czapskiemu spotkany przezeń w listopadzie 1918 r. działacz bolszewicki. Ta uwaga dotyczyła polskich oddziałów, które znajdowały się jeszcze w Rosji w chwili rozpoczynającej się tam wojny domowej. Wkrótce jednak męstwo to mieli okazać żołnierze Wojska Polskiego, broniący własnego kraju, prowadzeni do boju przez Józefa Piłsudskiego, Naczelnika Państwa, i jego oficerów. I to ich bohaterstwo, pewność, że biją się o wszystko, w 1920 r. powstrzymały totalitarne zamierzenia bolszewików, ocaliły byt państwa polskiego i zapobiegły na okres pokolenia rozprzestrzenieniu się komunizmu co najmniej w Europie Środkowej.

Dlatego ta wojna, pomijając już nieporównanie większe zaangażowanie sił i środków, różniła się od innych zmagań o granice Rzeczypospolitej, gdyż spośród nich tylko ona decydowała o bycie państwa. I – podkreślmy – była ona daleka od wyobrażenia z popularnej żurawiejki o gonieniu bolszewika, czego świadectwo znalazło wyraz w literaturze polskiej, z „Lewą wolną" Józefa Mackiewicza na czele, czy w twórczości Stanisława Rembeka, jak chociażby powieści „W polu": „Rżyska, miedze i drogi roiły się od cofających się oddziałów. Żołnierze wlekli się zupełnie bezsilni, z rozpaczą i przerażeniem w oczach. Wielu płakało głośno jak dzieci, pokazując oficerom swoje rany. Oficerowie byli zupełnie zdezorientowani. Nie odpowiadali na skargi swoich podkomendnych, tylko wodzili osowiałymi oczami po rojących się od ludzkiego robactwa polach. Co dzielniejsi stali na drogach i kupili wokół siebie maruderów ze swoich kompanii. Widać było jednak, że całe to pokrywające widnokrąg mrowisko przestało być wojskiem, a stało się bezsilną miazgą rozpaczy, tłumem, w którym nieszczęście zabiło wszelką myśl i zerwało wszystkie więzi organizacyjne".

Ogromny wysiłek całego społeczeństwa polskiego, wszystkich jego obywateli, w tym także innych narodowości i wyznań, przezwyciężył jednak kryzys, grożący unicestwieniem państwa i dał największy od czasów bitwy wiedeńskiej triumf oręża polskiego. I rację miał Piłsudski, kiedy tak dziękował swoim żołnierzom: „Kończycie wojnę wspaniałymi zwycięstwami i nieprzyjaciel, złamany przez was, zgodził się wreszcie na podpisanie pierwszych i głównych zasad upragnionego pokoju".

Elsenberg z trzydziestu trzech

Uratowanie bytu ojczyzny, zagrożonej przez najazd bolszewicki, okupiono śmiercią tysięcy żołnierzy Wojska Polskiego. Wśród nich było wielu służących wcześniej w Legionach Polskich, dlatego nieprzypadkowo bolszewicy nazywali tak wówczas wszystkich



Stanisław Ignacy Witkiewicz „Aviator Elsenberg", 1912 r. FOT. WITKACOLOGIA.EU

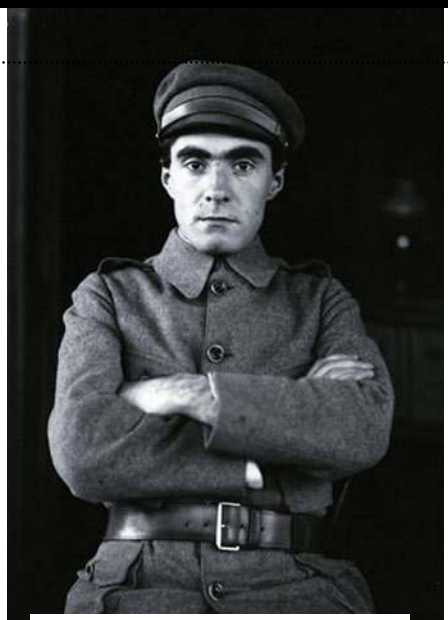
eprasa.pl 31615842ca

polskich żołnierzy. Trzydziestu trzech z tych poległych było oficerami, którzy swój stopień otrzymali jeszcze w czasie kampanii legionowych. Wśród nich – urodzony w 1881 r. w Witebsku kpt. Eugeniusz Elsenberg. Jego ojciec, Gustaw, bankowiec, spokrewniony z Bolesławem Leśmianem, wywodził się ze spolonizowanej rodziny żydowskiej; matka, Bronisława, zaś z polskiego ziemiaństwa. Nazwisko tej gałęzi rodziny zapisywano w formie Elsenberg. Inaczej natomiast pisał je stryjeczny brat Eugeniusza – Henryk Elzenberg, wybitny filozof, autor „Kłopotów z istnieniem", mistrz Zbigniewa Herberta.

Eugeniusz ukończył szkołę korpusu kadetów w Moskwie. Mieszkał tam potem i działał w grupie młodzieży sympatyzującej z PPS, do której należał też Władysław Dzierżyński, brat osławionego szefa bolszewickiej policji politycznej, w międzywojniu lekarz i podpułkownik WP, zamordowany w czasie okupacji niemieckiej. Czcili oni dni 1 i 3 maja. Po jednej z uroczystości Elsenberg został aresztowany, ale wydostał się z więzienia w czasie rewolucji 1905 r., opuścił Rosję i wyjechał do Włoch, a stamtąd do Niemiec. Ukończywszy z tytułem inżyniera wyższą szkołę techniczną w Berlinie, mieszkał później w Krakowie i w Zakopanem, gdzie uczył matematyki. Jak pisała Anna Wydrycka, „był człowiekiem niezwykłym, pełnym humoru oryginałem, jak wspominali go znajomi". Wśród nich – Stanisław Ignacy Witkiewicz, który kilkakrotnie portretował i fotografował Elsenberga.

W Zakopanem Elsenberg wstąpił do Polskich Drużyn Strzeleckich i przyjął pseudonim Rohland, od nazwiska słynącego z odwagi gen. Franciszka Rohlanda, w czasach napoleońskich uczestnika wojen z Austrią i Rosją, później zaś powstania listopadowego. Szybko otrzymał stopień podoficera kadeta i został instruktorem taktyki na kursach drużyniackich. Jak wspominał jego kolega z drużyn Adam Uziembło, był bardzo dobrym wykładowcą: „Wykładał jasno, ściśle i naprawdę z talentem pedagogicznym. Chadzał i na ćwiczenia – jako szeregowy. Chadzał, by nabrać zaprawy – o którą mu było trudno, bo sprężystości ruchów nie posiadał". Najbardziej zdumiewało jednak coś innego. Świetny teoretyk, mający „umiejętność precyzyjnego wykładu", doskonale podający zasady topografii czy kwestię umocnień polowych, „mający w pogotowiu cały zapas przykładów historycznych […], kiedy stawał przed plutonem, po prostu gubił się w komendzie. Nie potrafił ani zmienić frontu, ani skierować kolumny marszowej – już nie mówiąc o przeprowadzeniu defilady. W czasie próbnych ćwiczeń w komendzie po prostu trzeba było za nim iść i podpowiadać". Teorię znał jednak świetnie i był jednym z nielicznych w polskiej irredencie, którzy zajmowali się myślą wojskową. „Pasją prawdziwą Elsenberga były sprawy wojskowe. Taktyka, regulaminy, umocnienia polowe, kształcenie szeregowca i podoficera, historia, zwłaszcza ostatnich wojen. Sprowadzał książki z Wiednia i z Londynu. A i od Berezowskiego w Petersburgu. Zachwycał się przejrzystością angielskich instrukcji do patrolowania. Przeprowadzał całe studia nad porównaniem regulaminów służby polowej Francji i Niemiec, wywodząc, jak psychicznie odbijają się skutki kampanii lat siedemdziesiątych [XIX w.] na jednej i drugiej stronie […]. Całe stosy literatury gromadziły się w jego niedużym pokoju. Książki, broszury, mapy leżały na stole, pod stołem, na wszystkich krzesłach, pod nimi i pod łóżkiem – wszędzie, gdzie tylko można było coś wetknąć" (Uziembło).

Z tej pasji zrodził się przekład angielskiego podręcznika taktyki Gruythersa, jak wspominał inny z kolegów Elsenberga płk Marian Porwit, „wydany jako pierwszy przewodnik dla szkół oficerskich". Wiedza wojskowa „Rohlanda" przejawiła się i w tym, że kiedy członkowie drużyny zakopiańskiej sprawili sobie mundury, okazało się, że wszystkie odbiegały od przyjętego wzorca. „Tylko jeden Elsenberg zdołał zmusić swego krawca do zachowania przepisu w całej ścisłości". Działalność Elsenberga w wywodzących się z ruchu zarzewiackiego drużynach nie przeszkodziła mu równocześnie być członkiem kierowanego przez Piłsudskiego Związku Walki Czynnej, w którym pełnił funkcję bibliotekarza oddziału krakowskiego. Księgozbiór, którego znaczną część obejmowały książki o tematyce wojskowej przekazane przez Piłsudskiego, znajdował się w mieszkaniu Elsenberga.



Eugeniusz Elsenberg

FOT. WITKACOLOGIA.EU/ZBIÓR STEFANA OKOŁOWICZA I EWY FRANCZAK

W sierpniu 1914 r. wstąpił do oddziału strzelców Piłsudskiego, który wkrótce stał się I Brygadą Legionów. „[…] To już nie we śnie, to już było na jawie: / polski mundur i szabla, czapka z polskim orzełkiem, / i szwadrony z brawurą szarżujące i zgiełkiem, / kadry armii, sztandary łopocące we sławie" – tak przekute w rzeczywistość marzenie Eugeniusza przedstawiła jego siostra poetka. Postąpił całkiem inaczej niż Witkacy, który idei legionowych nie traktował poważnie, ledwie jak marzenie, a po wybuchu wojny zadał sobie wiele trudu, by przez pół świata dotrzeć do armii rosyjskiej i stanąć przeciw Elsenbergowi i paru innym zakopiańskim znajomym.

Po niespełna trzech miesiącach służby w polu „Rohlanda" mianowano podporucznikiem i przydzielono jako instruktora do szkoły podchorążych Legionów, przemieszczającej się od Krakowa przez węgierskie Marmarosz-Sziget do Kamieńska w oswobodzonej części zaboru rosyjskiego. Latem 1915 r. przeszedł do 3. pp II Brygady, bił się pod Rarańczą, a później w kampanii wołyńskiej. W styczniu 1917 r. został sekretarzem Komisji Regulaminowej Komendy Legionów, opracowującej instrukcje dla armii polskiej. Po kryzysie przysięgowym wykładał topografię, terenoznawstwo, balistykę w Szkole Podchorążych Polskiej Siły Zbrojnej, krótko przed listopadem 1918 r. i powstaniem WP został mianowany kapitanem. „Pracował wybitnie na polu wiedzy wojskowej" – pisano w jego dokumentach służbowych. Plonem tego było kilka rozpraw fachowych.

eprasa.pl 31615842ca

Wiosną 1920 r., w czasie walk z Armią Czerwoną pod Borysowem, kpt. Elsenberg objął dowództwo batalionu, złożonego z doraźnie zebranych żołnierzy służb pomocniczych, m.in. taborów, który utworzono z rozkazu dowódcy 2. DP Legionów gen. Henryka Minkiewicza. Jak stwierdzał Porwit, mimo słabości tego zaimprowizowanego oddziału, ze względu na trudną sytuację, w której znalazła się legionowa dywizja w czasie kontrofensywy bolszewickiej, otrzymywał on takie same zadania bojowe jak inne.

W czasie walk odwrotowych pod Wilnem 25 lipca 1920 r. kpt. Elsenberg został ranny i wzięty do niewoli. I tutaj urywa się wszelki ślad po nim. Z wiersza jego siostry Hanny wynika, że został rozstrzelany przez bolszewików po wykryciu jego stopnia oficerskiego; tę samą wersję podaje też Uziembło. W dokumentach wojskowych Elsenberga taka przyczyna śmierci nie jest jednak wspomniana. Dawnego drużyniaka i legionistę pośmiertnie mianowano majorem i odznaczono Krzyżem Virtuti Militari, Krzyżem Walecznych z trzema okuciami, Krzyżem Niepodległości.

Opowieść o kpt. Elsenbergu nie byłaby pełna, gdybyśmy nie wspomnieli, że jego siostra Hanna, zamężna Zahorska, poetka i powieściopisarka tworząca pod pseudonimem Savitri, zginęła w czasie drugiej wojny światowej zamęczona w niemieckim obozie koncentracyjnym Auschwitz-Birkenau. Po wojnie władze komunistyczne w PRL wycofały z bibliotek wszystkie jej utwory literackie i objęły je zakazem wznawiania. Jej córka, a siostrzenica Eugeniusza, Elżbieta Zahorska, była pierwszą uczestniczką walki cywilnej w okupowanym kraju, która została zamordowana przez Niemców – za zerwanie jesienią 1939 r. plakatu propagandowego „Anglio – twoje dzieło". Z rąk Niemców zginęły również dwie pozostałe córki Zahorskiej: Krystyna i Wanda. Wojnę przeżyli natomiast jej synowie – Bolesław i Jerzy Dominik, czyli siostrzeńcy kpt. Elsenberga; ten ostatni, więzień łagrów sowieckich, po uwolnieniu służył w lotnictwie Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Być może pewną ironią losu było to, że jego wnuczka, Tiffany Zahorski, łyżwiarka figurowa, w 2016 r. zmieniła obywatelstwo z francuskiego na rosyjskie i została reprezentantką Federacji Rosyjskiej w zawodach międzynarodowych.

Narodowy dług

Chociaż w przestrzeni publicznej wiele mówi się o poświęceniu tych, których męstwo w 1920 r. uratowało Polskę przed komunizmem, to przeważająca większość poległych nie doczekała się żadnego upamiętnienia w polskim piśmiennictwie, mimo że od upadku PRL minęło już przeszło 30 lat i nie ma ku temu żadnych przeszkód. Może poza jedną – koniecznością podjęcia samego trudu. „Zaginęła i pamięć o nim. A przecież dał z siebie wiele" – pisał o kpt. Elsenbergu zaprzyjaźniony z nim Uziembło.

Jeśli pamięć zginęła, to trzeba podjąć trud jej przywrócenia w szlachetnym celu upamiętnienia tych, którzy ocalili państwo i naród w tej wojnie o wszystko – dla Polaków i tych obywateli polskich innych narodowości i wyznań, którym los Polski nie był obojętny. Zwycięstwo w wojnie z bolszewikami umożliwiło im bowiem swobodny rozwój przez następne blisko 20 lat i wychowanie pokolenia, które wiedziało, czym jest możność decydowania o sobie w niepodległym kraju. Znał miarę zarówno tego sukcesu, jak i poświęcenia tych, którzy oddali w bojach swe życie, Ojciec Święty Jan Paweł II, kiedy podczas pielgrzymki do ojczyzny w czerwcu 1999 r. mówił na cmentarzu żołnierzy poległych pod Radzyminem o wielkim długu „w stosunku do tych, którzy wówczas podjęli walkę z najeźdźcą i zwyciężyli, płacąc za to swoim życiem".

Dług ten pozostanie niespłacony dopóty, dopóki każdy z nich nie doczeka się upamiętnienia. Poza oczywistym oddaniem tego, co należne poległym w obronie ojczyzny, ma ono także swoje znaczenie edukacyjne dla współczesnych, zwłaszcza pokoleń urodzonych w obecnym stuleciu. Wszak – jak napisano o braciach Stanisławie i Kazimierzu Małagowskich – oficerom WP z pociągu pancernego „Śmiały", którzy polegli w walkach z bolszewikami latem 1919 r., „wspomnienia takie to narodu każdego jest skarb prawdziwy, a niewyczerpany. Takie »żywoty chłopców« to zadośćuczynienie za ich śmierć, to wynagrodzenie strat, jakie ponosi Ojczyzna, gdy giną najlepsi w wiosnach lat swoich, gdy trumny zatrzaskują się nad pracowitymi dłońmi, nad gorącymi sercami, nad czołami twórców. Jak lepiej, jakże inaczej powetujemy sobie śmierć Fleszarów, Herwinów, Lisów, Romerów i tych licznych, co od 1914 roku padli? Pozostaje nam tylko skrzętnie wyłowić piękno ich życia i śmierci i przekazać tym młodym szeregom, na które czeka praca w narodzie".

© Wszelkie prawa zastrzeżone

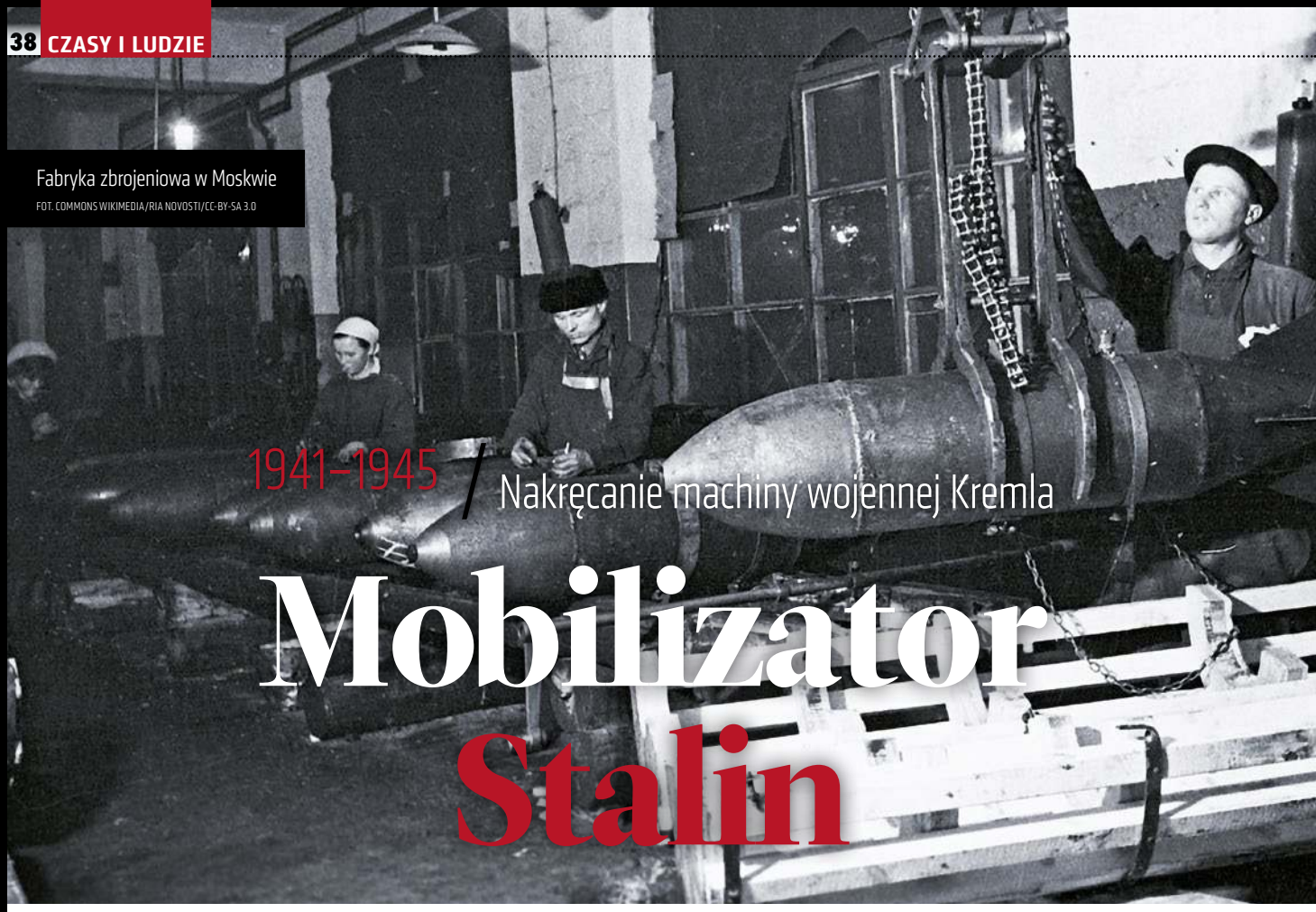
Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN.



„Witkacy. Portret wielokrotny"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/GOOGLE ART PROJECT/MUZEUM SZTUKI W ŁODZI

eprasa.pl 31615842ca



Fabryka zbrojeniowa w Moskwie

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/RIA NOVOSTI/CC-BY-SA 3.0

1941–1945 / Nakręcanie machiny wojennej Kremla

Mobilizator Stalin



Mikołaj Iwanow

Ogłoszona przez Hitlera i Goebbelsa po katastrofie stalingradzkiej „wojna totalna" pozostawała w dużej mierze hasłem propagandowym. Prawdziwą „wojnę totalną" prowadził już dawno, od pierwszego dnia wojny, Stalin, nie Hitler

Trudno wymienić konflikt z udziałem żołnierzy rosyjskich czy sowieckich toczony w ostatnich kilku stuleciach, w którym armia rosyjska miałaby mniejsze straty od przeciwnika. Dzisiejsza wojna na Ukrainie nie stanowi wyjątku. Czasem różnica w stratach sięgała nieprawdopodobnej skali, tak jak w konflikcie z Finlandią w latach 1939–1940. Uważa się, że na jednego zabitego żołnierza fińskiego poległo co najmniej 10 żołnierzy sowieckich. Do dziś nie wiadomo, ilu dokładnie obywateli Związku Sowieckiego (żołnierzy i cywili) zginęło podczas drugiej wojny światowej.

Dzisiejsze oceny rosyjskich badaczy strat ludzkich Związku Sowieckiego wahają się od 20 do 45 mln obywateli, którzy zginęli w starciu z III Rzeszą. Stalin od razu po wojnie uroczyście ogłosił, że ZSRS stracił w wojnie ok. 7 mln osób, za czasów Chruszczowa ta liczba wzrosła do 20 mln. W latach 1988–1993 grupa historyków wojskowości pod kierownictwem generała broni Grigorija Kriwoszejewa ustaliła te straty na poziomie 27 mln ludzi. Z kolei współczesny rosyjski historyk Borys Sokołow ocenia straty ZSRS na poziomie 43,5 mln osób. Bezpiecznie można powiedzieć, że cena zwycięstwa nad Hitlerem była dla wszystkich narodów Związku Sowieckiego ogromna.

Natomiast dla Stalina i jego partii komunistycznej druga wojna światowa stała się unikalną okazją do realizacji polityki rozpowszechnienia ideologii komunistycznej i wciągnięcia w orbitę swych wpływów milionów nowych „niewolników". Była to kontynuacja prowadzonej w latach przedwojennych wojennej polityki. Jednak o pokoju w międzywojniu w ZSRS mówić można jedynie w przenośni, Stalin po objęciu w kraju władzy absolutnej cały czas prowadził bowiem wojnę przeciwko własnemu narodowi, niszcząc inteligencję, zamożnych chłopów i inne grupy społeczne uznawane jako klasowo wrogie. Następnie nadszedł czas na upuszczenie krwi według klucza narodowościowego. Na pierwszy ogień w roku 1937 trafili Polacy, później

eprasa.pl 31615842ca





Zniszczone sowieckie czołgi

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/VITOLD MURATOV-SCAN, DIGITALISTION

niszczono inne narody. W czasie wojny nadszedł czas na wypróbowanie metod ujarzmiania społeczeństwa na szerszą skalę – na skalę międzynarodową.

Błędne rachuby

Podstawowe koncepcje polityki wojennej Związku Sowieckiego w okresie drugiej wojny światowej formowały się pod wpływem układu Ribbentrop-Mołotow, który według jego dwóch głównych architektów miał naprawić niektóre „błędy" historii i przywrócić sytuację sprzed pierwszej wojny światowej, kiedy Niemcy i Rosja miały wspólną granice. Była to niewątpliwie próba odbudowania dwóch imperiów, które przegrały poprzednią wojną. Latem 1940 r. sytuacja powoli zaczęła się zmieniać. Sojusz z Hitlerem zaczął szwankować. Na Kremlu dostrzegano coraz wyraźniej, że wspólnota interesów z państwem faszystowskim nie jest możliwa w dłuższej perspektywie, że wcześniej czy później konflikt z Niemcami jest nieunikniony. Bezpośrednią przyczyną zmiany stanowiska Kremla była druzgocąca porażka Francji w starciu z III Rzeszą. Stalinowskie rachuby na długą wyniszczającą wojnę na froncie zachodnim (podobną do kilkuletniego wzajemnego wykrwawiania się w czasie pierwszej wojny światowej) się nie sprawdziły. Układ Ribbentrop-Mołotow, jak się okazało, zamiast spacyfikować Hitlera, rozwiązał mu ręce. Po zwycięstwie nad Francją perspektywa konfliktu sowiecko-niemieckiego stawała się coraz bardziej realna.

Atak III Rzeszy na ZSRS 22 czerwca 1941 r. spowodował całkowitą zmianę priorytetów w sowieckiej polityce wewnętrznej i zagranicznej. W Moskwie jednak zupełnie nieobiektywnie oceniano potencjał militarny Niemiec. Liczono się z ewentualnymi pierwotnymi trudnościami, ale jednocześnie panowała pewność szybkiego zwycięstwa własnej armii. Słychać to w przemówieniu, które Stalin wygłosił 5 maja 1941 r. do absolwentów akademii wojskowych. Odnotował w nim, że armia niemiecka zasłużenie odniosła zwycięstwo na polach Francji, że jest to armia doświadczona, bardzo dobrze uzbrojona i potężna, ale nie jest to armia nie do pokonania. Niespodziewanie Stalin publicznie określił nową politykę Związku Sowieckiego. Powiedział wprost: „Polityka pokojowa – dobra sprawa. Do czasu prowadziliśmy politykę defensywną, ale tylko do tego czasu, póki na nowo nie uzbroiliśmy naszej armii, póki nie zaopatrzyliśmy armii w nowe środki walki. A teraz, kiedy my naszą armię zrekonstruowaliśmy, zaopatrzyliśmy w technikę współczesnej walki, kiedy jesteśmy silni, musimy przejść od defensywy do ofensywy. Aby zagwarantować obronę naszego kraju, jesteśmy zmuszeni działać w sposób ofensywny. Powinniśmy przejść od defensywy do polityki działań ofensywnych. Konieczna jest przebudowa naszych działań wychowawczych, naszej propagandy, agitacji, naszej prasy. Armia Czerwona jest armią współczesną, a współczesna armia – to armia ofensywna". Z tą ofensywnością Stalinowi przyszło jednak poczekać aż do 1943 r.

Rzeczywistość okazała się dla niego o wiele bardziej brutalna. Od pierwszego do ostatniego dnia wojny Wermacht nigdy nie miał na froncie wschodnim przewagi liczebnej. Zdecydowanie ustępował on również Armii Czerwonej pod względem ilości i dość często jakości wszystkich typów uzbrojenia. Wielkie niemieckie zwycięstwa latach 1941–1942 odniesiono głównie z powodu słabości organizacyjnej Armii Czerwonej, fatalnego dowództwa i początkowego braku motywacji do walki u milionów żołnierzy sowieckich. Jednak z każdą nową porażką Armii Czerwonej jej przewaga nad Wermachtem jedynie wzrastała. Przeważająca większość obywateli sowieckich (nawet wrogo nastawionych wobec ustroju komunistycznego) przekonała się, że niemiecki narodowy socjalizm stanowi dla nich o wiele większe zagrożenie niż stalinizm. Powoli, ale nieuchronnie wojna z Niemcami dla ogromnej części społeczeństwa sowieckiego rzeczywiście zaczęła przekształcać się w wojnę ojczyźnianą.

Mobilizacja przemysłu

Przez pierwsze półtora roku sytuacja Armii Czerwonej wyglądała na beznadziejną. Jednak zimą 1943 r. wszystko się zmieniło. Tak diametralne odwrócenie ról na froncie wschodnim tylko na

eprasa.pl 31615842ca

pozór wygląda paradoksalnie. Stalin jeszcze w okresie przedwojennym zdołał zbudować potężny przemysł wojenny, który mimo porażek Armii Czerwonej na froncie i mimo utraty znacznej części terytorium kraju wyprzedzał niemiecki w produkcji niemal wszystkich typów uzbrojeń. W roku 1943 ta przewaga była już przytłaczająca (z wyjątkiem nowych okrętów dla marynarki wojennej). Amerykańskie i częściowo angielskie dostawy sprzętu wojskowego i materiałów strategicznych w ramach polityki Lend-Lease dopełniały obrazu miażdżącej dominacji Sowietów w uzbrojeniu.

Przewaga sowieckiego systemu totalitarnego nad narodowosocjalistycznym w warunkach wojennych najbardziej widoczna była w zdolności mobilizacji wszystkich zasobów kraju na potrzeby wojny. W roku 1943 Związek Sowiecki wyprodukował ponad cztery razy mniej żelaza i stali od Niemiec hitlerowskich, a jednak produkcja czołgów w tym okresie wojny była w ZSRS 2,5 razy większa od niemieckiej, samolotów 1,4 razy większa, artylerii dwukrotnie większa, a moździerzy trzykrotnie większa. Z jednej wyprodukowanej w kraju tony metalu przemysł sowiecki wytwarzał prawie ośmiokrotnie więcej uzbrojenia dla swych armii. Wyjątek stanowiła tu jedynie produkcja nowych okrętów i łodzi podwodnych dla marynarki wojennej. Świadczyło to o wyjątkowej mobilizacji kraju i jego przemysłu. W tym śmiertelnym starciu dwóch totalitaryzmów sowiecka jego odmiana okazała się o wiele bardziej skuteczna w mobilizowaniu sił i środków do prowadzenia wojny.

Innymi słowy, w przełomowym momencie wojny, wbrew zapewnieniom propagandy niemieckiej, Związek Sowiecki wyraźnie wyprzedał III Rzeszę w dziedzinie mobilizacji swego kraju na potrzeby wojny. Ogłoszona przez Hitlera i Goebbelsa po katastrofie stalingradzkiej „wojna totalna" pozostawała w dużej mierze hasłem propagandowym. Prawdziwą „wojnę totalną" prowadził już dawno, od pierwszego dnia wojny, Stalin, nie Hitler.

Obrazu wyraźnej przewagi ZSRS w wojnie dopełniają o wiele większe od niemieckich możliwości mobilizacji żołnierzy, które cały czas wzrastały w procesie wyzwolenia terytorium kraju.



Linia produkcyjna czołgów KW-1
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/DEROR_AVI

Nacierające jednostki Armii Czerwonej specjalnym rozkazem sztabu generalnego otrzymały możliwość przeprowadzania mobilizacji wśród ludności wyzwalanych terenów od razu po wkroczeniu na nie.

Wysoką zdolność bojową Armii Czerwonej zapewniała również wyjątkowa rola sowieckich służb specjalnych i wojskowych organów karnych na froncie. NKWD było u szczytu swej potęgi, kontrolując prawie totalnie każdy krok milionów żołnierzy. Ale jednocześnie była to armia o zupełnie rozluźnionej dyscyplinie, gdzie oficerowie ginęli nie tylko od kul wroga, lecz także własnych podwładnych, była to armia, gdzie pijaństwo było sposobem prowadzenia wojny, gdzie rozbój i gwałt na terenach „wyzwolonych" były na porządku dziennym mimo grożących za podobne przestępstwa surowych kar.

Musimy jednak odnotować, że życie własnych żołnierzy zawsze było najmniej ważnym argumentem w wojennej strategii Stalina. „Zasypanie przeciwnika ciałami własnych zabitych żołnierzy" było metodą prowadzenia przez niego wojny. Straty Armii Czerwonej na polach bitewnych drugiej wojny światowej wielokrotnie przewyższały straty armii niemieckiej. Według obliczeń Borysa Sokołowa w 1941 r. straty Armii Czerwonej wobec strat Wermachtu układały się w stosunku 18 do 1, w 1942 r. – 13,7 do 1, w 1943 r. – 10,4 do 1, w 1944 r. – 5,8 do 1, a w 1945 r. – 4,6 do 1.

Nieco inne proporcje pod tym względem podaje znany rosyjski historyk młodego pokolenia Mark Sołonin. Według niego w czasie bitwy pod Moskwą stosunek strat sowieckich wobec niemieckich układał się w stosunku 5,35 do 1, w czasie wielkiej ofensywy sowieckiej na Ukrainie (druga połowa 1943 r.) – 3,4 do 1, w drugiej połowie 1944 r. (operacja „Bagration", ofensywa na zachodniej Ukrainie i w Mołdawii) – 2,5 do 1.

Nowy okupant

Efektem drugiej wojny światowej był triumf stalinizmu. Z każdym nowym dniem wojny, poczynając od roku 1943, Związek Sowiecki stawał się coraz potężniejszy, a jego przywódca mógł być coraz bardziej pewny, że testament Lenina o utworzeniu pod sowieckim protektoratem socjalistycznych „Stanów Zjednoczonych Europy" uda się zrealizować. Ze względów strategicznych Polska miała się stać jednym z najważniejszych sojuszników Moskwy, naturalnym ogniwem nowego systemu europejskiego. W tych warunkach każdy rodzaj oporu przeciwko ZSRS (zbrojnego czy duchowego) był skazany na klęskę.

Przewaga Armii Czerwonej nad Wermachtem w końcowym okresie drugiej wojny światowej była tak olbrzymia, że Stalin oczywiście mógł sobie pozwolić na chwilowe pogorszenie pozycji strategicznej swoich armii. Przedkładanie kwestii politycznych ponad strategiczno-wojskowe mogło wpłynąć na kształt wojny, ale nie na jej wynik. Jednak te kilka tygodni lub miesięcy dodatkowej walki w Europie przyniosło tysiące nowych ofiar zarówno narodom Europy Centralnej, jak i samym Rosjanom.

Zwycięstwo stalinizmu w sojuszu z demokracjami zachodnimi oznaczało porażkę potwornego reżimu III Rzeszy, ale jednocześnie zwycięstwo wcale nie mniej bestialskiego stalinizmu sowieckiego. Druga wojna światowa była przede wszystkim śmiertelnym starciem między dwoma najpotężniejszymi totalitaryzmami europejskimi w walce o nowy podział świata. Walka zachodnich aliantów przeciwko III Rzeszy nie odgrywała w tym starciu (poza okresem wrzesień 1939–czerwiec 1941 r.) roli decydującej.

Zwycięstwo koalicji antyhitlerowskiej w maju 1945 r. dla wielu miało gorzki smak. Gdy na zachodzie Europy świętowano autentyczne zwycięstwo nad faszyzmem, na wschodzie i w centrum kontynentu nadchodziła nowa okupacja sowiecka, nieco łagodniejsza od niemieckiej, ale wciąż przerażająca.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 31615842ca



Merian Cooper i Cedric Fauntleroy przy samolocie Eskadry Kościuszkowskiej FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Zemsta Stalina / Jak przepadł kinowy hit

Zaginiona eskadra



Wojciech Lada

Największa polska produkcja filmowa II RP sławiła zwycięstwo Polaków nad bolszewikami. Ćwierć wieku później Sowieci bardzo skutecznie postarali się, by o „Gwiaździstej eskadrze" zapomniano...

W 1918 r. Merian Cooper miał 25 lat, za sobą służbę w amerykańskim lotnictwie na europejskich frontach pierwszej wojny światowej, przed sobą zaś zawrotną karierę w Hollywood. Gdzieś między tymi epizodami zdążył jednak zostać jeszcze polskim bohaterem wojennym. „Skłoniłem generała Rozwadowskiego, by zaprowadził mnie do naczelnika Józefa Piłsudskiego. Zaproponowałem mu, że natychmiast złożę dymisję z Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych i wstąpię do polskich wojsk lotniczych. Naczelnik jednej rzeczy nie zrozumiał. Myślał, że chcę dla pieniędzy zostać najemnikiem. Skoczyłem na równie nogi i powiedziałem, że nie przyjmę żadnego awansu, o ile nie zapracuję na niego w bitwie, i że nie przyjmę ani centa więcej uposażenia ponad to, jakie otrzymują polscy oficerowie. Palące, przenikliwe spojrzenie Naczelnika spoczęło na mnie przez moment, po czym wstał i uścisnął mi dłoń" – wspominał lotnik.

Po tej rozmowie, niewiele myśląc, kpt. Cooper wsiadł do pociągu, którym dotarł do Paryża, by załatwić kwestię demobilizacji, a przy okazji zwerbować jak najwięcej swoich kolegów. Nie wiadomo, czy do dalszej wojaczki skłoniły go kowbojski temperament czy może obrazki, które nieco wcześniej oglądał we Lwowie, gdzie trafił z pomocą humanitarną organizowaną przez Herberta Hoovera. Możliwe też, że na oba te fakty nałożyły się opowieści przodków Coopera o Tadeuszu Kościuszce i Kazimierzu Pułaskim, z którymi rzekomo



Merian Cooper

FOT. COMMONS.WIKIMEDIA/L. TOM PERRY SPECIAL COLLECTIONS, BRIGHAM YOUNG UNIVERSITY

mieli się niegdyś zetknąć. Jakiekolwiek były powody, gdy w jednej z paryskich kawiarenek spotkał kpt. Cedrica Fauntleroya, powstał tandem, który natychmiast ruszył na obchód podejrzanych spelunek stolicy Francji, gdzie najłatwiej było znaleźć żądnych przygód awanturników, dla których jedna wojna to za mało.

„Przodkowie jego to pionierzy, zawadiacy, awanturnicy, może szorstcy i twardzi, ale ludzie, którzy nie bojąc się niczego, szli naprzód, hen w puszcze" – charakteryzował Cooper Fauntleroya, dodając, że jego przyjaciel odziedziczył

eprasa.pl 31615842ca



Ochotnicy amerykańscy – piloci Eskadry Kościuszkowskiej

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

wszystkie te cechy. Najbliższa przyszłość pokazała, że w mniejszym lub większym stopniu posiadali je wszyscy wkrótce zwerbowani członkowie oddziału.

Kiedy już było ich ośmiu, zameldowali to gen. Rozwadowskiemu, ogłaszając tym samym powstanie Eskadry Kościuszkowskiej. Generał wpisał ich na listę żołdu, a następnie przygotował powitalne przyjęcie. „Alkohol płynął strumieniem, a puste kieliszki po winie – zgodnie z tradycją toastów wznoszonych przy takiej okazji – rozbijały się wdzięcznie w kominku. Niewątpliwie była to niezapomniana noc – choć część uczestników niezbyt wyraźnie przypominała sobie jej koniec" – pisali historycy Robert F. Karolevitz i Ross S. Fenn.

Kowboje kontra bolszewicy

Przed wyruszeniem na front wojny polsko-bolszewickiej młodzi lotnicy kontynuowali zabawę w Warszawie. „Bałem się tylko, że pół eskadry się ożeni, zanim zdołamy wyjechać na front" – skomentował nocne życie swoich kolegów Cooper. Wreszcie w październiku 1919 r. wraz z ekipą znaleźli się we Lwowie. Na pole ćwiczeń lotniczych wybrali się zaraz następnego dnia i, rzecz jasna, natychmiast doszło do prześcigania się w brawurze z polskimi kolegami. „Po przywitaniu z nami polscy oficerowie wzbili się w powietrze i dali świetny popis swoich zdolności lotniczych. Większość z nas nie była w powietrzu od roku, toteż powątpiewaliśmy, czy potrafimy nowym kolegom dorównać" – niepokoił się Cooper, ale niepotrzebnie. Jak pisał dalej: „Fauntleroy latał wspaniale. Gdy wylądował, porucznik Graves wzbił się w górę. Pamiętam jak dziś jego wzlot. Rozpędził aeroplan na ziemi do szalonej szybkości, a następnie zaczął robić koło, aż dolne skrzydła jego aeroplanu prawie dotykały ziemi. Tak zatoczywszy na ziemi koło – wzbił się w powietrze i zrobił najtrudniejszy i najlepszy popis w sztuce latania, jaki kiedykolwiek widziałem" – przyznawał zadowolony.

Po pewnym czasie, który wypełniały im podobne zabawy, zostali wreszcie wysłani na front do miejscowości Połonne, nad rzeką Zbrucz. I tu pokazali, co potrafią. „Spadliśmy na stację jak jastrzębie. Ani jeden strzał nie padł z armat rosyjskiej artylerii. Najechaliśmy ich niespodziewanie. Na lewo od nas ciągnął się długi sznur wozów ciężarowych z jakimś transportem. Stacja była zawalona wojskiem. Rorison pierwszy dał jakby nura spod chmur na stację, a za nim poszedł Fauntleroy. Ja skierowałem się ku furmankom z transportami, które naraz zaczęły się prędko rozjeżdżać. Otworzyłem ogień z obydwu moich kulomiotów i zacząłem prażyć w te furmanki. Następnie wzbiłem się w górę, żeby zobaczyć, co robią moi koledzy i czy czasem któryś z nich nie potrzebuje pomocy. Przejeżdżając ponad stacją, widziałem czerwono-biały nos aeroplanu, który raz po raz zawracał na stację i prażył ogniem z obydwu kulomiotów w zbite masy żołnierstwa. Był to aeroplan Fauntleroya".

Ich brawura przerażała. Dosłownie. Już tylko słysząc warkot samolotu, całe oddziały padały na ziemię i chowały się, gdzie się dało. Niestety, nie tylko bolszewicy. Również większość polskich żołnierzy nigdy wcześniej nie widziała samolotu i dostrzegając na niebie podejrzany, złowrogi kształt, robiła dokładnie to samo, co wrogowie. Nic też dziwnego, że Amerykanie otrzymali wkrótce oficjalny rozkaz zaniechania tak szalonych akcji i musieli nieco powściągnąć temperamenty. Tym bardziej że przyszło im walczyć już nie z przypadkowymi rekrutami bolszewickimi, ale z doskonale przeszkoloną armią, prącą jak walec na Warszawę. „Zdawało mi się, że na całym świecie nie ma tyle kawalerii, ile tam jej było" – opowiadał kpt. Crowford, który pierwszy zetknął się podczas zwiadu z armią konną Budionnego, przed którą już za chwilę cała polska armia musiała cofać się aż na przedpola stolicy.



Pomnik amerykańskich lotników na cmentarzu Obrońców Lwowa

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/ROBIN

Mimo tego Cooper oceniał: „Nasze ataki były tak pomyślne, że potrafiliśmy zdziesiątkować przednią kolumnę i powstrzymać ją na pewien czas". Niezależnie potwierdzał tę opinię gen. Antoni Listowski: „Amerykańscy lotnicy pomimo wycieńczenia walczą jak opętani. Służbę wywiadowczą pełnią świetnie. Ostatnio podczas ataku naszej dywizji na nieprzyjaciela ich dowódca zaatakował nieprzyjaciela od tyłu i ogniem z kulomiotów prażył we łby bolszewików. Bez pomocy amerykańskich lotników dawno by nas diabli wzięli".

Wśród nich pod Warszawą nie było już jednak wówczas Coopera. W połowie lipca jego samolot został zestrzelony i lotnik był zmuszony lądować za frontem, po stronie rosyjskiej. Dostał się do niewoli i przetransportowano go aż pod Moskwę, gdzie wraz z innymi jeńcami pracował przy budowie trakcji kolejowej. Po kilku miesiącach udało mu się jednak uciec i była to z pewnością ucieczka karkołomna. Szczegółów nie znamy, ale dość zauważyć, że oznaczała ona konieczność pokonania 700 km bez najmniejszej choćby znajomości języka, a w dodatku w kraju, w którym wciąż szalał rewolucyjno-wojenny terror. Kiedy pojawił się w Warszawie, wszyscy byli zszokowani, dawno został już bowiem uznany za zmarłego. Wkrótce wrócił do USA, ale coś jednak w Polsce, oprócz pamięci, pozostawił. Jego synem był wybitny tłumacz Maciej Słomczyński,

eprasa.pl 31615842ca

mający na koncie przekłady autorów tak klasycznych jak William Blake, Lewis Carroll czy James Joyce – znany też jako Joe Alex, autor popularnych swego czasu kryminałów.

Aresztowany film

Historia Coopera, Fauntleroya i kolegów była tak barwna i filmowa, że powstanie opartego na niej obrazu było tylko kwestią czasu. A konkretnie – niespełna dekady. Zadania podjął się Leonard Buczkowski, młody wówczas reżyser, który uznanie publiczności, a także sympatię sanacyjnych władz zdobył nakręconym niedawno obrazem „Szaleńcy", o walkach I Brygady. W pierwszej fazie ważniejsze jednak okazało się nazwisko scenarzysty – Janusza Meissnera, wschodzącej gwiazdy literatury, ale przede wszystkim lotnika. „Akcja ma być sensacyjna, wartka, z napięciem dramatycznym z jakimś porwaniem, pościgiem, niebezpieczną przygodą, a wszystko na tle działań bojowych eskadry wojskowej […]. Niech pan się nie liczy z trudnościami technicznymi. Jak będzie potrzeba dywizji wojska, to już moja sprawa, żebyśmy ją mieli, jak panu wypadnie przeprawa przez rzekę, bombardowanie miasta albo wysadzenie w powietrze mostu z pociągiem – zrobi się!" – wspominał Meissner rozmowę z Buczkowskim.

Zachęcony swobodą twórczą, a pewnie też sporym honorarium, Meissner wziął się do roboty i wkrótce powstał scenariusz o rozmachu, jakiego Polska jeszcze nie widziała. Dywizja wojska istotnie okazała się potrzebna. „Dzięki wydatnej pomocy Departamentu Lotnictwa cały trzeci pułk lotniczy stacjonujący w Poznaniu współpracował nad powstaniem pierwszej polskiej epopei lotniczej. Setki maszyn brały udział w zdjęciach, najwytrawniejsi piloci polscy pracowali nad realizacją filmu. Operator Wawrzyniak dokonywał cudów odwagi, filmując z pełnym poświęceniem sceny walk, zaglądając wraz z obiektywem w oczy niebezpieczeństw" – zachwycał się po premierze na łamach „ABC" Tadeusz Miciukiewicz. Recenzent dodawał, że autentyczności filmowi dodają aktorzy, którzy w sporej części byli żołnierzami. „Męskie role zostały odtworzone przez



Kadr z filmu „Gwiaździsta eskadra"

FOT. COMMONS.WIKIMEDIA.ORG/WIELKOPOLSKA BIBLIOTEKA CYFROWA

Andrzeja Karewicza – aktora opanowanego, o doskonałych warunkach zewnętrznych, Janusza Halnego, oficera służby czynnej, i szereg innych zawodowych oficerów, którzy grali samych siebie, to znaczy odważnych i dzielnych pilotów" – pisał dalej.

Pod względem artystycznym film nie był podobno arcydziełem. Miciukiewicz pisał dyplomatycznie, że „co do treści, a właściwie budowy scenariusza można postawić kilka zarzutów", a sam Meissner nazywa go „melodramatycznym kiczem". Nie przeszkodziło to tłumom Polaków ruszyć do kin, by obejrzeć to lotnicze widowisko. Sami piloci dokonywali cudów, zdjęcia były doskonałe, a całość była po prostu świetnie nakręconym kinem sensacyjno-rozrywkowym. Oglądał go wówczas również młodziutki Jan Karski. „Produkcja robiła ogromne wrażenie rozmachem. W sekwencjach batalistycznych wykorzystano wielkie ilości sprzętu wojskowego, żołnierzy i kawalerii. Zapierały dech sceny walk powietrznych kręcone z kamer zainstalowanych w samolotach. Podczas ich realizacji doszło zresztą do katastrofy, w której zginęła dwuosobowa załoga jednej z maszyn" – wspominał po latach przyszły kurier. Istotnie do katastrofy doszło i uwieczniły ją kamery. W drugiej, podobnej, o mało nie zginął Meissner, który również wystąpił w filmie, jako jeden z pilotów – jemu jednak cudem udało się jakoś uratować samolot.

„Gwiaździsta eskadra" została udźwiękowiona w 1937 r. Sporo kopii powędrowało także na Zachód, w tym do USA. Karski nieco może przesadzał, porównując ją w innym miejscu ze słynnym „Przeminęło z wiatrem", ale faktycznie również w Stanach produkcja nie pozostała bez echa. O popularności filmu dużo mówi również to, że spory rozgłos zyskał on nawet w bolszewickiej Rosji, choć z pewnością nie wzbudził entuzjazmu tamtejszych władz. Nie wiadomo, kiedy dokładnie do tego doszło, ale Stalin wydał polecenie… aresztowania filmu, skazania go na najwyższy wymiar kary i niezwłoczne wykonanie egzekucji.

Po wejściu Armii Czerwonej w granice Polski wszystkie kopie filmu były natychmiast konfiskowane przez NKWD. Nie wiadomo, czy spalono je czy też wywieziono do Moskwy… Pewne jest, że zniknęły, z czym zresztą wiązały się sytuacje tragiczne. Karski wspominał o jakimś właścicielu kina we Lwowie, który kopię starał się ukryć i został za to rozstrzelany. Konsekwencja, z którą podległe Moskwie PRL-owskie władze starały się zatuszować istnienie „Gwiaździstej eskadry", jest wręcz zdumiewająca. W opracowaniach dotyczących historii kina polskiego powstałych przed 1989 r. tytuł w zasadzie się nie pojawia, a sporadyczne wzmianki osiągają w porywach rozmiar niewielkiego akapitu. A była to przecież najbardziej kosztowna produkcja filmowa międzywojennej Polski. Kinowy hit w dosłownym tego słowa znaczeniu zniknął. Do dziś nie odnaleziono ani jednej jego pełnej kopii, choć kilka lat temu badacze z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu podjęli poszukiwania w USA.

Sam Merian Cooper być może wcale się tym nie zmartwił, bo w filmie jego postać bezceremonialnie uśmiercono. A przecież nie tylko przeżył, lecz także zrobił oszałamiającą karierę w Hollywood. Wyprodukował, wyreżyserował lub stworzył scenariusze do ponad 60 kasowych filmów, w których raz na jakiś czas grywał drobne role. Cooper dorobił się swojego miejsca w Alei Gwiazd, a przy okazji – zapewne jako jedyny żołnierz Piłsudskiego – Oscara za całokształt działalności. To on skojarzył duet Fred Astaire i Ginger Roberts, ale jego największym, nieśmiertelnym hitem był „King Kong" z 1933 r. – to Cooperowi popkultura zawdzięcza stworzenie tytułowego goryla. Nawiasem mówiąc, przy okazji kręcenia filmu jeszcze raz zasiadł za sterami samolotu. To jego właśnie widzimy w kabinie, gdy ostrzeliwuje monstrualną małpę, gdy ta wspina się na szczyt Empire State Building.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 31615842ca



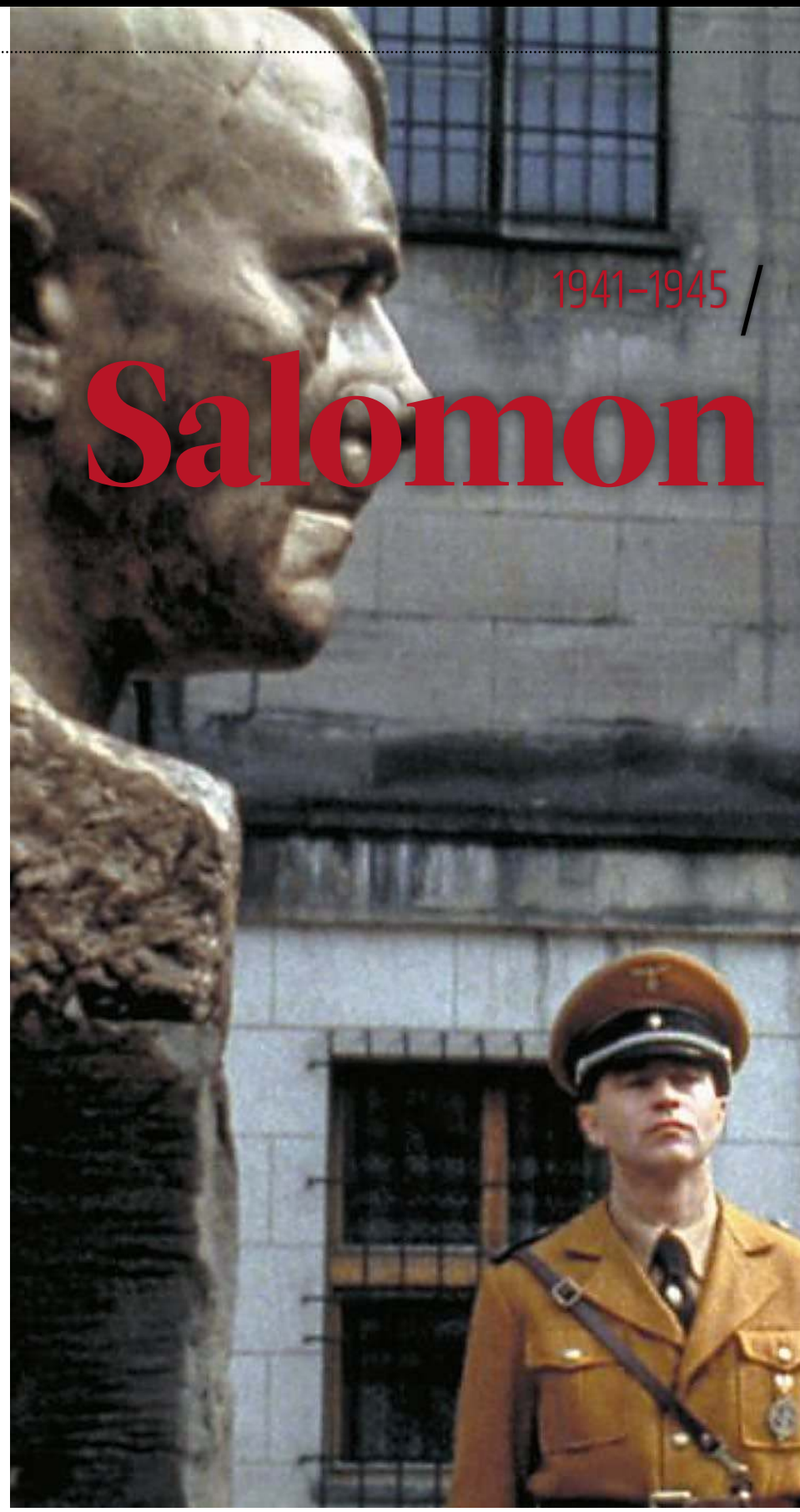
Piotr Włoczyk

1941–1945

Salomon

Wydawałoby się, że ta historia może się zdarzyć tylko w filmie. Żydowski chłopiec urodzony w Niemczech w wyniku wojennej zawieruchy trafia najpierw do Komsomołu, a następnie do... Hitlerjugend. To wszystko wydarzyło się jednak naprawdę

Lipiec 1941 r., okolice Smoleńska. Prący na wschód jak burza Niemcy okrążają zgrupowanie sowieckiej artylerii. W ich ręce wpada wówczas oficer, którego imię i nazwisko stawia na równe nogi niemiecki wywiad wojskowy. Trzydziestoczteroletni kpt. Jakow Dżugaszwili już na pierwszy rzut oka jest uderzająco podobny do swojego ojca. Pojmanie syna Stalina otwierało przed Niemcami, jak się im wówczas zdawało, ogromne perspektywy. W trakcie pierwszego przesłuchania Dżugaszwilego tłumaczeniem zajmował się niepozorny 16-latek. Gdyby jednak niemieccy oficerowie dowiedzieli się wówczas, kim tak naprawdę jest ich tłumacz, byliby tym najpewniej jeszcze bardziej zadziwieni niż odkryciem wśród jeńców syna Stalina. Otóż nastolatek, który od kilku tygodni był kimś w rodzaju maskotki ich jednostki, wcale nie był volksdeutschem, któremu cudem udało się uciec z sowieckiego sierocińca. Ich ulubiony „Jupp" (zdrobnienie od „Josef") naprawdę miał na imię Salomon i był stuprocentowym Żydem. Gdy rozmawialiśmy po 75 latach od tamtego wydarzenia, Salomon Perel wspominał, że przebywanie obok syna Stalina było dla niego – po indoktrynacji w sowieckim sierocińcu – niezapomnianym przeżyciem.



eprasa.pl 31615842ca



Kadr z filmu Agnieszki Holland „Europa, Europa" FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Na froncie wschodnim i w III Rzeszy

z Hitlerjugend

eprasa.pl 31615842ca

„Przez półtora roku wychowywano mnie w kulcie Stalina. Był on dla mnie bogiem, więc wydawało mi się wtedy, że stałem obok syna boga – podkreślał w rozmowie ze mną Salomon Perel. – Byłem bardzo podekscytowany tym wszystkim. Niemieccy żołnierze odnosili się do niego szorstko, ale ja na sam koniec – gdy wieźli go dalej – bardzo przejęty tym wszystkim życzyłem mu po rosyjsku dobrej podróży (śmiech)". Perel wspominał też, że Niemcy kazali Jakowowi Dżugaszwilemu narysować na mapie pozycje pobliskich jednostek sowieckich. „Nie zrobił tego, sprawiał wrażenie pewnego siebie, powołał się na konwencję genewską" – mówił mój rozmówca.

Historia Salomona Perela jest tak nieprawdopodobna, że prędzej czy później musiał o tym powstać film. Jako pierwsza życiorysem żydowskiego chłopaka, który przez Komsomoł trafił do Hitlerjugend, zainteresowała się Agnieszka Holland. W 1990 r. premierę miał jej film „Europa, Europa", który został oparty na wspomnieniach Perela. Materiału w jego książce autobiograficznej „Ich war Hitlerjunge Salomon" (pol. „Europa, Europa", dosł. „Byłem Salomonem z Hitlerjugend") jest jednak tyle, że spokojnie wystarczyłoby go na miniserial.



Stalin wśród komsomolców FOT. DOMENA PUBLICZNA

Łódź ratunkiem

O jego wojennych przeżyciach rozmawialiśmy po polsku. Salomon Perel doskonale bowiem władał polszczyzną. Choć urodził się w 1925 r. w niemieckim miasteczku Peine w Dolnej Saksonii, to 10 lat później, po wprowadzeniu ustaw norymberskich, cała jego rodzina musiała uciekać do Polski. Azriel i Rywka Perelowie spakowali się w kilka walizek i wraz z czworgiem dzieci (trzech chłopaków – Salomon był najmłodszy – i dziewczynka) wyjechali do siostry Rywki, która mieszkała w Łodzi.

„Przyjechaliśmy do Polski praktycznie bez niczego – ojciec zmuszony był sprzedać za niewielkie pieniądze swój sklep obuwniczy. Była to tzw. aryzacja mienia żydowskiego. Mieszkaliśmy w Łodzi spokojnie i szczęśliwie przez cztery kolejne lata, ja chodziłem tam do szkoły" – opowiadał Salomon Perel.



Żydzi za drutami getta w Łodzi
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/BUNDESARCHIV

eprasa.pl 31615842ca





Jakow Dżugaszwili, syn Stalina

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Agresja Niemiec na Polskę zburzyła życie, które Perelowie z mozołem odbudowywali na obczyźnie.

„Wiadomo, co dla mojej rodziny oznaczała hitlerowska agresja. W grudniu 1939 r., gdy tylko pojawiły się pierwsze informacje o planie zamknięcia łódzkich Żydów w getcie, rodzice zdecydowali, że muszę się ratować wraz ze starszym bratem Izaakiem. Miałem wtedy 14 lat. Rodzice powiedzieli, żebyśmy uciekali za granicę sowiecką. Mama podkreśliła, że musimy zrobić wszystko, by przeżyć, a ojciec prosił nas, żebyśmy nigdy nie zapomnieli o naszej religii" – podkreślał mój rozmówca. W ciągu kilku kolejnych lat Perel pokazał, że słowa matki wziął sobie głęboko do serca, natomiast prośby ojca nie zrealizował, ponieważ w wojennych okolicznościach kłóciła się ona z „przykazaniem" Rywki Perel. A Salomon był nieprawdopodobnie zdeterminowany, by przeżyć. Czy to będąc w szponach Sowietów czy też hitlerowców.

Podczas przekraczania granicy niemiecko-sowieckiej, która ustanowiona została na środku Polski, Salomon rozdzielił się z bratem. „On trafił do Wilna, a ja do Grodna, do domu dziecka prowadzonego przez Komsomoł. Spędziłem tam następne półtora roku. Po jakimś czasie uwierzyłem komunistycznej propagandzie, którą wkładano nam do głowy – wydawało mi się, że komunizm jest odpowiedzią na wszystkie problemy tego świata. Wtedy jeszcze nie rozumiałem, co tak naprawdę działo się w ZSRS – opowiadał Perel. – W tamtym okresie miałem jeszcze kontakt z rodziną – w związku z paktem Hitler-Stalin można było z getta wysyłać pocztę. Ten kontakt urwał się wraz z inwazją niemiecką na ZSRS. 22 czerwca wychowawcy obudzili nas wczesnym świtem. Zarządzili ewakuację całej placówki do Mińska. To była jedna wielka panika, Niemcy bombardowali Grodno, gdy my wychodziliśmy na szosę w kierunku Mińska. Widziałem wtedy tę chaotyczną ucieczkę Armii Czerwonej przed Wehrmachtem. Bomby spadały z nieba jak grad. Uciekaliśmy na piechotę, czasem tylko wsiadaliśmy na wóz konny. Szliśmy tak ponad dwa tygodnie przez lasy, rzeki, ale nie udało nam się dojść do Mińska, choć niewiele nam brakowało. Zostaliśmy otoczeni przez Niemców. Z tego tłumu ludzi – byli tam też żołnierze sowieccy – Niemcy zaczęli wyłuskiwać Żydów i politruków. Byli oni następnie zabijani w lasach przez Einsatzgruppen".

Szesnastolatek stanął wówczas oko w oko ze śmiercią. Gdyby Niemcy odkryli jego prawdziwe pochodzenie, zostałby rozstrzelany wraz z innymi Żydami. Jego komsomolska legitymacja w żadnym wypadku nie mogła więc trafić w ręce niemieckich żołnierzy.

„Wcześniej wydłubałem w ziemi dziurę i wrzuciłem tam swoje dokumenty, więc potem nic nie można było przy mnie znaleźć. Podczas selekcji miałem w głowie pustkę. Wiedziałem, że czeka mnie śmierć – opowiadał Salomon Perel. – Usłyszałem rozkaz »Hände hoch!«, niemiecki żołnierz spytał się mnie: »Bist du Jude?«. Przypomniałem sobie słowa matki: »Ty masz żyć!«. Poczułem wtedy odwagę i spokojnie odpowiedziałem: »Jestem volksdeutschem!«. Żołnierz uwierzył mi i wysłał mnie do sztabu

eprasa.pl 31615842ca



Kadr z filmu „Europa, Europa" FOT. MATERIAŁY PRASOWE

12. Dywizji Pancernej. Tam dopytywano się o moje papiery, ale ja zarzekałem się, że je zgubiłem. Powiedziałem, że moi rodzice, etniczni Niemcy mieszkający w Związku Sowieckim, zostawili mnie w sierocińcu jako małe dziecko. Przesłuchujący mnie żołnierze uwierzyli mi, bo mówiłem przecież perfekcyjnie po niemiecku. Okazało się, że akurat potrzebowali tłumacza. Powiedziałem im, że dobrze znam rosyjski, i w ten sposób stałem się tłumaczem w 12. Dywizji Pancernej".

Tak oto kilka tygodni później Salomon Perel został wysłany jako tłumacz na przesłuchanie Jakowa Dżugaszwilego. Ale oczywiście żaden z niemieckich żołnierzy nie wiedział, że ich tłumacz nosi imię na część biblijnego króla Izraela. Chłopak przedstawił się bowiem jako Josef Perjell.

„Niemcy uznali mnie za swojego. W ten sposób przeszedłem z Wehrmachtem szlak od Mińska aż pod Moskwę – mówił Salomon Perel. – Prawie cały czas byłem jednak 20–30 km za linią frontu. Na pierwszej linii pojawiłem się tylko kilka razy, gdy wzywano mnie do tłumaczenia sowieckich rozkazów, które wciąż docierały na porzucone przez Armię Czerwoną pozycje. Nie miałem jeszcze wtedy 18 lat, więc nie wymagano ode mnie, abym walczył. Mundur dostałem, choć bez naramienników. Żołnierze z 12. Dywizji Pancernej śmiali się, że służy u nich najmłodszy żołnierz Wehrmachtu. Ale oczywiście nie byłem żadnym żołnierzem, ten mundur dostałem chyba tylko po to, żeby mi było ciepło".

Misja w getcie

„Jupp" stał się kimś na kształt maskotki dywizji. Nastolatek był obdarowywany przez żołnierzy frykasami, które rodziny wysyłały im na front, a kpt. Joachim von Münchow, oficer z 12. Dywizji Pancernej, powiedział mu, że wraz z żoną postanowili go po wojnie adoptować. Von Münchow posiadał pod Szczecinem duży majątek, ale nie miał własnych dzieci. I to właśnie ten niemiecki arystokrata załatwił dla „Juppa" miejsce w szkole Hitlerjugend w Brunszwiku, kiedy późną jesienią 1941 r. życie na froncie wschodnim stało się już zupełnie nieznośne. O ile jednak wśród żołnierzy Wehrmachtu Salomon nie bał się tak bardzo dekonspiracji, o tyle wizja życia w internacie Hitlerjugend, a przede wszystkim wspólnych kąpieli i badań lekarskich, przerażała nastoletniego Żyda. Choć już na froncie wschodnim nie brakowało w tym kontekście sytuacji mocno stresujących.

„Podczas mycia zaskoczył mnie pewien żołnierz, który okazał się homoseksualistą. Niestety, zobaczył, że jestem obrzezany. Wyrwałem mu się i do niczego nie doszło. To było stresujące, ale ten żołnierz od razu zaczął mnie zapewniać, że on nie jest taki jak reszta Niemców, i przekonywał mnie, że nie muszę się niczego obawiać. Poza tym mieliśmy na siebie haki, więc wiedziałem, że z jego strony nic mi nie grozi. Życie w Hitlerjugend było pod tym względem dużo bardziej stresujące" – opowiadał Perel.

Nazistowska indoktrynacja w szkole Hitlerjugend pogłębiała u nastolatka tożsamościową „schizofrenię", jak sam to określał. Żyd, któremu matka kazała przeżyć, a ojciec prosił o wierność religii, uczony był nienawiści do Żydów, miłości do nazizmu i całkowitego poświęcenia się dla przyszłości rasy aryjskiej.

„Byłem Żydem i nazistą w jednym ciele. W momencie, gdy ubrałem mundur ze swastykami, w pewnym sensie stałem się wrogiem samego siebie. Doszło do tego, że zacząłem wypierać ze świadomości moją prawdziwą tożsamość. W tamtym okresie to Josef dominował nad Salomonem – wspominał. – Często nocami przypominali mi się rodzice i zalewałem się wtedy łzami, ale w ciągu dnia byłem zdeklarowanym hitlerowcem, z przekonaniem w głosie krzyczałem »Heil Hitler!« i chciałem zwycięstwa III Rzeszy".

W grudniu 1943 r. „Jupp" dostał przepustkę na wyjazd do Łodzi. Oficjalnie miał tam szukać swoich zaginionych krewnych volksdeutschów. Nieoficjalnie – chciał odnaleźć w getcie swoją rodzinę.

„Miałem 12 dni wolnego i chciałem się dowiedzieć czegokolwiek na temat losu mojej rodziny. Każdego dnia 5–6 razy jeździłem tramwajem, który przejeżdżał przez getto. Na czas przejazdu zasłaniano w tramwaju okna, ale ja wyglądałem przez szparę i wypatrywałem twarzy moich rodziców. Bezskutecznie... Widziałem za to w getcie sceny, które do dziś przeżywam w niektóre noce, gdy na powrót siedzę w tym tramwaju..." – opowiadał Salomon Perel. Gdy chłopak desperacko próbował wypatrzeć w getcie

eprasa.pl 31615842ca

Chłopak do końca wojny był w Hitlerjugend. Jego koledzy z organizacji traktowali go jak bohatera – jako jedyny z nich był na froncie wschodnim

rodzinę, jego rodzice wciąż tam żyli, choć zostało im już bardzo niewiele czasu.

„Mój tata umarł w getcie w czerwcu 1944 r. Głodował i chorował na tyfus. Pochowano go na cmentarzu żydowskim w Łodzi. Jego grób istnieje do dnia dzisiejszego. Mama z kolei została zamordowana w sierpniu 1944 r., gdy likwidowano getto. Wojny nie przeżyła również moja siostra. Zginęła w marszu śmierci z obozu Stuthoff – odmroziła sobie nogi, nie mogła już iść i została zastrzelona" – opowiadał Perel.

W tym czasie chłopak przeżył ogromny zawód miłosny. Leni była członkinią Bund Deutscher Mädel, dziewczęcego odpowiednika Hitlerjugend. „Jupp" nie mógł się bardziej zaangażować w związek, ponieważ bardzo obawiał się reakcji dziewczyny, gdyby odkryła jego sekret. I wszystko wskazuje na to, że dobrze oceniał zagrożenie. „Po wojnie spytałem się Leni, co by zrobiła, gdybym powiedział jej wtedy prawdę. Odparła: »Jupp, dobrze, że nie powiedziałeś mi prawdy, bo natychmiast doniosłabym o tym gestapo«. Na szczęście po wojnie Leni szybko otrząsnęła się z tego nazistowskiego amoku, kluczową rolę odegrało obejrzenie filmu z wyzwolenia obozu Bergen-Belsen" – mówił Salomon Perel.

Ani jednego pocisku

Chłopak do końca wojny był w Hitlerjugend. Jego koledzy z organizacji traktowali go jak bohatera – jako jedyny z nich był na froncie wschodnim i widział prawdziwą wojnę. Gdy Amerykanie zbliżyli się do Brunszwiku, „Jupp" został wcielony do Volkssturmu, ale – wbrew legendzie, która go otaczała – nie zamierzał zgrywać tam twardziela.

„Od początku było dla mnie oczywiste, że nie będę ratował swojego życia kosztem innych. Nie miałbym wtedy moralnego prawa opowiedzieć swojej historii. I ostatecznie nie doszło nawet do żadnej strzelaniny – Amerykanie błyskawicznie nas zaskoczyli i pojmali. Tym sposobem w czasie drugiej wojny światowej nie wystrzeliłem do wroga ani jednego pocisku. Zostałem wzięty do niewoli amerykańskiej, ale ponieważ Hitlerjugend nie było uznane za organizację zbrodniczą, to po kilku dniach zostałem zwolniony" – opowiadał Perel.

Po wojnie chłopak odnalazł dwóch braci, którzy również cudem przeżyli. Dawid przetrwał likwidację getta łódzkiego, Izaak z kolei przeżył trzy lata w Dachau. Salomon wyjechał do Izraela dwa miesiące po powstaniu tego państwa. Walczył w wojnach z Arabami, a w czasie pokoju prowadził swój biznes. Założył też rodzinę – jego żoną została polska Żydówka.

Salomon Perel bardzo nerwowo reagował na pytania o moralną ocenę swoich wyborów. Ludziom, którzy kwestionowali jego zachowania, odpowiadał zawsze to samo: „Nie byli na moim miejscu, więc jak mogą to swobodnie komentować? Nikomu nie zrobiłem krzywdy, starałem się tylko przetrwać. W chwili, gdy śmierć zajrzała mi w oczy, naturalnym odruchem było, żeby pójść za słowami mojej mamy, która wręcz rozkazała mi żyć".

Gdy rozmawialiśmy, podkreślał, że jego doświadczenia wojenne trwale wpłynęły na jego postrzeganie religii. „Cały czas się pytam, dlaczego 6 mln Żydów nie doświadczyło takich cudów. W Komsomole stałem się ateistą, potem Holokaust ugruntował we mnie przeświadczenie, że Bóg nie może istnieć. Do dziś jestem niewierzący" – opowiadał Perel.

Bardzo trudną kwestią dla niego było to, jak w Hitlerjugend wszczepiono mu nienawiść do tożsamości, w której wyrósł.

„To dla mnie bardzo bolesna sprawa. Nie powiedziałbym, że zmieniłem się w antysemitę, ale przez dostarczaną mi codziennie porcję nienawiści wobec narodu żydowskiego coś złego zaczęło się we mnie dziać w tym temacie. W pewnym sensie stałem się wrogiem siebie samego" – oceniał Salomon Perel. I przyznawał, że nazistowska indoktrynacja „wszczepiła" mu bardzo niepokojące odruchy. Jak przyznawał jeszcze kilka lat temu, nawet gdy oglądał filmy historyczne, widząc swastykę, miał ochotę zerwać się z fotela i zacząć „hajlować". Salomon Perel zmarł 2 lutego 2023 r. w wieku 97 lat.

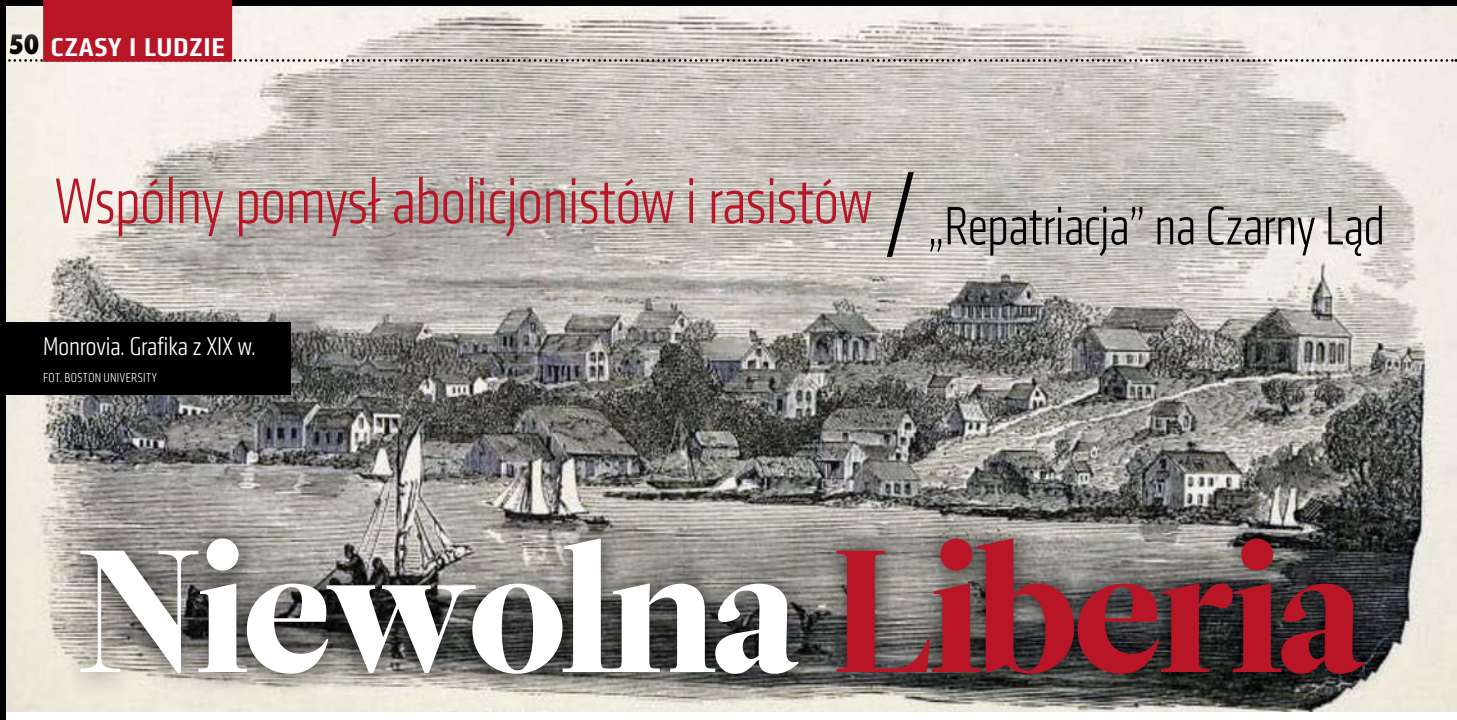


Kadr z filmu „Europa, Europa"

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 31615842ca



Monrovia. Grafika z XIX w.
FOT. BOSTON UNIVERSITY

Wspólny pomysł abolicjonistów i rasistów / „Repatriacja" na Czarny Ląd

Niewolna Liberia



Anna Szczepańska

Wymyślone w USA drugie – po Etiopii – niepodległe państwo w Afryce miało się stać rajem dla wyzwolonych amerykańskich niewolników. Praktyka była jednak daleka od ideałów abolicjonistów – uprzywilejowana grupa Amerykanoliberyjczyków pogardzała tubylczą ludnością i na ponad 100 lat pozbawiła ją wszelkich praw

Kilkunastu żołnierzy weszło ciemną nocą do pałacu prezydenckiego w Monrowii. W końcu trafili do apartamentów prezydenta. William Tolbert twardo spał. Był 12 kwietnia 1980 r., spiskowcy mieli jasne rozkazy. Nie czekając na komendę, dopadli do łóżka i zadźgali prezydenta bagnetami. Wśród żołnierzy był Samuel Doe, który niedługo później zaprowadził dyktaturę, ogłosił się generałem i prezydentem Liberii. Kraj pogrążył się w kryzysie, a potem w kolejnych wojnach domowych.

William Tolbert był ostatnim prezydentem Liberii pochodzącym z uprzywilejowanej i przez wielu znienawidzonej grupy Amerykanoliberyjczyków, którzy rządzili Liberią od chwili ogłoszenia przez nią niepodległości, czyli przez ponad 130 lat. Jak doszło do tego, że byli niewolnicy sami stali się ciemiężcami tubylczej afrykańskiej ludności?

Powrót do Afryki

Pierwsze ustawy zakazujące posiadania i handlu niewolnikami uchwalono w Pensylwanii i Massachusetts w 1780 r. Prawa te wprowadzano później także w innych miejscach, choć w różnym tempie. Niektóre stany znosiły np. niewolnictwo dorosłych, a inne, choć zakazywały sprowadzania niewolników z Afryki, przymykały oko na handel wewnętrzny czy też odbieranie dzieci czarnym matkom i sprzedawanie ich w innych regionach USA.

Pod koniec XVIII w. istniała w Stanach Zjednoczonych całkiem spora, choć niemal nic nieznacząca grupa wyzwolonych. Politycy nie wiedzieli, co zrobić z tymi ludźmi. Nie było mowy, aby dać im te same prawa co białym, lecz z drugiej strony trudno było wciąż ignorować ich istnienie.

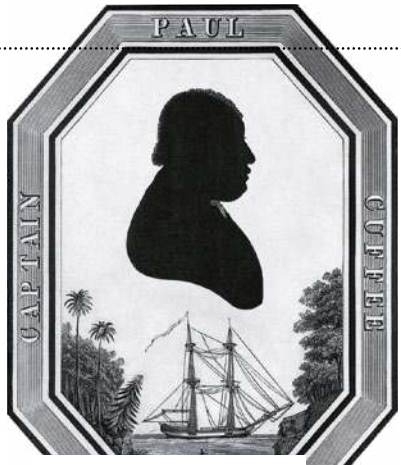
Wyzwoleni czarni oraz „wolni kolorowi ludzie" (m.in. Mulaci, przybysze z Karaibów i dzieci wyzwoleńców) byli jednocześnie rosnącym „problemem" dla przeciętnych mieszkańców USA. Wyzwoleńcom zarzucano np., że zabierają pracę białym, godząc się na niższe zarobki. Jeszcze długo ludzie ci nie cieszyli się takimi samymi prawami co Amerykanie, choć nie znaczy to, że wśród tej dużej i różnorodnej grupy nie pojawiały się osoby znaczące oraz bogate. Niektórym wyzwoleńcom (albo ich dzieciom) udało się odnieść sukces i dorobić majątku.

Wraz z pojawiającym się coraz częściej pytaniem, co zrobić z rosnącą liczbą „wolnych kolorowych ludzi", zaczęto snuć pomysły utworzenia dla nich państwa na Czarnym Lądzie. Na tej fali zaistniała koncepcja „powrotu do Afryki", lansowana przez całe wieki XIX i XX. Sęk w tym, że choć byłym niewolnikom nie żyło się w Ameryce najlepiej, to wielu z nich nie miało ochoty wyjeżdżać na inny kontynent, który jawił się im tak samo dziki i nieprzyjazny jak ich białym sąsiadom.

Pierwsze próby przesiedlenia byłych niewolników do Afryki podjęli Anglicy,

eprasa.pl 31615842ca

którzy w 1787 r. wysłali 400-osobową grupę na tereny dzisiejszego Sierra Leone, gdzie ludzie ci zbudowali Granville Town, a później Freetown, które po latach zostało stolicą państwa. Kolejne transporty Afrykanów wyruszały w to miejsce jeszcze wielokrotnie. Wśród osób, które miały zacząć w Afryce nowe życie, było wielu amerykańskich wyzwoleńców, którzy w czasie wojny o niepodległość USA stanęli po stronie Anglii, a później zamieszkali w kanadyjskiej Nowej Szkocji. Ich losem zainteresował się Paul Cuffe, który zbił majątek jako kupiec i wielorybnik. Z racji tego, że sam był potomkiem Indianki i czarnego wyzwoleńca, zależało mu na poprawie warunków życia jego „kolorowych" współbraci. W 1810 r. Cuffe popłynął do Sierra Leone. Podczas podróży pomyślał, że podobne miejsce dla wyzwolonych czarnych mogliby stworzyć Amerykanie. Liczył nawet, że w przeciwieństwie do Sierra Leone, które pozostawało angielską kolonią, Amerykanie mogliby pozwolić wyzwoleńcom na stworzenie własnego państwa. Kiedy wrócił do USA, udało mu się nawet spotkać z prezydentem Jamesem Madisonem, który miał być mile zaskoczony erudycją i wiedzą Cuffe'ego. W późniejszym czasie Madison jeszcze kilka razy korzystał z jego rad w sprawie ewentualnego stworzenia amerykańskiej „kolonii" w Afryce.



Paul Cuffe

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/LIBRARY OF CONGRESS

Towarzystwo Kolonizacyjne

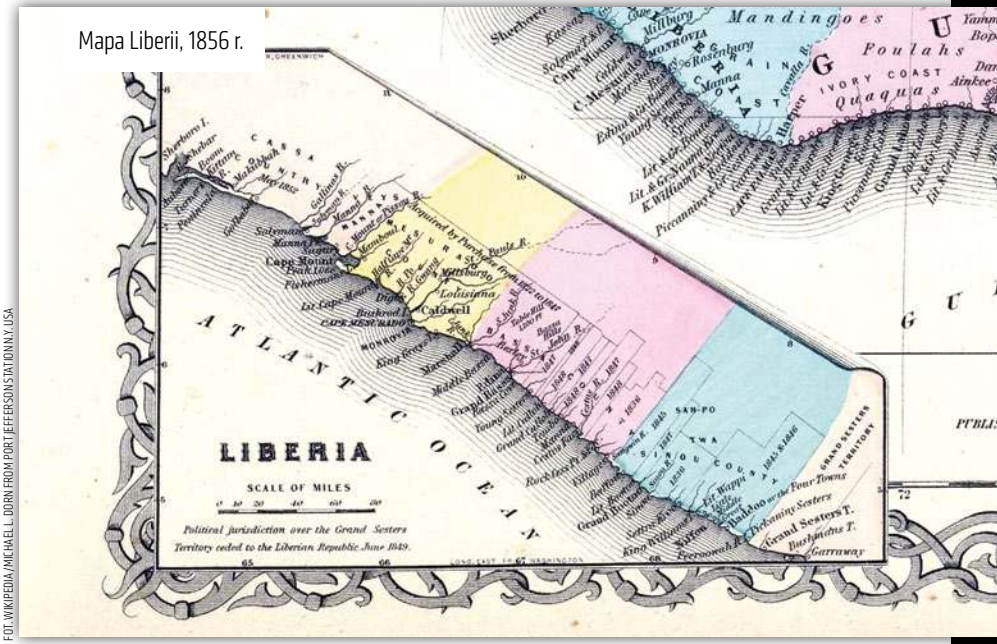
Pod koniec XVIII w. i na początku XIX w. w wielu amerykańskich stanach zaczęły powstawać organizacje, których celami były pomoc wyzwolonym „kolorowym", a także promocja zniesienia niewolnictwa. Najczęściej towarzystwa te powiązane były z chrześcijańskimi grupami wyznaniowymi. Na tej fali w 1816 r. powstało Amerykańskie Towarzystwo Kolonizacyjne (American Colonization Society; ACS), którego założycielem był pastor i nauczyciel Robert Finley. Po kilku latach ACS działało na terenie niemal całych USA.

Co ciekawe, Amerykańskie Towarzystwo Kolonizacyjne przyciągnęło zarówno działaczy abolicjonistycznych, posiadaczy wielkich majątków, jak i zwyczajnych rasistów. Każda z tych grup miała swoje powody, aby chcieć wysłania wyzwoleńców i „wolnych kolorowych" do Afryki. Abolicjoniści mieli najczęściej szczere przekonanie, że każdemu człowiekowi należy się wolność. Rasiści chcieli się po prostu pozbyć czarnych, których uważali za gorszych i niegodnych życia obok „zwykłych" Amerykanów. Posiadacze ziemscy i biznesmeni natomiast widzieli w wyzwoleńcach zagrożenie – mogli oni bowiem, ich zdaniem, podburzać niewolników i stanowić ryzyko dla stabilności państwa. Oprócz takich argumentów pojawiały się też głosy, aby wysłać do Afryki wszystkich stanowiących problem czarnych, czyli wszelkiej maści przestępców, złodziei i buntowników.

Pisarz James Hall na łamach „Western Monthly Magazine" jeszcze w 1834 r. pisał: „Plan kolonizacji [Afryki] przez wolnych czarnych został słusznie uznany za jeden z najszlachetniejszych przejawów chrześcijańskiej życzliwości i oświeconego patriotyzmu. Jest to plan mający wspaniały cel, który najszczęśliwiej prowadzi do współpracy różnych klas społecznych. Ruch ten godzi rozbieżne interesy, których w żadnym innym planie nie dałoby się pogodzić. Chrześcijanin i polityk działają tu razem, a osoby mające całkowicie odmienne od siebie poglądy w niektórych pobocznych kwestiach związanych z »wielkim tematem« kierują się do tego samego celu dzięki różnorodności motywów. Jest to wspaniała koncepcja, wokół której skupiają się nadzieje narodu, życzenia patrioty, modlitwy chrześcijanina i, ufamy, aprobata Nieba".

Wśród zwolenników ACS znaleźli się też ważni amerykańscy politycy, w tym trzej prezydenci: Thomas Jefferson, James Monroe i James Madison. Madison był nawet prezesem Towarzystwa na początku lat 30. XIX w. Pierwszym prezesem był z kolei sędzia Sądu Najwyższego Bushrod Washington, bratanek prezydenta George'a Washingtona.

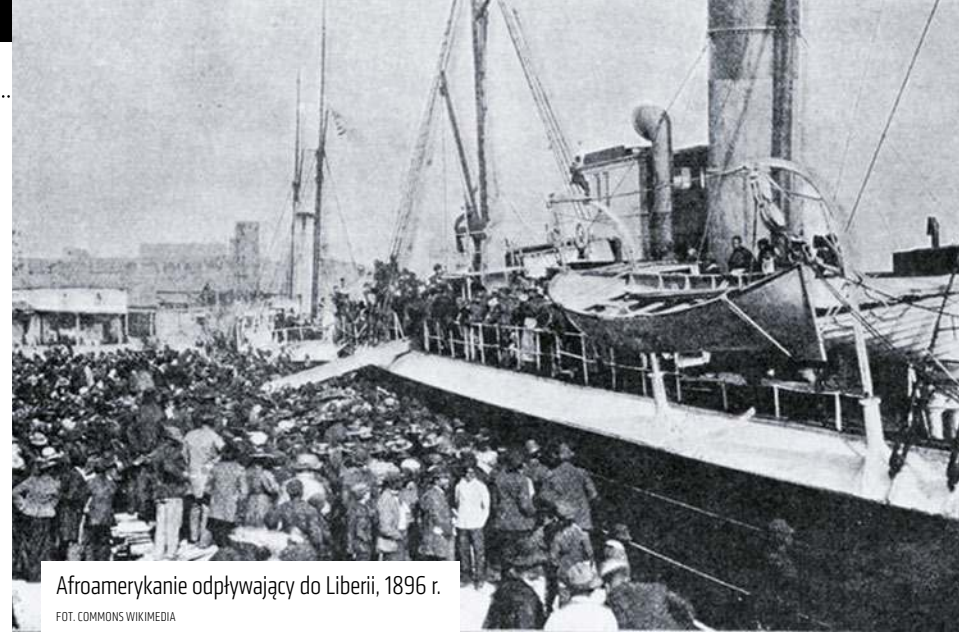
Wyjazd byłych niewolników do Afryki określano jako „repatriację", choć tak naprawdę z repatriacją nie miało to



Mapa Liberii, 1856 r.

FOT. WIKIPEDIA/MICHAEL L. OORN FROM PORT JEFFERSON STATION N.Y. USA

eprasa.pl 31615842ca



Afroamerykanie odpływający do Liberii, 1896 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

przedsięwzięcie nic wspólnego. Po pierwsze, amerykańskimi „wolnymi kolorowymi" byli nie tylko ludzie czarni, lecz także potomkowie zniewolonych mieszkańców Karaibów lub osoby pochodzące z mieszanych związków, np. z Indianami. Po drugie zaś, zdecydowana większość ludzi, których zamierzano wysłać do Afryki, była od kilku pokoleń związana z Ameryką. Choć wyzwoleńcy mierzyli się z różnymi trudnościami, to jednak właśnie Stany Zjednoczone uważali za swoje miejsce w świecie i nie zamierzali nigdzie stamtąd wyjeżdżać – tym bardziej do Afryki, gdzie, jak słusznie zauważano, warunki życia były daleko trudniejsze niż w USA. Nawet jeśli znaleziono by miejsce z dogodnym klimatem, to i tak brakowało tam odpowiedniej infrastruktury, szkół, dróg, jedzenia i lekarstw – wszystko należałoby zbudować od podstaw.

Do włączenia się w prace Towarzystwa Kolonizacyjnego zachęcany był Paul Cuffe. Niektórzy uważają jego działania na rzecz osadnictwa w Sierra Leone za inspirację dla powstania tej amerykańskiej instytucji. Cuffe był początkowo zainteresowany współpracą, wierząc, że jego doświadczenia i pobyt w Sierra Leone pomogą Amerykanom w stworzeniu dla „kolorowych" odpowiedniego miejsca na mapie Afryki, gdzie będą oni mogli budować swój dobrobyt. Ostatecznie jednak Cuffe wycofał się z poparcia dla Towarzystwa, widząc, że idee tej organizacji nie podobają się wielu czarnym. W kolejnych latach nie było mu już dane zabierać głosu w tej sprawie, gdyż zmarł w 1817 r.

Istnienie Towarzystwa od początku krytykowało wielu czarnych. Mówiono, że nikt nie konsultował z nimi utworzenia tej instytucji oraz że jest to bezprawna próba wyrwania ich z własnej ziemi. W 1817 r. w różnych miejscach na mapie USA wybuchły gwałtowne protesty „wolnych kolorowych", którzy odrzucali pomysły ACS. Gorącym przeciwnikiem ACS był znany czarny działacz abolicjonistyczny Frederick Douglass. Pisał on: „Wstyd tym wszystkim nieszczęśnikom, którzy ośmielają się proponować [wyjazd do Afryki], oraz tym, którzy tolerują ten postulat. Żyjemy tutaj. Tu mieszkaliśmy i mamy prawo tu mieszkać". Inny abolicjonista, Martin Delany, pomysł utworzenia w Afryce państwa dla „kolorowych" nazwał z kolei „żałosną kpiną z republiki" i „rasistowskim planem władz USA". Wielu czarnych, aby podkreślić swe przywiązanie do Stanów Zjednoczonych, zaczęło wtedy odrzucać własne korzenie. Zamiast słowa „Afrykanin", zaczęto używać określenia „kolorowy Amerykanin".

Głosów przeciwko ACS nie brakowało także wśród białych działaczy. William Lloyd Garrison, wydawca abolicjonistycznej gazety „The Liberator", pisał, że wywózka niektórych „kolorowych" do Afryki nie rozwiąże żadnych problemów oraz nie poprawi ich losu, a tym bardziej nie poprawi losu niewolników. „Równie dobrze można by porozmawiać o odesłaniu tych czcigodnych panów z powrotem do Anglii. Murzyn jest tu tak samo tubylcem, jak czcigodni panowie, którzy na ten pomysł [wyjazdu do Afryki] wpadli" – pisał Garrison.



Ku Afryce

W czasie, gdy w całych Stanach Zjednoczonych trwały gorące spory dotyczące zniesienia niewolnictwa, poprawy losu czarnych czy też „repatriacji" ich w inne rejony świata (oprócz Afryki postulowano np. Meksyk lub Indie), w styczniu 1820 r. w stronę Czarnego Lądu wyruszył pierwszy amerykański statek, na pokładzie którego znajdowało się 88 czarnych wyzwoleńców i trzech członków ACS. Jego celem było Wybrzeże Pieprzowe w Afryce Zachodniej. Kolejne statki (należące nie tylko do ACS, lecz także do innych towarzystw kolonialnych) dotarły do tego miejsca w następnych miesiącach. W grudniu 1821 r. na pokładzie jednego z nich przybył por. Robert Stockton, którego zadaniem było nabycie ziemi od miejscowego władcy, aby „amerykańscy" czarni mogli w końcu zamieszkać na swoim terenie. Władający tym skrawkiem Afryki Zolu Duma (władca ludu Bassa), znany też jako król Piotr, nie zgodził się na sprzedaż ziemi, gdyż uważał, że stałe osadnictwo obcych „kolorowych" zagrozi dochodom, które czerpał on z handlu niewolnikami. Ostatecznie jednak odstąpił Amerykanom przylądek Montserrado „przekonany" do tego osobiście przez Stocktona przy pomocy karabinu.

Przylądek Montserrado stał się zalążkiem Liberii. W miejscu tym wybudowano pierwszą osadę i późniejszą stolicę, Monrowię, która wzięła nazwę od nazwiska prezydenta USA Jamesa Monroego. Tereny należące do amerykańskich wyzwoleńców powiększały się z roku na rok. Swoje osady budowali m.in. „kolorowi" z Missisipi, Kentucky i Maryland. Początkowo działały one niezależnie od siebie i połączyły się dopiero w 1838 r. jako Wspólnota Liberii. W pierwszych latach ze względu na niedostateczne

eprasa.pl 31615842ca

przygotowanie do równikowego klimatu oraz w wyniku chorób umierało nawet do 40 proc. osadników.

Pomimo szeroko zakrojonej kampanii promocyjnej w całych USA na wyjazd do Afryki zdecydowało się niewiele osób – zaledwie ok. 20 tys.

Segregacja

„Kolorowi", którzy przybyli do Afryki, szybko zaczęli określać się jako Amerykanoliberyjczycy, co miało odróżnić ich od – jak uważano – dzikich tubylców. Osadnicy od początku izolowali się od rdzennych mieszkańców Liberii. Zachowali amerykański styl życia, ubierali się na zachodnią modłę i budowali domy w stylu amerykańskich posiadłości na plantacjach Południa. Ponadto praktykowali (głównie) protestantyzm, używali języka angielskiego, a także preferowali monogamiczne związki. Liberię zaczęli uważać za swój nowy dom. Zarazem im lepiej się „aklimatyzowali", tym bardziej spoglądali na swych afrykańskich sąsiadów z rosnącą i nieskrywaną pogardą, nie dopuszczając do siebie nawet myśli, że któryś z lokalnych wodzów miałby z nimi współrządzić Liberią.

Za namową członków Amerykańskiego Towarzystwa Kolonizacyjnego pierwszym niebiałym gubernatorem Liberii został mianowany w 1841 r. Joseph Jenkins Roberts. Amerykanoliberyjczycy uznali to za ważny krok ku większej samodzielności. Coraz głośniej mówiło się o ogłoszeniu niepodległości od Stanów Zjednoczonych. Sprawę przyspieszył też zatarg z Brytyjczykami, którzy byli zdania, że kolonia, za którą uważali Liberię, nie ma prawa nakładać ceł na towary wwożone tam z Sierra Leone.

27 października 1846 r. przeprowadzono w Liberii referendum w sprawie ogłoszenia niepodległości. 52 proc. osób biorących udział w głosowaniu opowiedziało się za niezależnością od USA. Niespełna rok później, 26 lipca 1847 r., Wspólnota Liberii ogłosiła niepodległość jako Republika Liberii. Tego samego dnia ogłoszono też przyjęcie konstytucji, która wzorowana była na amerykańskiej ustawie zasadniczej.

Pierwsze wybory na urzędy prezydenta i wiceprezydenta odbyły się w październiku tego samego roku. Głową państwa został wcześniejszy gubernator, Joseph Jenkins Roberts, a jego zastępcą Nathaniel Brander. W 1850 r. do Liberii dołączyła kolonia nazywana Republiką Maryland. W dalszych latach wszelkie wymuszane (czasem także kosztem Brytyjczyków i Francuzów posiadających własne kolonie na zachodnim wybrzeżu) niewielkie „korekty" granic tego niedużego państwa były możliwe dzięki wsparciu władz USA i obecności US Navy u wybrzeży Liberii.

Życie polityczne w Liberii zdominowały początkowo dwa ugrupowania: Partia Liberyjska (funkcjonująca później jako Partia Republikańska) oraz Partia Prawdziwych Wigów. Do pierwszej z nich należeli głównie biedniejsi ludzie mieszanego pochodzenia, a do drugiej – stojący wyżej w hierarchii bogatsi czarni. Wigowie sprawowali rządy w Liberii do końca lat 70. XIX w. Po nich kolejne wybory przez niemal 100 lat wygrywali republikanie, cementując de facto układ monopartyjny. Właściwie żadnych praw wyborczych, a tym bardziej swojej reprezentacji nie miała rdzenna ludność Liberii, pogardzana przez Amerykanoliberyjczyków. Pomimo licznych buntów nie zyskali oni, aż do drugiej połowy XX w., żadnych wpływów na losy państwa. Amerykanoliberyjczycy całkowicie zdominowali nie tylko polityczne, lecz także społeczne życie w kraju, reglamentując tubylcom dostęp do edukacji, nie pozwalając im na zbyt liczne osiedlanie się w miastach i na wybrzeżu, ograniczając tym samym możliwości zatrudnienia oraz dostęp do technologii i produktów z Europy i USA.

Pierwsze szersze reformy przeprowadził dopiero prezydent William Tubman po drugiej wojnie światowej, lecz po dekadach marginalizacji i funkcjonowania systemu kastowego trudno było scalić społeczeństwo. Apogeum konfliktów nastąpiło w 1980 r., kiedy po zabójstwie prezydenta Williama Tolberta rządy w kraju, po raz pierwszy w historii, przejęli rdzenni Liberyjczycy. Prawdziwa katastrofa zaczęła się kilkanaście lat później, wraz z przejęciem władzy przez Charlesa Tylora, krwawego dyktatora, którego w 2012 r. Sąd Specjalny dla Sierra Leone w Hadze skazał na 50 lat więzienia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Prezydenci Jimmy Carter i William Tolbert

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/WHITE HOUSE PHOTO, BILL FITZ-PATRICK

WYBRANA LITERATURA:

Egerton D.R., ***„Averting a Crisis: The Proslavery Critique of the American Colonization Society",*** *[w:] „Civil War History", vol 43, 1997; Hollander C.,* ***„Navigating Slavery: Robert F. Stockton and the Limits of Antislavery Thought" (on-line);*** *Mills B.,* ***„The United States of Africa: Liberian Independence and the Contested Meaning of a Black Republic",*** *[w:] „Journal of the Early Republic" 2014, nr 34; Schick T.W.,* ***„Behold the Promised Land: A History of Afro-American Settlers in Nineteenth-Century Liberia", Baltimore 1980;*** *Staudenraus P.J.,* ***„The African Colonization Movement 1816–1865", Columbia 1961.***

eprasa.pl 31615842ca

Fragment książki / Lloyd Llewellyn-Jones „Persowie. Epoka Wielkich Królów”



Perski wojownik. Relief z pałacu Dariusza, obecnie w Luwrze

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/DYNAMOSQUITO

„Leseferystyczne” imperium



Lloyd Llewellyn-Jones

Persowie władali najrozleglejszym ze wszystkich imperiów starożytności. W Biblii ukazani są jako słudzy boży, pomocne i życzliwe supermocarstwo popierające prawo Żydów do ojczyzny. Dlaczego jednak autorzy klasyczni ukazują Persję niemal wyłącznie w złym świetle?

Powstanie imperium perskiego umożliwiło pierwszy znaczący i trwały kontakt między Wschodem a Zachodem i przygotowało grunt dla późniejszych imperiów starożytności. Jego znaczenie dla wyobrażeń o tym, jak powinno wyglądać odnoszące sukcesy światowe mocarstwo, jest nie do przecenienia. Perskie imperium otworzyło, po raz pierwszy w dziejach, międzynarodowy dialog, gdyż Persowie byli oświeconymi despotami. Mieli zaskakująco leseferystyczny stosunek do swej imperialnej władzy. W odróżnieniu od Rzymian lub Brytyjczyków, entuzjastycznych imperialistów późniejszych epok, Persom nie zależało na narzucaniu swojego języka podbitym ludom.

Brytyjscy osadnicy, żołnierze, kupcy i administratorzy nieśli królewską angielszczyznę na wszystkie kontynenty i narzucali ją podległym ludom. Od Brytanii do Syrii Rzymianie wykorzystywali łacinę jako język biznesu, finansów, prawa i porządku publicznego; aby być kimś w imperium rzymskim, znajomość łaciny była nieodzowna. Persowie nigdy nie zmuszali poddanych do przyjęcia ich mowy. Woleli ogłaszać swoje dekrety w lokalnych językach i stosowali aramejski jako swego rodzaju lingua franca na wszystkich ziemiach imperium, aby ułatwić sprawną – niedyskryminującą – komunikację. Także w sferze religii perscy królowie starali się przedstawiać jako aktywni obrońcy lokalnych kultów, choćby tylko po to, by zapewnić sobie kontrolę nad bogatymi sanktuariami i przychylność potężnych kapłanów. Nawet w małych regionach administracyjnych nadawali przywileje świątyniom i chwalili się wsparciem, którego udzieliły im ich lokalne bóstwa. Ani też perski styl nie był narzucany architekturze imperium, podczas gdy Rzymianie i Brytyjczycy odciskali wizualne piętno na wszystkich podległych im terenach. To niezwykle nowoczesne i oświecone

eprasa.pl 31615842ca

podejście daje się podsumować jednym staroperskim słowem, którego Dariusz Wielki używał na określenie swojego państwa: vispazanānām – „wielokulturowe" [...].

Dariusz i jego następcy kontrolowali imperium, które rozciągało się od Persji do Morza Śródziemnego na zachodzie i do Indii na wschodzie. Sięgało na południu do Zatoki Omańskiej, a na północy aż do ziem dzisiejszej południowej Rosji. Obejmowało Sudan i Libię, północną Grecję i Azję Mniejszą, Afganistan i Pendżab aż do Indusu. Obfitowało w ziemię uprawną. Rosły tam jęczmień, daktyle, soczewica i pszenica, a ziemie imperium bogate były w cenne surowce – miedź, ołów, złoto, srebro i lapis-lazuli. Żadne państwo na świecie nie dorównywało mu bogactwem.

Persowie władali najrozleglejszym ze wszystkich imperiów starożytności. Tym bardziej godna uwagi jest więc jego droga do wielkości. Wyrosło ono z maleńkiego plemiennego państewka na terenie dzisiejszej prowincji Fārs w południowo-zachodnim Iranie. W języku staroperskim obszar ten nazywano Pārs albo Pārsa. W uszach antycznych Greków brzmiało to później jak Persis i od tej nazwy pochodzi nasza Persja. Panującą dynastią perskiego imperium, głównym obiektem zainteresowania tej książki, byli Achemenidzi, którzy wzięli nazwę od swego eponimicznego protoplasty Achemenesa, rzekomego przodka zarówno Cyrusa Wielkiego, jak i Dariusza Wielkiego. Achemenes to również grecka wersja perskiego imienia Haxāmaniš, które z kolei pochodziło od staroperskich słów haxā- (przyjaciel) i manah (zdolność myślenia). Dlatego ludziom perskojęzycznym dynastia ta znana była pod patronimiczną nazwą „Haxāmaniš" – Achemenidzi [...].

Kwestia Persji

Imiona i nazwy są ważne, jeśli chodzi o historię Persji. Weźmy samą nazwę „Persja". Jej użycie bywa bardzo kontrowersyjne. To, co określano kiedyś na Zachodzie jako Persję, jest dziś Iranem (albo Islamską Republiką Iranu, jak brzmi pełna nazwa tego kraju). Na dzisiejszym Zachodzie oraz w niektórych częściach



Dariusz I Wielki
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/SURENAE+

Bliskiego Wschodu Iran jest często postrzegany jako państwo parias, prący do wojny wichrzyciel w najbardziej niestabilnym regionie świata. Uchodzi za zaprzysiężonego wroga Zachodu, a zwłaszcza amerykańskiego imperializmu. Dla mieszkańców Zachodu kraj ten jest kolebką bliskowschodniego terroryzmu i synonimem ucisku społecznego. „Iran" stało się słowem zakazanym. Na mocy skojarzenia z islamskim reżimem, który rządzi współczesnym państwem narodowym, również irańska kultura jest traktowana z protekcjonalną niechęcią. Irańczycy doskonale zdają sobie sprawę z tego, jak ich wizerunek jest prezentowany światu poprzez nagłówki prasowe, telewizyjne programy dokumentalne, artykuły w czasopismach i wszechobecne media społecznościowe. Wielu Irańczyków szczyci się nazwą swego kraju, a także jest zażenowanych konotacjami, których nabrała ona od czasu rewolucji islamskiej z 1979 r. Odczucia, które budzą słowa „Iran" i „Persja", podlegają ciągłym zmianom, a w codziennym dyskursie te dwa terminy często się pokrywają i bywają używane wymiennie. Wśród emigrantów, którzy po 1979 r. osiedli w Ameryce lub w Europie, zwyczajem stało się używanie nazwy „Persja" na określenie „lepszego" miejsca i czasu oraz bardziej skomplikowanej tożsamości kulturowej niż ta, którą oferuje dziś rząd Republiki Islamskiej. Można by sądzić, że prosta formuła – Persja dla okresu przedislamskiego i Iran dla ery islamskiej – byłaby praktycznym rozwiązaniem problemu terminologii. Ale nie, taki uproszczony podział nie wystarcza.

Był 28 grudnia 1934 r., kiedy brytyjski minister w Teheranie, sir Hughe Montgomery Knatchbull-Hugessen, napisał do George'a Rendela, szefa Wydziału Wschodniego brytyjskiego Biura Spraw Zagranicznych, informując: „Otrzymaliśmy właśnie absurdalną notę od perskiego rządu". Jak wyjaśniał: „Proszą nas, byśmy mówili o »Iranie« i »Irańczykach« zamiast o »Persji« i »Persach«". Przemyślawszy tę prośbę, Rendel odpisał: „Sądzę, że osobą ostatecznie odpowiedzialną za to jest Herodot, który, nie mogąc przewidzieć drażliwości współczesnych Persów, nie dość uprzejmie wypowiadał się o tym kraju" [...].

Jeśli perskie imperium było tak znaczącym w świecie, określającym swoją epokę tworem, to dlaczego starożytnym Persom nie przyznaje się należnego im miejsca w historii? Tę osobliwość może po części wyjaśniać to, że aż do początków XIX w. nikt nie miał dostępu do żadnych autentycznych źródeł pisanych z czasów Achemenidów. To Henry Rawlinson z Kompanii Wschodnioindyjskiej wydedukował w 1832 r., że język staroperskich tekstów klinowych jest pismem fonetycznym, i odcyfrował je z powodzeniem. W 1837 r. sporządził kopię inskrypcji z Bisitun, długiego tekstu zamówionego przez Dariusza Wielkiego, i wysłał przekład jej pierwszych ustępów do Królewskiego Towarzystwa Azjatyckiego. Druga część ukazała się dopiero w roku 1849, a zainteresowanie uczonych językiem staroperskim było niewielkie. Odszyfrowanie staroperskiego stanowiło klucz, który umożliwił złamanie kodów pisma elamickiego, babilońskiego, a w końcu akadyjskiego (języka Asyryjczyków), i uwaga środowiska naukowego wkrótce skupiła się na bogatej literackiej i epigraficznej spuściźnie Mezopotamii, rozpaczliwie zaniedbując studia nad perszczyzną. Asyriologia tymczasem rozwijała się prężnie.

W rezultacie perskie imperium przedostało się do świadomości historycznej Zachodu jedynie za pośrednictwem dwóch różnych zewnętrznych źródeł: Biblii hebrajskiej (Starego Testamentu) oraz dzieł klasycznych greckich i rzymskich autorów. Ogólnie rzecz biorąc, teksty biblijne sławiły Persów. To właśnie Wielki Król Persji uwolnił Żydów z wygnania babilońskiego i pozwolił im wrócić do domów, by zbudowali nową (drugą) świątynię w Jerozolimie na miejscu pierwotnego sanktuarium

eprasa.pl 31615842ca



Pieczęć Dariusza I Wielkiego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/BRITISH MUSEUM/SHUKIR MUHAMMED AMIN FRCP(GLASG)

króla Salomona. W Biblii Persowie są sługami bożymi, pomocnym i życzliwym supermocarstwem popierającym prawo Żydów do ojczyzny. Autorzy klasyczni jednak ukazują Persję niemal wyłącznie w ujemnym świetle. Wielcy Królowie odmalowani są jako lubieżni, kapryśni, szaleni tyrani, a ich państwo uważane jest za ciemięzcę wrogiego greckim ideałom wolności (cokolwiek ona oznaczała). Grecy przedstawiają Persów jako tchórzliwych, podstępnych, zniewieściałych, mściwych i pozbawionych honoru. Są oni uosobieniem barbarzyństwa.

Rozpieszczeni despoci

Persowie i ich rozległe imperium niezmiernie pociągali grecką wyobraźnię. Grecy mieli obsesję na punkcie swoich potężnych sąsiadów ze wschodu. Grecka sztuka obejmuje bogaty katalog wyobrażeń Persów ukazywanych jako rozpieszczeni despoci i pokonani żołnierze, a grecka literatura obfituje w detale dotyczące rozmaitych przejawów perskiej egzotyki. Pojawiają się tam persko brzmiące (ale zmyślone) imiona, wzmianki o daninach, prawach, prawdomówności, pijatykach i złocie. Grecy wspominają o cytrusach, wielbłądach, koniach, pawiach, kogutach, polowaniach na lwy, ogrodach i systemie dróg mierzonych w parasangach. Mówią o olbrzymich bogactwach, dumie, wyniosłości i luksusowym stylu życia, widocznym w kosztownych strojach i tkaninach, wymyślnych potrawach i napojach, wytwornych naczyniach stołowych, wachlarzach i packach na muchy oraz meblach z kości słoniowej. Są tam królowe, konkubiny, haremy i eunuchowie, wbijanie na pal, krzyżowanie i wiele odrażających form długotrwałych tortur. Ta niekończąca się wyliczanka „persjanizmów" niewiele mówiła o realiach życia Persów, pomagała jednak ukształtować tożsamość Greków. Ateńskie społeczeństwo epoki klasycznej kreowało się na dokładne przeciwieństwo perskiej cywilizacji. Ateńczycy, jak się wydaje, najbardziej uświadamiali sobie swoją „ateńskość", kiedy wyobrażali sobie, że patrzą na siebie oczami Persów. Herodot np. w piątej księdze Dziejów opisał reakcję króla Dariusza na spalenie Sardes, miasta należącego do Persów, podczas wznieconego z poduszczenia Aten powstania jońskiego.

Nie poświęcając większej uwagi samym Jonom, perski król, według Herodota, od początku skupił się na Ateńczykach:

[Dariusz] zapytał, kto to są Ateńczycy. Dowiedziawszy się, miał zażądać łuku; gdy go dostał, nałożył nań strzałę i wypuścił ją w górę ku niebu, a ciskając ją w powietrze, zawołał: – Zeusie, użycz mi zemsty na Ateńczykach! Po tych słowach podobno zlecił jednemu ze służących, żeby mu, ilekroć zasiądzie do stołu, trzykroć powtarzał: „Panie, pamiętaj o Ateńczykach!".

Jedynie Grek – do tego proateńsko nastawiony – mógł wymyślić taką scenę. Mało prawdopodobne, by Dariusz aż tak przejmował się dalekimi Ateńczykami; miał na głowie znacznie ważniejsze sprawy, takie jak Scytia czy Indie. Ale historia ta jednoznacznie informuje nas o rozdętej dumie i wygórowanym mniemaniu o sobie mieszkańców Aten. Wyobrażanie sobie siebie jako spędzającej sen z powiek nemezis Wielkiego Króla dawało Ateńczykom poczucie własnej wartości.

Herodot pociągnął tę myśl dalej. Według niego to właśnie pamięć o ateńskim wsparciu dla buntu Jonów była motywem perskich kampanii przeciwko Grecji z lat 490 i 480 p.n.e. Zwłaszcza ta druga ekspedycja jest godna uwagi, gdyż choć do tej pory Kserkses zdążył już objąć tron po swym ojcu, Herodot w dalszym ciągu podkreślał, jak głęboko Ateny wryły się w pamięć Dariusza. Owa późniejsza inwazja jest osią wielkiej tragedii Ajschylosa z 472 r. p.n.e. „Persowie", w której Kserkses przedstawiony został jako straszliwy tyran usiłujący zdławić swobody, którymi cieszyły się Ateny i greckie miasta-państwa.

Późniejsze pomyślne odparcie przytłaczających sił achemenidzkich despotów stało się wyczynem opiewanym w poezji, dramatach, sztuce oraz w nowych narracjach historycznych, takich jak ta stworzona przez dziejopisa. Po bliższym zbadaniu Herodotowy Kserkses okazuje się postacią niezmiernie skomplikowaną. Brutalna furia przeplata się w nim z dziecinnymi dąsami i niespodziewanymi ckliwymi napadami płaczu. Jedną z najbardziej znaczących i zaskakujących scen w Dziejach, o emocjonalnej głębi autentycznie wielkiego powieściopisarstwa, jest ta, w której Kserkses, dokonując przeglądu armady okrętów, które zgromadził w celu inwazji na Grecję, zalewa się nagle rzewnymi łzami. Jak wyjaśnia (wedle słów Herodota), „zdjęło mnie uczucie litości, gdym rozważał, jak krótkie jest całe życie ludzkie", i wydaje mu się to wszystko zbyt bolesne. U despoty, którego beztroska obojętność wobec ludzkich spraw jest akcentowana w całych Dziejach, taka empatia wobec nieuchronności śmierci jest niezwykłą inwencją psychologiczną ze strony pisarza.

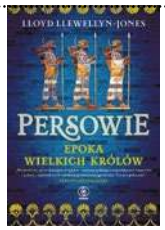
Koszmar psychopatycznego przywódcy (dziś u szczytu, jutro na dnie),



Pałac Dariusza w Persepolis

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/GINOLERHINO

eprasa.pl 31615842ca



LLOYD LLEWELLYN-JONES
„PERSOWIE. EPOKA WIELKICH KRÓLÓW"
REBIS

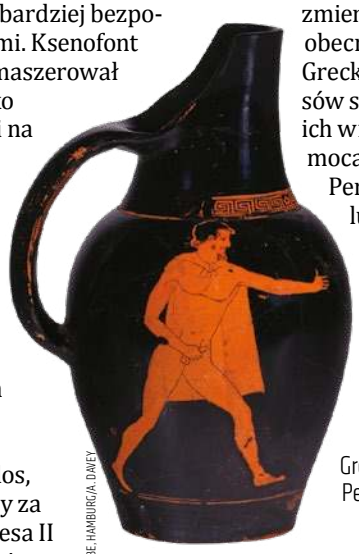
stojącego na czele brutalnie scentralizowanego autorytarnego państwa, stał się obrazem, który wytrąca z równowagi liberalnych demokratów, odkąd Herodot odmalował go po raz pierwszy. Ma on jednak niewiele wspólnego z prawdziwym Kserksesem z „perskiej wersji". Nie chcę przez to powiedzieć, że Herodotową wizję historii Persji należy w całości przekreślić jako zbiór wyssanych z palca powiastek moralizujących.

Nie; historiograf urodził się jako poddany Persów – jego ojczyste miasto, Halikarnas, należało do perskiego państwa – i musiał mieć pewne pojęcie o funkcjonowaniu (części) imperium. Z pewnością odnotowywał anegdoty, które krążyły wśród Persów za jego życia, i da się wyłuskać z Dziejów autentyczny, treściwy i odkrywczy perski materiał. Trzeba to jednak robić ostrożnie. Głównym zamiarem Herodota było postawienie tego lustra przed Persami. Odbity w nim obraz ukazywał ich jako odwrotność – całkowite przeciwieństwo – Greków. Persowie byli Obcym par excellence. Mniej więcej w tym samym czasie co Herodot tworzyli też inni greccy autorzy. Niektórym z ich dzieł wartości przydał bardziej bezpośredni kontakt z Persami. Ksenofont np. w 401 r. p.n.e. przemaszerował z Grecji do Babilonu jako członek najemnej armii na żołdzie księcia Cyrusa Młodszego. Jego dzieła – „Anabaza" i „Wychowanie Cyrusa" – są cennym obrazem Persów widzianych okiem żołnierza, chociaż on także grzeszył mało przychylnym podejściem do tematu.

Więcej pożytku jest z pism Ktezjasza z Knidos, greckiego lekarza, który za panowania Artakserksesa II pełnił funkcję królewskiego medyka w sercu perskiego dworu. Ktezjasz przez 17 lat przebywał w najbliższym otoczeniu rodziny królewskiej i nauczył się mówić po persku. Rozmawiał z achemenidzkimi arystokratami i zgromadził informacje z pierwszej ręki o dziejach ich rodów oraz tradycjach dynastycznych. Jego kolosalnych rozmiarów bestseller – „Persika" („Sprawy perskie") – z którego zachowały się niestety tylko fragmenty, przedstawiał jedyną w swoim rodzaju historię Persji widzianą od środka. Ktezjasz przekazywał anegdoty, baśnie i legendy, które opowiadano, recytowano i odgrywano w rezydencjach perskich elit. Lekceważony niegdyś przez uczonych jako bajarz powtarzający wyssane z palca powiastki jest on dziś doceniany za istotny wkład w nasze zrozumienie tego, jak Persowie traktowali „historię".

Scena gwałtu

Od ok. 550 r. p.n.e. do czasów Aleksandra Wielkiego (lata 30. IV w. p.n.e.) każde kolejne pokolenie Greków miało własny sposób potwierdzania, stosownie do potrzeb, helleńskiej tożsamości na tle wciąż zmieniającego się, jednak stale obecnego perskiego zagrożenia. Grecka obsesja na punkcie Persów skupiała się na podważaniu ich wiarygodności jako supermocarstwa. Deprecjonowanie Persów – przez szkalowanie lub ośmieszanie – miało na celu uśmierzenie bólu i lęku wynikających z niebezpieczeństw i realiów bycia sąsiadem imperium, którego ambicje terytorialne były jak najbardziej rzeczywiste i nic nie wskazywało, że kiedykolwiek z nich zrezygnuje. Aby podnieść morale Greków, na scenie, w rzeźbie oraz w innych dziedzinach sztuki tworzono obrazy, które można by określić mianem katartycznych. Wyszydzały one, oczerniały i mieszały z błotem Persów, potwierdzając zarazem grecką (a zwłaszcza ateńską) wyższość. Jednym z takich przedmiotów jest czerwonofigurowy dzban na wino, datowany na połowę lat 60. V w. p.n.e., znany jako waza eurymedońska. Przedstawia upokorzonego perskiego żołnierza, który pochyla się w pasie, nadstawiając pośladki wulgarnemu ateńskiemu wojakowi, ten zaś kroczy ze wzwiedzionym członkiem w dłoni, aby spenetrować odbyt Persa.



Grek symbolizujący zwycięstwo nad Persami nad Eurymedonem i armia Kserksesa

FOT. COMMONS.WIKIMEDIA / MUSEUM FÜR KUNST UND GEWERBE, HAMBURG/A. DAVEY



Ta malarska scena gwałtu (gdyż z tym właśnie mamy tu do czynienia) została stworzona jako „edycja pamiątkowa" w czasie, gdy Ateńczycy świętowali zwycięstwo nad perskimi wojskami w bitwie nad rzeką Eurymedon w Azji Mniejszej w 467 r. p.n.e. Używano jej podczas imprez z alkoholem, prawdopodobnie spotkań w żołnierskim gronie. Gdy dzban krążył z rąk do rąk wśród grupy hoplitów – greckich szeregowców – wino płynęło i zaczynały się sypać sprośne kawały. Wtedy też Pers z wazy był poniewierany przez jednego żołnierza po drugim. Każdy kolejny biesiadnik, ujmując dzban, odgrywał dramat tej sceny: „Teraz ja jestem Eurymedonem – chełpił się. – Patrzcie, jak dymam tego Persa!". Obraz na wazie jest celną wizualizacją żołnierskiego humoru, choć jest bardzo prawdopodobne, że scena ta odzwierciedlała realne doświadczenia. Gwałcenie po bitwie pokonanych żołnierzy nigdy nie było jedynie pijacką fantazją. Waza eurymedońska odzwierciedla ducha czasu Aten z lat 60. V w. p.n.e. Była dobrze wymierzonym żartem na temat niedawnych nieoczekiwanych, ale pomyślnych wydarzeń politycznych i militarnych, które demonstrowały naturalną wyższość Greków nad barbarzyńskimi Persami [...].

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

Powyższy tekst jest fragmentem książki Lloyda Llewellyna-Jonesa „Persowie. Epoka Wielkich Królów" (Wyd. Rebis). Z tekstu usunięte zostały przypisy. Tytuł, lead i śródtytuły pochodzą od redakcji.

eprasa.pl 31615842ca



Międzynarodowy Festiwal Słowian i Wikingów, Wolin, 2018 r. FOT. MARCIN BIELECKI/PAP

Wywiad / Z prof. Dariuszem Sikorskim, mediewistą z UAM



rozmawia Piotr Włoczyk

Wikingowie u Piastów

– Teza o normańskim pochodzeniu dynastii Piastów była w okresie międzywojennym bardzo pozytywnie przyjmowana przez mediewistów niemieckich. W ten sposób powstał „argument" ideologiczny, jakoby Słowianie sami nie byli w stanie stworzyć państw i dopiero germańskie elity przyniosły na wschód cywilizację – mówi historyk

PIOTR WŁOCZYK: W styczniu znaleziony został w Wiśle we Włocławku miecz, najprawdopodobniej pochodzenia wikińskiego. Niektóre media okrzyknęły to znalezisko mianem „sensacji". Podpisałby się pan pod taką tezą?

PROF. DARIUSZ SIKORSKI: To, że ten miecz został znaleziony we Włocławka, nie jest wielkim zaskoczeniem. Niedaleko tego miasta, na cmentarzysku w Bodzi, które datowane jest na koniec X i pierwszą

eprasa.pl 31615842ca

połowę XI w., znaleziono groby wikińskie z mieczami. Bez wątpienia w tamtym rejonie przebywali wikingowie. Niezwykłe są raczej okoliczności znalezienia miecza, ponieważ doszło do tego nie w wyniku prac archeologicznych, lecz kompletnym przypadkiem, w trakcie pogłębiania Wisły. Z tego powodu ma on dla nas znacznie mniejsze znaczenie naukowe.

Wikińskie przedmioty to dla polskich archeologów i historyków nic niezwykłego?

Nie popadałbym tu w przesadę w drugą stronę – nie znajdujemy ich w Polsce aż tak dużo. Ale od dłuższego czasu takie znaleziska nie emocjonują już za bardzo badaczy, ponieważ przyzwyczailiśmy się do myśli, że u zarania dziejów Polski przebywali tu wikingowie.

Takie głośne znaleziska za każdym razem odgrzewają dyskusję na temat roli wikingów w procesie budowy polskiej państwowości. Dla ludzi, którzy opowiadają się za tezą, że wikingowie wręcz stworzyli państwo Polan, koronnym argumentem pozostaje jednak nie jakiś wikiński artefakt, lecz dokument „Dagome iudex". Zdaniem niektórych badaczy tytułowy „Dagome" to prawdziwe, normańskie imię Mieszka...

Mówimy o wypisie z zaginionego dokumentu, który nie oddaje całości jego treści. Pierwotny dokument napisany był najprawdopodobniej na papirusie, czyli na materiale bardzo kruchym, który zwłaszcza na krawędziach mógł być uszkodzony. Gdy 100 lat później, pod koniec XI w., dokonywano odpisu z tego dokumentu, nie wszystko musiało być na nim czytelne. Tak więc imię Mieszka również mogło być tam nieczytelne. Ktoś, kto odczytywał ten fragment, zapisał je jako „Dagome". Ale jak było w rzeczywistości? Nigdy się już tego nie dowiemy. To, że imię „Mieszko" było dla niego czytelne, widzimy w dalszej części, gdzie wymienieni są synowie księcia: Mieszko i Lambert. Dziś badacze powszechnie uważają „Dagome" za zniekształconą, a nie pierwotną formę imienia Mieszko.

Nawet jednak jeżeli faktycznie byłoby to imię księcia (wystawcy dokumentu), to moglibyśmy się w „Dagome" dopatrzyć ogólnogermańskiego rdzenia „Dag", jak choćby w imieniu Dagobert. Jednak nie jest to imię normańskie, lecz frankijskie. Nie ma żadnych podstaw lingwistycznych, by łączyć nieistniejące nigdzie indziej imię Dagome z Normanami. Profesor Henryk Łowmiański, wybitny mediewista, twierdził, że ewentualnie można to wyjaśnić hipotezą, iż Mieszko otrzymał podczas chrztu imię wzorowane na św. Dagobercie, królu frankijskim. Byłoby to symboliczne – przyjmując chrzest, książę nawiązuje do innego chrześcijańskiego władcy, który został po śmierci uznany przez Kościół za świętego. Inna rzecz, że gdyby jednak teoria o normańskim pochodzeniu Mieszka była słuszna, to należałoby się spodziewać, że wśród imion jego dzieci znajdziemy imiona normańskie, a nic takiego nie miało przecież miejsca. Takich imion nie dostawali też późniejsi przedstawiciele dynastii.



FOT. W. OCHOTNY/WOJEWÓDZKI URZĄD OCHRONY ZABYTKÓW W TORUNIU, BIBLIOTEKA NARODOWA

Miecz wikiński znaleziony w Wiśle i Mieszko I z „Kroniki" Miechowity (XVI w.)

Jednym z najbardziej znanych propagatorów tezy o wikińskim pochodzeniu Piastów jest archeolog Zdzisław Skrok. Jego zdaniem „nagłe" pojawienie się na arenie dziejów państwa Mieszka I było możliwe dzięki cywilizacyjnemu know-how, które mieli dać właśnie wikingowie. Skrok przekonuje, powołując się na kronikarza Nestora i jego „Powieść doroczną", że wygnana kijowska linia Normanów „z rodu Dira i Askolda" miała trafić – wraz z silną drużyną – do Wielkopolski. Miało się to stać w 944 r.

To bardzo ekstrawagancka teza, żeby nie powiedzieć mocniej, która na pewno pomaga sprzedać książki, ale rzeczy mają się dokładnie odwrotnie. Przede wszystkim wspomniane źródło mówi o tym, że „Askold i Dir władają ziemią polańską", ale chodzi o znane też z innych zapisów plemię Polan mieszkających wokół Kijowa, a nie Polan wielkopolskich. Gdyby hipoteza o pochodzeniu dynastii piastowskiej z Rusi miała być prawdziwa, to znaleźlibyśmy na ziemiach polskich więcej zabytków normańskich charakterystycznych dla Rusi. A to są jedynie incydentalne przypadki. Zdecydowana większość takich zabytków znaleziona w Polsce pochodziła bezpośrednio z północy, ze Skandynawii.

Wiemy, że dynastia Rurykowiczów wywodzi się od Normanów, i mamy na to masę dowodów archeologicznych i historycznych, które wywodzą tę dynastię ze środowiska normańskiego. Wokół wodza obecni byli drużynnicy normańscy. W przypadku Piastów nie mamy takich dowodów. W Wielkopolsce liczba zabytków pochodzenia normańskiego z okresu tworzenia się dynastii piastowskiej jest znikoma. Na większą skalę zaczynają się pojawiać dopiero w drugiej połowie X w., gdy Piastowie są już okrzepłym władztwem. Inna rzecz, że niepoważny jest argument, iż to państwo pojawia się „nagle".

Dlaczego?

W strefie Barbaricum systemy scentralizowanej władzy, które my nazywamy, dokonując pewnego nadużycia, „państwami", zazwyczaj pojawiają się w dziejach „nagle". Ale tylko w tym sensie, że sąsiedzi, którzy posługują się już pismem, nagle odnotowują pojawienie się na mapie nowego dla nich tworu. Tak samo było w przypadku Czech i Wielkiej Morawy – nie obserwujemy tu

eprasa.pl 31615842ca

w przekazach ewolucyjnego rozwoju, tylko oba te władztwa, już ugruntowane, pojawiają się „nagle".

Piastowie nad Wartą byli dobrze odseparowani od Saksonii, gdzie istniały najbliższe ośrodki piśmiennicze, Słowianami połabskimi. I właśnie dlatego Piastowie dosyć późno weszli w „horyzont" geograficzny Sasów i Bawarów.

Czasem słychać też argument, że państwo Piastów musiało być jakoś „zasilone" z zewnątrz, ponieważ nagle pojawiły się w Wielkopolsce wielkie grody. To jest rzeczywiście zastanawiająca kwestia. Ale to samo widać u Słowian połabskich jakieś 20–30 lat wcześniej. Nie było to jednak związane w żaden sposób z budową państwowości – Słowianie na Połabiu nie stworzyli takiego tworu, ponieważ byli rozbici na kilkadziesiąt księstewek. W ich przypadku nagły skok w budownictwie grodowym związany jest ewidentnie z poczuciem zagrożenia. Na Połabiu wyprzedza on o ok. dekadę wielki najazd Henryka I na Połabie, jakby mieszkańcy tamtych terenów przeczuwali agresję.

Czym jednak tłumaczyć błyskawiczny rozwój wielkich grodów w Wielkopolsce, odległej przecież – i odizolowanej – od Sasów?

Zagrożenie z zachodu nie było wówczas w żaden sposób realne. Nie wchodził tu więc raczej w grę strach przed obcymi – Połabianie nie walczyli z Polanami o Wielkopolskę. Możemy się domyślać, że chodziło tu raczej o próbę manifestacji siły władztwa poprzez gigantyczne budownictwo grodowe. Miało to pokazać miejscowej ludności, że ich władcy są potężni. W przypadku grodów w Poznaniu i Gnieźnie możemy wręcz mówić o gigantomanii. Były one budowane tak bardzo nieekonomicznie, że w grę musiały raczej wchodzić kwestie wizerunkowe.

Zdzisław Skrok podkreśla, że w spisie Geografa Bawarskiego z 845 r. nie pojawiają się Polanie, choć wymienia on m.in. Wolinian, Dziadoszan, Ślężan, Opolan, Golęszyców i Wiślan. Archeolog zaznacza też, że istnienie plemienia Polan poświadczone jest w okolicach Kijowa, a w swojej kronice Nestor zawarł ponoć sugestię, że kijowscy Waregowie używali nazwy „Polanie" w stosunku do samych siebie.

Ta teza to pójście na skróty. Wikingowie czy też Waregowie na Rusi nie mogli używać wobec siebie określenia, które



Rekonstrukcja stroju wikinga z osady Truso

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/TELEWIZJA BOLESŁAWIEC

jest urobione z języka słowiańskiego. Slawizacja Waregów następuje w drugiej połowie wieku X, sądząc po słowiańskich imionach, które dopiero wtedy przyjmuje elita. I dotyczy to tylko niektórych jej przedstawicieli, bo reszta pozostaje przy imionach skandynawskich.

Sugestia, że „odprysk" Polan z Kijowa trafił do Wielkopolski tylko na podstawie nazwy, jest bardzo wątpliwa. Nazwa i etymologia słowa „Polanie" są doskonale znane – pochodzą one od pól. Słowiańszczyzna porośnięta była niekończącymi się lasami, więc teren pól szczególnie się tam odróżniał. W dwóch częściach Słowiańszczyzny mogliśmy mieć do czynienia z podobnym zjawiskiem i nazwa plemienia osiadłego nad Wartą mogła być urobiona na podstawie tego samego schematu. A przecież ówczesny język słowiański we wszystkich częściach Słowiańszczyzny był bardzo podobny. Mieszkańcy Wielkopolscy mogli po prostu tak samo siebie określić, jak zrobili to dowodnie mieszkańcy okolic Kijowa. Tak jak mnóstwo przetrwałych od średniowiecza nazw miejscowych typu „Dąbrowa" było niezależnie tworzonych dla miejsc odznaczających się szczególnym zagęszczeniem borów dębowych. Wprawdzie nazwa „Polanie" odnośnie do Wielkopolski nigdzie nie jest zapisana jako nazwa plemienna, ale możemy ją rekonstruować na podstawie późniejszego nazewnictwa, które źródła saskie stosują wobec tej części władztwa Piastów, od której później urobiono nazwę „Polonia", „Poliena" etc.

To, że Polanie nie występują u Geografa Bawarskiego, nie dziwi – autor tego źródła nie był systematyczny, inne plemiona też pomija. Niektóre regiony słowiańszczyzny są u niego całkiem dobrze udokumentowane, ale w innych widzimy kompletne pustki.

Zdzisław Skrok twierdzi też, że budowane w Wielkopolsce grody powstawały w oparciu o nieznaną wcześniej na tych terenach technikę i miały być podobne do duńskiej warowni Trelleborg.

Nic z tych rzeczy. Warownie typu Trelleborg różnią się od wszystkich grodów w Polsce tym, że są niemal idealnie koliste, oraz tym, że w środku były intensywnie zamieszkane i zabudowano je wielkimi budynkami, a nie małymi chatami, które widzimy w Polsce. Ten typ warowni bardziej przypominał obóz rzymski i był budowany bardzo symetrycznie. W polskich grodach budownictwo mieszkalne w ich wnętrzu jest stosunkowo skąpe, a osadnictwo koncentrowało się głównie w podgrodziach. Nie widać tu podobieństwa do grodów skandynawskich.

Inni propagatorzy tezy o wikińskich korzeniach Piastów zwracają uwagę na związki Mieszka ze Skandynawią. „Gdyby Mieszko I był niemal nieznanym w Skandynawii książątkiem niewielkiego plemiennego państewka, to należy postawić pytanie, dlaczego dysponujący militarną potęgą i politycznym znaczeniem królowie skandynawscy tak ochoczo udzielali mu pomocy militarnej i czemu żenili swoich synów z jego córkami" – mówił w jednym z wywiadów Sławomir Leśniewski, popularyzator historii.

Po pierwsze, nic nie wiadomo o pomocy militarnej dla Mieszka udzielanej przez Skandynawów, a po drugie, ciężko mówić o wydawaniu jego córek za Normanów, ponieważ wiemy o tylko jednej córce Mieszka (Sygryda Świętosława), która była żoną dwóch wybitnych wodzów normańskich. Córka Bolesława Chrobrego wydana została za Świętopełka, księcia Kijowa, ale to nie Skandynawia! Dlaczego Piastówna została wydana za Skandynawa? Piastowie, jako potęga coraz bardziej zaznaczająca swoją obecność w tej części Europy, sięgający nad Bałtyk, stanowili siłę, którą należało sobie zjednać. Bałtyk był traktowany przez Normanów jako morze wewnętrzne, zwłaszcza jego zachodnia część. Gdy na południowej flance „ich" morza pojawili się Piastowie, należało ożenić się z jedną z córek tego nowego władcy. Małżeństwa były swego rodzaju „pieczęcią", która zacieśniała relacje dyplomatyczne.

Użyty przez Leśniewskiego argument o domniemanym wspólnym etnicznym pochodzeniu Piastów i władców skandynawskich, co miało umożliwić zawieranie

eprasa.pl 31615842ca

małżeństw, jest w tym przypadku zdradliwy. Na tej podstawie można byłoby też dowodzić, że Mieszko mógł mieć czeskie pochodzenie, ponieważ ożenił się z Dobrawą...



Hełm wikinga

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/NTNU VITENSKAPSMUSEET

W opinii poznańskich archeologów – Małgorzaty i Mirosława Andrałojciów – istnieją przesłanki mające świadczyć o tym, że wikingowie służyli u boku pierwszych Piastów – Mieszka I i Bolesława Chrobrego – w charakterze ich gwardii przybocznych. Przekonuje pana taka teza?

Pod koniec X w. pojawiają się na ziemiach Polski grupy wikingów, o czym świadczą cmentarzyska ze specyficznym obrządkiem pogrzebowym i wyposażeniem grobów. Cmentarzyska te koncentrują się wzdłuż dolnej Wisły, kilka odkrytych zostało w Wielkopolsce i jedno w Lutomiersku koło Łodzi. Obecność Skandynawów jest więc potwierdzona – to nie są zabytki pozyskane drogą handlu, a długotrwałe użytkowanie tych cmentarzysk świadczy o zasiedzeniu się grup, które je zakładały.

Jednak dyspersja tych stanowisk, które nie są zorientowane w centrum państwa Piastów, sugeruje, że pochowani tam wojownicy nie wchodzili w skład gwardii przybocznej Mieszka I i Bolesława Chrobrego. Prawdą jest, że w dużych imperiach władcy otaczali się zazwyczaj gwardią składającą się z obcych, którzy nie byli zakorzenieni w społeczeństwie, w związku z czym związani byli na śmierć i życie z władcą. Jednak to, że Waregowie pełnili taką funkcję w Bizancjum, nie oznacza jeszcze, że tak samo musiało też być w Polsce czy gdziekolwiek indziej. Nie da się tego całkowicie wykluczyć, ale takiej tezy nic nie potwierdza.

Zdzisław Skrok powołuje się na fragment kroniki Wincentego Kadłubka, gdzie kronikarz twierdzi, że Polacy pochodzą od Wandalów. Skrok podkreśla, że słowo „Wandalowie" kojarzone było wówczas ze Skandynawami. Czyżby Kadłubek ujawnił tu prawdę o pochodzeniu Piastów?

Kronikarz tworzył na początku XIII w. i nie miał żadnych sprawdzonych informacji na temat początków państwa polskiego. Wiemy to, ponieważ cały początek jego kroniki jest efektem jego bujnej wyobraźni. Natomiast w jednym ze współczesnych Mieszkowi I żywotów świętych mamy ciekawy opis cudu, który miał się dokonać po swojej śmierci biskupa Augsburga. Jest tam opis tego, jak Mieszko, nazwany księciem Wandalów, w podzięce za uratowanie mu życia złożył wotum dla tego świętego. Dlaczego użyta została ta nazwa? Słowianie zachodni w źródłach zachodnich często określani byli mianem „Wendów". Do dziś w tradycji niemieckiej regiony słowiańskie nazywa się Wendenland. Ale ponieważ „Wenden" brzmi podobnie do „Wandalów", więc często ta ostatnia nazwa była przenoszona na Słowian. Cała tajemnica.

Podobnie zresztą jest z Czechami. Nazwa „Bohemia" pochodzi od celtyckiego plemienia, które zamieszkiwało tamte tereny, i nie ma nic wspólnego z jakimiś celtyckimi korzeniami Czechów. To bawarskie źródła przeniosły tę nazwę na Czechów, pamiętając, że kiedyś na tamtym terenie mieszkało plemię Bohemów. Nawiasem mówiąc, żeby było jeszcze ciekawiej, nazwa „Bawaria" również wywodzi się od tego samego plemienia, choć została mocno zniekształcona...

Koncepcje poszukujące początków rodu Piastów poza granicami wywodzą się z dawnej tradycji kręgu niemieckich historyków. Teza o normańskim pochodzeniu dynastii Piastów była w okresie międzywojennym bardzo pozytywnie przyjmowana przez mediewistów niemieckich. W ten sposób powstał „argument" ideologiczny, jakoby Słowianie sami nie byli w stanie stworzyć państw i dopiero germańskie elity przyniosły na wschód cywilizację. To się oczywiście kłóci z wiedzą historyczną – czy to w odniesieniu do Polski, Czech czy Wielkiej Morawy.

Historycy, którzy chcieli pokazać niższość Słowian, powoływali się pewnie na przykład Waregów i Rusi Kijowskiej?

Oczywiście. Natomiast tak naprawdę słowa „państwo" powinniśmy używać w kontekście Słowiańszczyzny X w. jedynie umownie. Bardziej trafnym określeniem jest „władztwo", chociaż wielu moich kolegów woli pozostać przy tradycyjnej terminologii.

Niektórzy zwolennicy tezy o normańskich początkach Polski wskazują też na możnowładcze rody...

W historiografii mieliśmy próby wywiedzenia ze Skandynawii niektórych późniejszych rodów polskich z czasów Mieszka I, zwłaszcza rodu Awdańców. Ta nazwa miała być zeslawizowaną formą normańskiego słowa „Auda", czyli złoto. Faktycznie trudno dopatrzeć się tu słowiańskiej etymologii. Nie można wykluczyć, że ten ród jest obcego, germańskiego pochodzenia, ale nie pojawił się na ziemiach polskich w X w. – nie ma na to żadnych dowodów, tylko domysły – lecz dużo później. Mobilność rycerstwa była w tamtych czasach dość duża. Warto przypomnieć, że Kazimierz Odnowiciel przybył do kraju z kilkuset niemieckimi rycerzami. Część z nich mogła zostać tu na stałe. To nie byłoby nic nadzwyczajnego. Co ważne, ród Awdańców nie nadawał swoim XII-wiecznym przedstawicielom normańskich imion...

Podsumujmy to wszystko. Jaką więc rolę odegrali wikingowie u zarania dziejów Polski?

Na pewno ułatwili nam wejście do wielkiego handlu bałtyckiego. Podkreślę to: ułatwili, a nie umożliwili. Wikingowie żyli na ziemiach polskich w kilku grupach, które – patrząc po cmentarzyskach – osiedliły się tu. Przybysze ze Skandynawii żyli na tych ziemiach przez dwa–trzy pokolenia. Później nagle zniknęli. Albo się przenieśli, albo wyniszczyły ich choroby, co w tamtych czasach było brutalną rzeczywistością, albo się... zeslawizowali. Wpływ Normanów, jeżeli chodzi o początki piastowskiej Polski, nie był więc w żadnym razie kluczowy. Powiedziałbym wręcz, że byli oni gdzieś na marginesie naszych dziejów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. UAM, dr hab. Dariusz Sikorski
– mediewista, wykładowca Wydziału Historii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, znawca dziejów Polski wczesnopiastowskiej.

eprasa.pl 31615842ca

1931–2024 / Twórca „C.K. Dezerterów” i „Zaklętych rewirów”

Retro Janusza Majewskiego



Krzysztof Masłoń

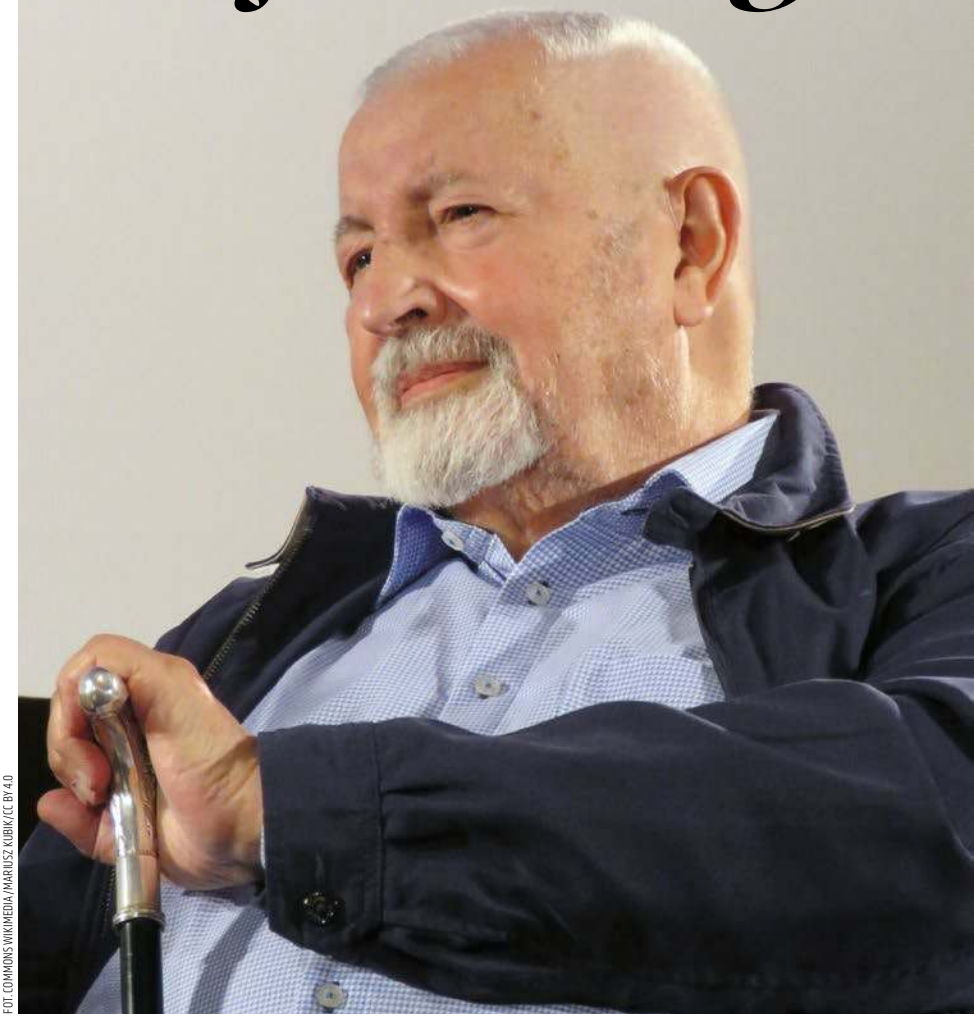
Z pewnością był Majewski bardziej człowiekiem literatury niż historii, niemniej w literaturze tej nieprzypadkowo sięgał po utwory osadzone w historii właśnie

Moja miłość do Lwowa, do utraconej ojczyzny, jest coraz większa, ogromnieje z dnia na dzień – mówił mi w 2010 r., w wywiadzie opublikowanym następnie w „Plusie Minusie”. Podkreślał też swoje przywiązanie nie tylko do Lwowa czy Krakowa, lecz także do znacznie szerszego obszaru – Europy Środkowej.

„Bo czuję się w niej u siebie: w Pradze, Budapeszcie, Wiedniu, w Trieście także – zapewniał. – Ale jak już pojadę dalej, bardziej na zachód, wschód czy północ, to moje dobre samopoczucie znika. To wszystko da się łatwo wytłumaczyć. Kiedyś w Austrii zatrzymaliśmy się przy małym barokowym kościółku. Był to kościół pod wezwaniem Matki Boskiej Śnieżnej, a ja zostałem ochrzczony w kościele matki Boskiej Śnieżnej we Lwowie. Oczywiście to Austriacy ją nam przywieźli do Lwowa, co przypomina mi pewną góralkę, która mojej siostrze, mającej domek za Myślenicami, wytłumaczyła pochodzenie Matki Boskiej, tak jak je rozumiała. Otóż moja siostra po zupełnie nieprzytomnych antysemickich tekstach tej góralki, jej sąsiadki zresztą, spytała ją: »A czy pani zna jakiegoś Żyda?«. Zaprzeczyła, ale pomstowała na Żydów dalej. No to siostra powiada, że Jezus i Jego Matka to byli Żydzi. A ta na to: »Pani Zofio, co też pani mówi? Toż Matka Boska była z Częstochowy«.

– Wilniucy utrzymują, że pochodziła z Wilna, wprost spod Ostrej Bramy – zauważyłem.

– To też możliwe” – zgodził się autor wydanej wtedy „Małej matury 1947”,



FOT. COMMONS.WIKIMEDIA/MARIUSZ KUBIK/CC BY 4.0

eprasa.pl 31615842ca

znakomity reżyser filmowy, twórca „Zaklętych rewirów" i „Sprawy Gorgonowej", tak świetnych obrazów jak „Zazdrość i medycyna" i „Lekcja martwego języka", przebojów kinowych takich jak „C.K. Dezerterzy", mniej znany jako pisarz, autor interesujących powieści i opowiadań („Exhibicjonista") czy arcyciekawych tomów na pozór nieco nonszalanckich, luźnych wspomnień („Ostatni klaps").

Koniec bezpiecznego świata

Im był starszy, tym mocniej podkreślał znaczenie swych lwowskich korzeni i wielokulturowości, w której wzrastał: „W świecie mojego dzieciństwa – pisał – nazwiska: niemieckie, węgierskie, czeskie, ormiańskie, żydowskie były czymś codziennym – pasaż Mikolascha, sklepy Berty Stark i Gabriela Starka, legendarny sklep z zabawkami Hegedussa, cóż wymieniać, skoro moja świętej pamięci Matka była z domu Taschke… Warto jednak dodać, że nosząc te obce nazwiska, wszyscy we Lwowie czuli się Polakami. Na przykład mój dziadek Jan Taschke, rodowity Niemiec, syn Vincenta Taschkego i Vincentine Schworn, urodzony i wychowany w Galicji, aby podkreślić, że czuje się Polakiem, zmienił sobie nazwisko na Czarnecki".

Jednak naprawdę ukształtował go Kraków, który w kwietniu 1944 r., gdy rodzina Majewskich znalazła się pod Wawelem, wydał się niespełna 13-letniemu chłopcu wielkim światem. „Nie byłoby tak – wyjaśniał w »Ostatnim klapsie« – gdybym zakosztował niepowtarzalnej kultury mojego rodzinnego miasta przed wojną, ale wtedy byłem dzieckiem, a kiedy dorastałem, były już kolejne okupacje i życie kulturalne albo zamarło, albo wcześniej wyemigrowało. Pochodziłem ze średnio zamożnej, urzędniczo-nauczycielskiej rodziny na dorobku. Mój Ojciec był sierotą z małego miasteczka Sieniawa, sam przebijał się przez życie, aż uzyskał cenzus urzędnika państwowego i zaczął się piąć po szczeblach szarej kariery [przed wojną obejmował wysokie stanowisko we lwowskiej Dyrekcji Poczt i Telegrafów – przyp. K.M.]. Matka też była swego rodzaju sierotą, zostawioną przez rodziców u ciotki, kiedy emigrowali do Ameryki przed pierwszą wojną, bo chorej na dyfteryt dziewczynki nie chciano wpuścić na pokład transatlantyku. Kiedy skończyła pod koniec lat dwudziestych seminarium nauczycielskie, poznała Ojca i zaczęli wspólne życie z pustymi rękami. Mimo to w tych sanacyjnych czasach kapitalistycznego ucisku, jak wmawiano mi w czasach realnego socjalizmu, w ciągu niecałych dziesięciu lat, z nauczycielskiej i urzędniczej pensji zdążyli stworzyć mnie i mojej siostrze świat zasobny, bezpieczny i wręcz komfortowy, w dużym, nowoczesnym mieszkaniu, w pięknym, nowym domu, w dobrej dzielnicy miasta".



Herb Lwowa w latach 1920–1939

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/POZNANIAK

Ten bezpieczny świat skończył się w 1939 r. „Wciąż przed oczyma mam – opowiadał mi Janusz Majewski – scenę męczeństwa trzech Żydów, zmuszanych do napełniania cysterny wodą, co było nie do wykonania, bo w cysternie brakowało szpuntu i ta woda bez przerwy się wylewała. Była zima, żandarmi bili Żydów pałami i kazali oblewać się wzajemnie wodą, czemu przyglądali się, śmiejąc się wesoło, młodzi niemieccy lotnicy stacjonujący w koszarach, na które przerobiono lwowski Dom Technika. Leżąc na parapetach, pokładali się ze śmiechu, podczas gdy ci nieszczęśnicy z wolna zamieniali się w bryły lodu. Żydzi krzyczeli z bólu, lamentowali, w końcu ucichli i tę ciszę zakłóciły dopiero trzy, jeden po drugim, wystrzały. Pewnie, że z tych młodych niemieckich żołnierzy połowa oddała życie pod Stalingradem, ale ten ich śmiech wciąż mam w uszach. A pamiętałem ich, jak wkraczali do Lwowa. Takim chłopcom jak ja bardzo imponowali: młodzi, uśmiechnięci, z zawiniętymi rękawami świetnych mundurów. Rzucali nam czekoladę, kontrast z żołnierzami sowieckimi był ogromny. Zaraz jednak zaczął się terror i patrzyliśmy już na nich zupełnie inaczej. Wreszcie ostatni akt dramatu: odwrót, ucieczka Niemców, kiedy w ich oczach był już tylko strach, rozpacz i pragnienie przeżycia. Taki chłopiec jak ja przeżywał te emocjonalne huśtawki, rejestrując je jak maszyna. Na świadomą ocenę tego wszystkiego przyszedł czas dużo później".

W historycznym kostiumie

Nie o drugiej wojnie będzie jednak kręcił filmy, lecz o tej wcześniejszej – pierwszej. W ogóle zawsze interesować się będzie tym, co jest już retro. To dlatego tak późno zrealizuje taki film jak „Excentrycy, czyli po słonecznej stronie ulicy" (2015), uzna bowiem, że teraz to właśnie PRL jest najbardziej retro. Tak jak pół wieku temu wybrał dwudziestolecie, gdy z powodzeniem zekranizował napisaną w 1932 r. powieść Michała Choromańskiego „Zazdrość i medycyna".

Ekranizację Majewskiego z roku 1973 znać trzeba koniecznie, bo to jeden z najlepszych polskich filmów swego czasu z niesamowitym klimatem, nasyceniem erotyką, świetnymi rolami, m.in. z kreacją Włodzimierza Boruńskiego, tu genialnie grającego krawca Golda, a w innym filmie Majewskiego – „Mrzonce" (1985), według opowiadania Antoniego Słonimskiego „Jak to było naprawdę" – pana B. Zresztą tego kuzyna Juliana Tuwima i Kazimierza Krukowskiego (zadawał retoryczne pytanie: „Jestem na pewno lepszym aktorem od Julka i lepszym poetą niż Lopek, więc kto jest najlepszy?) zapamiętywało się na zawsze z każdej, ale to każdej roli: i Goldapfela z „Zaduszek", i Halperna z „Ziemi obiecanej", i doktora Szumana z serialowej „Lalki", i oczywiście Sommera, dziadka żydowskiej dziewczynki, z innego serialu „Polskie drogi".

U Janusza Majewskiego zagrał jeszcze Boruński m.in. astrologa w serialu telewizyjnym „Królowa Bona" (1982).

eprasa.pl 31615842ca



Kadr z filmu Janusza Majewskiego „Zaklęte rewiry" FOT. EAST NEWS

To ciekawy obraz w dorobku tego reżysera, często dystansującego się od filmu historycznego jako takiego. Deklarował zresztą: „Nigdy nie byłem szczególnie zainteresowany historią, a jeżeli już, to tylko niektórymi jej okresami, nie mam też w sobie żadnego instynktu społeczno-politycznego, co więcej – nie przepadam za serialami kostiumowymi, a przecież wydawałoby się, że jest całkiem przeciwnie, skoro podjąłem się tak trudnego zadania jak wielogodzinna opowieść o królowej Bonie, w historycznych kostiumach. Już nie pomnę, kto dał mi do czytania scenariusz, czy może tylko nowelę filmową Haliny Auderskiej, ale pamiętam, że końcowa scena tego opowiadania zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Pomyślałem, że dla tej jednej sceny warto zrobić film, zwłaszcza że od początku nie miałem wątpliwości, kto może u nas zagrać tę postać. Tą aktorką była Aleksandra Śląska, a tą sceną śmierć królowej Bony w Bari".

Z pewnością był Majewski bardziej człowiekiem literatury niż historii, niemniej w literaturze tej nieprzypadkowo sięgał po utwory osadzone w historii właśnie. Nawet jego pierwszy film fabularny – „Sublokator" (1967) – współczesny był tylko teoretycznie. Cóż, gdy startował zawodowo, „w naszym kinie – jak pisał – był czas »szkoły polskiej«, przeważały problemy narodowe, społeczne lub historyczne, obszar kinematografii wyznaczały filmy: Wajdy, Munka, Kawalerowicza czy Forda. Trochę osobno byli Has i Różewicz. Zupełnie fatalnie przedstawiało się kino rozrywkowe: komedie Buczkowskiego były kalkami przedwojennych polskich komedii, które z kolei były kalkami Hollywoodu, filmy Barei, na wiele lat przed genialnym »Misiem«, były dla mnie drętwe i nieporadne, humor Chmielewskiego i Czekalskiego był dla mnie zbyt poczciwy, a kiedy mistrzowie zabierali się do komedii, z ekranu wiało grozą (vide »Upał« Kutza). Nawet »Piszczyk« Munka wydał mi się zbyt łatwy, zbyt ostentacyjnie »śmieszny«, uważałem go za regres w stosunku do »Eroiki«. Moje poczucie humoru wykształciło się na zupełnie innych wzorach, gdzie szkołą podstawową był Gałczyński i humor anglosaski lansowany przez Mariana Eilego w »Przekroju« czy teatr »7 Kotów«, szkołą średnią Gombrowicz, a wyższą Kafka. Także u Schulza widziałem sporo zamierzonego humoru".

Granica perfekcyjnego rzemiosła

„Sublokator" był filmem w pełni autorskim, co obejmuje absolutnie wszystko, od pomysłu, poprzez wszystkie szczegóły, do dialogów włącznie. A pisarstwo Janusza Majewskiego zaczęło się od konkursu „Szpilek", na który nadesłał kilka swoich humoresek i dostał nawet drugą nagrodę. Opowiadania te były drukowane, podobnie jak następne, już w „Walce Młodych", „Po Prostu" czy w „Almanachu »Iskier«". To był środek lat 50., nastawała odwilż, zbliżał się Październik '56. A w pierwszym numerze „Polityki" z 1957 r. – wspominał – obok plejady nazwisk polskiej kultury widniało i jego nazwisko jako autora niewielkiej opowiastki. Co nie zmienia faktu, że pierwsze jego książki ukazały się dopiero w XXI w. Chronologicznie pierwszy był tom opowiadań „Exhibicjonista", zgodnie z tytułem i okładką Franciszka Starowieyskiego mocno rozerotyzowany (w tytułowym opowiadaniu czytamy: „Kobiety i zwierciadła mają wspólną naturę: stwarzają pokusy"). Autor, formalnie literacki debiutant, miał wtedy… 70 lat. A potem przyszły następne książki, m.in. wspomnieniowe – „Retrospektywka" i „Ostatni klaps. Pamiętnik moich filmów", a także tkwiąca w biografii autora „Mała matura" (2010). Ale także zbudowana na fantastycznym dialogu powieść „Glacier Express 9.15" (2014), na poły kryminalne opowieści o nadkomisarzu Rafale Królu „Czarny mercedes" (2016) i „Ryk kamiennego lwa" (2018) czy podobnie jak „Czarny mercedes" sfilmowana historia przeżywającego swą bardzo późną miłość podstarzałego zdobywcy niewieścich serc „Po sezonie" (2006).

„Zależało mi na stworzeniu formy literackiej – komentował edycję »Po sezonie«. – Napisałem już wiele scenariuszy, wydałem kilka książek, mam do czynienia z pisaniem na co dzień. To moja druga umiejętność poza reżyserowaniem filmów. Przypuszczam, że gdybym czterdzieści pięć lat temu nie zajął się filmem, to pewnie byłbym pisarzem. Tak naprawdę jednak moją pasją jest film i forma filmowa. Nie zależy mi jedynie na opowiadaniu historii. Równie ważne jest to, jak są one opowiadane".

A jak je opowiadał, wiedzą wszyscy. Bo wszyscy widzieli najgłośniejsze filmy Majewskiego, ze świetnymi „Zaklętymi rewirami" (1975) i przypominanym w telewizji na okrągło filmem „C.K. Dezerterzy" (1986) na czele. „Zawsze czułem się bardziej rzemieślnikiem niż artystą – twierdził reżyser – a już w żadnym wypadku nie miałem poczucia jakiejś misji, nie miałem potrzeby szerzenia jakiejś idei za pomocą filmu. Kochałem swoją pracę, tak jak stolarz kocha drewno, narzędzia i proces obróbki, a kiedy stół czy łóżko idą w świat, to go nie obchodzi, kto na nim siedzi czy śpi, a już na pewno, jakie kto ma sny. Rzecz jasna, trzeba przekroczyć granicę nawet perfekcyjnego rzemiosła, aby osiągnąć rangę sztuki, wtedy można marzyć już nie tylko o fotelu z napisem »Director«, ale nawet o tym paskudnym, złotym posążku nazywanym Oscarem. Ja w moim życiu nie miałem na to żadnej szansy, chociaż w dwóch lub trzech wypadkach moje filmy przekroczyły granice rzemiosła i być może, gdyby powstały gdzie indziej lub w innym czasie, jakieś szanse przed nimi by się pojawiły, a »Zaklęte rewiry« miałyby zapewne tych szans najwięcej".

Jeśli chodzi o adaptację przedwojennej powieści Kazimierza Seydy „C.K. Dezerterzy", która okazać się miała jednym z największych sukcesów polskiego kina, i to pod każdym względem, nie tylko finansowym, to – jak wiadomo – doczekała się ona swej kontynuacji, na której

eprasa.pl 31615842ca

jednak krytyka nie zostawiła suchej nitki, czym gryzł się twórca, tak wyjaśniając powody dysproporcji między powszechnym aplauzem, z którym spotkali się „C.K. Dezerterzy", a kręceniem nosami na „Złoto dezerterów" (1998): „Danie, które upichciłem, było niewystarczająco dobre na wykwintne stoły, a zbyt wyrafinowane na prosty, komiśny gust. Szczególnie zwiodłem ten ostatni smak: miliony wielbicieli »C.K. Dezerterów« cenią ten film za swoistą nobilitację koszarowego humoru, który w warunkach głupiego wojska i okrutnej wojny ocala człowieczeństwo i zdrowy rozsądek prostych ludzi. Tego w »Złocie« nie znaleźli, zamiast humoru ludowego zaproponowałem im inteligencki".

Czułość maniackiego kolekcjonera

Twierdził, że w powieści „Lekcja martwego języka" Andrzeja Kuśniewicza zobaczył idealny materiał na film, „wręcz wyrażający moje osobiste widzenie świata, moje poglądy i gusty. Chyba z żadnym z wcześniejszych i późniejszych bohaterów moich filmów nie potrafiłbym się tak utożsamić jak z porucznikiem Kiekeritzem: podzielałem jego poczucie absurdu istnienia, podobnie jak on, dystansowałem się od otaczającej rzeczywistości, bariera pewnej uprzejmej wyniosłości, dręczyła mnie, jak jego, świadomość końca świata bliskich mi wartości, śmierci całej formacji duchowej, rozpadu kultury, której okruchy, jak on, próbowałem ocalać z taką samą czułością maniackiego kolekcjonera. Miałem zatem bohatera, w postać którego mogłem z przekonaniem wpisać najbardziej osobiste myśli i uczucia, a wysublimować je dzięki osobowości Olgierda Łukaszewicza".

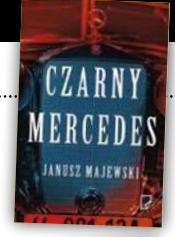
Ów porucznik Kiekeritz – opowiadał Majewski dalej – „zesłany na tyły frontu, wegetuje w galicyjskim miasteczku jako jedyny gość w obskurnym, żydowskim hoteliku. Takich miasteczek i takich hotelików było w Galicji wiele i Żydów w Galicji żyło wielu. Ten motyw szczególnie mnie w powieści zainteresował, nie tylko jako niezbędny couleur locale, ale jako określone zjawisko kulturowe. Kuśniewicz tworzy tu całą galerię postaci, od Moszka, niedorajdy i dekownika, nieudolnie pełniącego służbę wartownika jeńców rosyjskich, aż do właściciela hoteliku, Wasserzuga, szczególnie zaś wyróżnia portiera hoteliku, dając mu nazwisko bliskiego mu zapewne pisarza Rotha.

Ciekawe byłoby porównać »Lekcję martwego języka« z arcydziełem Józefa Rotha »Marszem Radetzky'ego«. Moim zdaniem Kuśniewicz nie tylko nie ustępuje Rothowi, lecz czasem go przewyższa – w głębi analiz psychologicznych, w rysunku postaci, a nie dorównuje być może w malowaniu obrazu epoki, ale pamiętajmy, że w dniu wybuchu pierwszej wojny Roth miał lat dwadzieścia i poszedł na nią, a Kuśniewicz ledwie dziesięć i patrzył na nią oczami dziecka.

Ale tamten świat trwał jeszcze w Galicji do drugiej wojny i ja sam, jako dziecko, jeszcze się z nim zetknąłem. Skole, Jaremcze, Żabie – małe huculskie wsie-miasteczka, gdzie jeździło się na wakacje, pełne były tajemniczych postaci w czarnych, zakurzonych chałatach i jarmułkach, o bladych twarzach i nieobecnych spojrzeniach postaci, które mnie fascynowały. Należały do mego świata baśni i fantazji i niechętnie słuchałem surowych o nich opinii Ojca lub jego znajomych, czytelników lwowskiej endeckiej gazety »Wiek Nowy«".

Ważna lekcja kultury

„Zawsze mi się wydawało, że film oparty na znanej powieści jest o wiele większym wyzwaniem dla jego twórcy niż zrealizowany na podstawie oryginalnego, nigdy nieopublikowanego scenariusza. W tym ostatnim i najczęstszym wypadku widz skazany jest na bierność, musi cierpliwie odbierać to, co mu pokazują, i dopiero w trakcie tego odbioru reagować tak czy inaczej. Widz, który przychodzi na adaptację znanej sobie powieści, ma stosunek aktywny, od początku to, co widzi na ekranie, jest konfrontowane z jego wyobrażeniem, z jego »filmem«, z którym przyszedł do kina. Jeśli w tej rywalizacji wygra widz, porażka jest podwójna, jeśli reżyser swoją wersją przekona widza, satysfakcja ogromna. Takie wyzwanie jest tym większe, im adaptowana książka jest bardziej znana […]".









Z filmową „Lekcją martwego języka" (1979) wiązały się jednak problemy zgoła pozaartystyczne. Komunistyczne władze doszukały się w niej akcentów… antyukraińskich, w związku z czym cenzura usuwała tak nacjonalistyczne okrzyki jak „Haj żywe wilna Ukraina!". Do tego zbliżał się sierpień 1980 r. i film zwyczajnie nie trafił w swój czas, opatrzony etykietą dzieła dla garstki pięknoduchów. A mogłaby być ta „Lekcja…" ważną lekcją naszej kultury rozumianej szerzej niż w kategoriach wyłącznie narodowych.

Janusz Majewski zmarł 10 stycznia 2024 r. w wieku 92 lat. Pochowany został na Powązkach, obok żony, znanej fotografki Zofii Nasierowskiej, która odeszła w 2011 r. W wywiadzie, który po wydaniu „Ryku kamiennego lwa" (2018) przeprowadziliśmy z Majewskim razem z Tomkiem Zapertem, opowiadał, że gdy jeździ na cmentarz, po drodze spotyka samych dobrych znajomych.

„W alei mijam grób Michała Choromańskiego, a dalej z jednej strony Szymon Szurmiej, z którym się przyjaźniłem, z drugiej Kuba Morgenstern, z którym się przyjaźniłem, obok mój sąsiad, sławny Cichociemny, generał Stefan Bałuk, z którym też się przyjaźniłem. Jego żona powiedziała mi: »Tak się cieszę, że Stefan leży blisko Zosi, bo Zosia dobrze gotowała, to Stefan zje zawsze coś smacznego i będzie zadowolony«. Niedaleko spoczywa też świetny grafik Waldemar Świerzy, z napisem na pomniku: »Tu leży Świerzy, zawsze świeży«".

Czego jak czego, ale poczucia humoru, także tego czarnego, w angielskim stylu, który uwielbiał, nigdy Panu Januszowi nie brakowało.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 31615842ca



Bolesław Piasecki (w białej koszuli)
FOT. EAST NEWS

Książka miesiąca / Młodość polityka

O Piaseckim bez uprzedzeń

Chciałoby się powiedzieć: nareszcie. Jedna z ważnych, a zarazem najbardziej kontrowersyjnych postaci XX-wiecznej Polski – Bolesław Piasecki, lider i ideolog przedwojennego Ruchu Narodowo-Radykalnego Falanga, w czasie wojny twórca Konfederacji Narodu i komendant Uderzeniowych Batalionów Kadrowych, a po wojnie prezes PAX-u, poseł na Sejm PRL i członek Rady Państwa, doczekał się solidnej i wolnej od przemilczeń i uprzedzeń biografii. Obejmującej jednak, co od razu trzeba zaznaczyć, ledwie połowę jego życia. To, co w życiorysie Piaseckiego wydaje się z naszego punktu widzenia najciekawsze, a dotyczy m.in. zwolnienia z komunistycznego więzienia po rozmowie z sowieckim generałem Iwanem Sierowem czy zamordowania syna Piaseckiego – Bohdana – w 1957 r., znajdzie się zapewne w drugiej części pracy, na którą jednak – jak się zdaje – będziemy musieli jeszcze poczekać.

Ale że czekaliśmy długo, uzbrójmy się w cierpliwość. Dotąd bowiem albo mieliśmy do czynienia z publikacjami hagiograficznymi, albo – znacznie częściej – z tekstami etykietującymi Piaseckiego jako sprawcę żydowskich pogromów, pałkarza i nieomal, jak pisał o nim Tuwim w liście do Borejszy, „niedoszłego Führera rasistowskiej Polski". Właściwie poza wydaną ponad 30 lat temu książką Antoniego Dudka i Grzegorza Pytla („Bolesław Piasecki. Próba biografii politycznej") nie istnieje w tej materii literatura przedmiotu, którą można traktować poważnie. Za to od bredni wypisywanych na najróżniejszych łamach na temat Piaseckiego aż się roi. Taki np. Krzysztof Varga, uważający się pewnie, jako absolwent PAX-owskiego liceum św. Augustyna, za znawcę życia i działalności Piaseckiego, przypisuje mu „żarliwy antysemityzm", choć antysemitą przywódca ONR był dokładnie w takim samym stopniu jak… Jerzy Giedroyc. Dość poczytać sobie teksty dotyczące kwestii żydowskich, które przyszły naczelny „Kultury" publikował przed wojną w „Buncie Młodych".

Z kolei kiedy pojawił się serial „Król", będący ekranizacją powieści Szczepana Twardocha, całkiem poważnie roztrząsano kwestię udziału Piaseckiego w rzekomym spisku prowadzącym w 1937 r. do zamachu stanu, w którego wyniku władze w kraju przejąłby Edward Śmigły-Rydz. Fantazje pisarza i reżysera niekoniecznie muszą odpowiadać faktom, i tak też było w tym wypadku. Inna sprawa, że – jak pisze Wojciech Jerzy Muszyński – „Piasecki […] nie zrobił w tej sprawie zupełnie nic i był przeciwny wszelkim dementi. Zamach pasował do jego wizerunku radykała, do retoryki, którą lubił epatować opinię publiczną, mówiąc o stosowaniu przemocy. Cała intryga doskonale wpisywała się w działalność Falangi".

Ale dzisiaj wystarczy kliknąć w Wikipedię, by od razu z pierwszego zdania stosownej noty dowiedzieć się, że ten „polski polityk nacjonalistyczny" jest „klasyfikowany jako faszysta". Przez kogo i dlaczego, to już drugorzędne. Krytycy Piaseckiego nie eksponują za to jakoś takich faktów z jego życia jak ten, że był on jednym z pierwszych więźniów obozu w Berezie Kartuskiej, oficerem Wojska Polskiego czy kawalerem Orderu Virtuti Militari.

Był też gorliwym katolikiem. Po jego śmierci 1 stycznia 1979 r. prymas Polski, ks. kard. Stefan Wyszyński, odprawił Mszę Świętą, upoważniając do poinformowania o tym wiernych podczas pogrzebu. Warto o tym pamiętać także ze względu na zrozumiale niechętny stosunek prymasa Polski do tzw. społecznie postępowego ruchu katolików świeckich i Stowarzyszenia PAX jako takiego. ©℗

Krzysztof Masłoń



WOJCIECH JERZY MUSZYŃSKI
„BOLESŁAW PIASECKI. POCZĄTKI DROGI (1915–1944)"
IPN, WARSZAWA 2023

eprasa.pl 31615842ca

Stettin w kleszczach

Jan Sinus przybliża w swojej książce walki o ówczesny niemiecki Stettin, toczone w marcu 1945 r. Autor skupia się na pierwszej fazie militarnych zmagań (ich drugi, kwietniowy, etap będzie zapewne zaprezentowany w kolejnej książce), zakończonych zdobyciem przez armię bolszewicką prawobrzeżnej części miasta. Zasadniczym obszarem toczących się walk był broniony przez Niemców przyczółek dąbski leżący w rejonie pomiędzy Goleniowem, Gryfinem i Morzyczynem. Ze strony sowieckiej szturmowały go dwa związki operacyjne – armie 61. i 47. wsparte przez 2. Armię Pancerną Gwardii. W działaniach bojowych brały również udział polskie formacje komunistyczne (L)WP w postaci 1. Samodzielnej Brygady Moździerzy i 2. Dywizji Artylerii. Ich przeciwnikami były III Korpus Pancerny SS i XXXIX Korpus Armijny, a konkretnie żołnierze m.in. z 11. Ochotniczej Dywizji Grenadierów Pancernych SS „Nordland", 23. Dywizji Grenadierów Pancernych SS „Nederland" i 10. Dywizji Pancernej SS „Frundsberg".

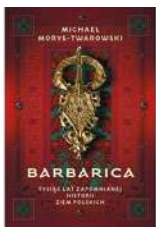
Na pierwszy rzut oka te elitarne jednostki Waffen-SS stanowiły poważną siłę, jednak w praktyce były one już cieniem dawnych dywizji. W przeciwieństwie do poprzednich lat trafiali do nich w ramach systemu uzupełnień albo młodzi rekruci tuż po zakończonym szkoleniu, albo żołnierze Luftwaffe czy Kriegsmarine, nieposiadający większego pojęcia o taktyce walki wojsk lądowych. To z kolei przekładało się, mimo że stawiali zacięty opór, na ponoszone olbrzymie straty. Dodatkowo deficyt amunicji, połączony z brakiem materiałów pędnych do pojazdów mechanicznych, również mocno ograniczał możliwości obrońców. Sowiecka przewaga w piechocie, artylerii, broni pancernej i lotnictwie była tak przytłaczająca, że z góry przekreślała szanse Niemców na długotrwałe i skuteczne działania defensywne. Przy czym słowo „Niemców" należałoby tu wziąć w cudzysłów, ponieważ walki o Szczecin można określić jako bitwę narodów. W szeregach wojsk niemieckich poza Niemcami, Austriakami i volksdeutschami znajdowali się m.in. ochotnicy norwescy, flamandzcy, szwedzcy, szwajcarscy, holenderscy, duńscy i walońscy. Podobnie sytuacja wyglądała po stronie Sowietów, choć tutaj pomimo etnicznej różnorodności trudno mówić o ochotnikach. ©℗ ***Arkadiusz Karbowiak***



JAN SINIUS
„SZCZECIN 1945. BITWA NARODÓW"
WYDAWNICTWO POMOST

Udokumentowana Barbarica

Mogłoby się wydawać, że to kolejna opowieść o ziemiach polskich sprzed czasów Mieszka I, w której skąpe fakty mieszają się z bajaniem literata. Nic bardziej mylnego. Autor wziął się do pracy bardzo poważnie, a jego książka wypełniona jest szczegółowymi informacjami oraz odnośnikami do źródeł i literatury przedmiotu. Lektura sprawi przyjemność miłośnikom historii, jak i zawodowym historykom oraz archeologom. To jedna z najciekawszych prac o pradawnych dziejach Polski, jakie czytałam. Pozycja obowiązkowa dla ciekawych, jak wyglądały polskie ziemie w czasach po bitwie w Lesie Teutoburskim. ©℗ ***(a.s.)***



MICHAEL MORYS-TWAROWSKI
„BARBARICA. TYSIĄC LAT ZAPOMNIANEJ HISTORII ZIEM POLSKICH"
ZNAK HORYZONT



TOMASZ LACHOWSKI
„LOT Z OKĘCIA"
KSIĘŻY MŁYN

WZLOTY II RP

W czerwcu 1913 r. wylądował w Warszawie samolot, który przywiózł poranne wydanie paryskiego dziennika. Był to pierwszy komercyjny lot wykonany na ziemiach polskich. Po 1918 r. Polacy zaczęli ambitnie rozwijać cywilne lotnictwo. Pojawiły się Aero-Targ, PLL Aerolloyd, PLL Aerolot i wreszcie PLL LOT. Ciekawemu opisowi historii komunikacji lotniczej towarzyszą przepiękne (i bardzo liczne) zdjęcia. ©℗ ***(p.w.)***



PRACA ZBIOROWA, RED. MONIKA NOSZCZAK
„MIGAWKI Z OKUPOWANEJ WARSZAWY. 1940"
IPN

WARSZAWA '40

Książka jest zbiorem artykułów o polityce niemieckiego okupanta oraz o postawach warszawiaków. Szczególną uwagę przykuwa opis mało znanego, bulwersującego wydarzenia w tekście Wojciecha J. Muszyńskiego „»Pogrom wielkanocny« w Warszawie w marcu 1940 roku a sprawa Narodowej Partii Radykalnej (tzw. Narodowej Organizacji Radykalnej)". ©℗ ***(t.s.)***



PAWEŁ JASIENICA
„RZECZPOSPOLITA OBOJGA NARODÓW. SREBRNY WIEK"
WYDAWNICTWO MG

OD POTĘGI DO NIEMOCY

Nowe wydanie klasycznego dzieła Pawła Jasienicy. Dogłębna i fantastycznie napisana analiza srebrnego wieku państwa, które mogło być hegemonem na wschodzie Europy. Jasienica bez ogródek pisze o błędach: Rzeczpospolita nie wdrożyła niezbędnych reform, zabrakło też zmysłu strategicznego myślenia o interesach państwa. ©℗ ***(p.w.)***

eprasa.pl 31615842ca



Żołnierze Kuomintangu forsują Żółtą Rzekę, 1938 r.
FOT. GETTY IMAGES

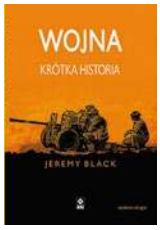
Krótka historia długiej agonii

Xi Jinping stawia tę kwestię w sposób absolutnie kategoryczny: pod jego rządami skończył się okres upokorzenia Chin. Państwo Środka ma zająć należne mu miejsce na mapie świata, wywierając przemożny wpływ na Azję i zachodni Pacyfik. Chiński prezydent, podobnie jak Władimir Putin, często sięga do historii, starając się udowodnić, że dzięki rządom jego partii 1,4 mld Chińczyków odzyskało godność. Godność, którą w wiekach XIX i XX zabrali im Europejczycy, Amerykanie i Japończycy.

Ten czas to trauma dla chińskiej elity. Niecałe 200 lat temu Chiny, najludniejsze państwo świata, będące od ponad dwóch tysięcy lat cesarstwem, zostały rozgrabione najpierw przez Brytyjczyków, a potem przez resztę mocarstw zachodnich. Można wręcz postawić tezę, że ten wyzysk i upokorzenie były jeszcze gorsze niż mongolski podbój z XIII/XIV w.

Patrząc na historię Chin XIX w. i pierwszej połowy XX w., widzimy niekończące się pasmo interwencji zagranicznych (część z nich – szczególnie japońskie – były wyjątkowo krwawe) i buntów czy wręcz wojen domowych. Momentami kulminacyjnymi było zawalenie się struktury państwowej najpierw w latach 1911–1912, a następnie w latach 1946–1949. Ten ostatni okres to bezlitosna wojna pomiędzy wspieranym przez Amerykanów Czang Kaj-szekiem a korzystającym ze wsparcia sowieckiego Mao Zedongiem. W trakcie tego starcia Mao, co dziś włodarze ChRL wolą oczywiście pomijać, prowadził partyzancką wojnę totalną, „zawstydzając" swoich przeciwników kompletnym nieliczeniem się z ludzkim życiem.

Cały ten niesamowicie skomplikowany proces agonii Chin, ciągnący się przez ponad 100 lat, przedstawiony został w zwięzły i ciekawy sposób przez Jeremy'ego Blacka, angielskiego historyka, który wyspecjalizował się w książkach z serii „Krótka historia...". Tym razem polscy czytelnicy dostają do ręki książkę składającą się z 39 zwięzłych rozdziałów opowiadających o najważniejszych konfliktach w historii świata. W kilka minut możemy sobie odświeżyć wiedzę na temat przyczyn i przebiegu wojen, które zdawały się nie mieć końca. ©℗



JEREMY BLACK
„WOJNA. KRÓTKA HISTORIA"
WYDAWNICTWO RM

Piotr Włoczyk

Tragedia żydowskiej rodziny

Tadeusz Belerski bardzo późno dowiedział się o swoim żydowskim pochodzeniu. Jego książka jest rekonstrukcją historii rodzinnej, szczególnie w latach okupacji niemieckiej. Są w tej historii tragedie: śmierć jego dziadków i innych krewnych w obozie zagłady w Bełżcu. Ale ta żydowska rodzinna opowieść jest nietypowa. Ojciec autora – Marian Beler – i wuj Emanuel Singer byli żołnierzami AK, zajmowali się przechowywaniem i dystrybucją broni, amunicji i innych materiałów zrzutowych. Autor korzysta z ich wspomnień o tej działalności, komentując: „Można było być Żydem i jednocześnie polskim patriotą, walczyć z Niemcami. Ale bez polskiej pomocy byłoby to niemożliwe". Nie pomija jednak przeciwnych zachowań Polaków, czyli denuncjacji Żydów. Emanuel Singer pisał: „Praca w organizacji wyprostowała mi grzbiet, przestałem być wystraszonym, zaszczutym Żydem". Marian Beler został w 1948 r. aresztowany pod zarzutem sabotażu i szpiegostwa. Gdy żona przyniosła mu do więzienia świeżą bieliznę, dowiedziała się, że nie będzie mężowi już potrzebna. Przekonana, że został zamordowany, popełniła samobójstwo. Marian Beler wyszedł z więzienia w 1954 r. ©℗

(t.s.)



TADEUSZ BELERSKI
„RODZINNE TAJEMNICE"
DRUKKSIAZEK.PL

eprasa.pl 31615842ca

Luksusy w PRL

Ta książka to reporterska wyprawa w przeszłość. Powstała w wyniku rozmów z ludźmi, którzy luksus wprowadzali do Polski, którzy byli jego szafarzami i tymi, którzy z luksusu korzystali – a byli wśród nich ludzie władzy. Książka zaczyna się od rozdziału o marynarzach. Oni to bowiem jako pierwsi w Polsce Ludowej wpuszczali do kraju strużkę luksusu. Oficjalnie przywożąc tyle, ile było wolno (w pewnym momencie wprowadzono limit 44 sztuk artykułów osobistego użytku), i znacznie więcej przemycając. A lista przywożonych rzeczy jest długa i wskazuje na to, czego w sklepach nie było. Ot, choćby sztuczne rzęsy i paznokcie, szminki, ortaliony i nylony, pończochy, szwajcarskie zegarki. Autorka opisuje Gdynię z lat PRL jako miasto specyficzne, właśnie z powodu obecności marynarzy, nie tylko polskich. Było to być może najmniej socjalistyczne miasto w PRL, ze względu na dostępność luksusu, rolę tzw. inicjatywy prywatnej i wreszcie z powodu tego, że w epoce Gomułki aż jedna czwarta mieszkań była budowana tam na własną rękę. Aleksandra Boćkowska opisuje życie na marynarskim osiedlu domków, zwanym Zegarkowem, rozmawia z dziećmi z marynarskich rodzin, cieszących się z odrobiny luksusu przywożonego przez ojców.

Na przeciwległym krańcu Polski – Górnym Śląsku – z innej odrobiny luksusu mogli korzystać jego mieszkańcy, głównie górnicy. Węgiel był strategicznym produktem eksportowym, więc władza robiła wszystko, by zwiększyć jego wydobycie, także poprzez dopieszczanie górników. W pewnym momencie wprowadzono książeczki G uprawniające do robienia zakupów w sklepach nazwanych „gieweksami". Można tam było nabyć dobra normalnie niedostępne na rynku, ale wyłącznie na podstawie owych książeczek, w które wpisywano zarobki z nadgodzin i pracy w weekendy. Autorka pisze o sekretarzu Gierku i wojewodzie Ziętku, którzy sporo zrobili dla poprawy materialnych warunków życia na Górnym Śląsku, o szpitalach górniczych, dla których sprzęt medyczny kupowano na Zachodzie, i odgórnym nakazie budowania przez kopalnie własnych ośrodków wczasowych lub remontowania tych już posiadanych.

Istniała jednak kategoria dóbr zarezerwowanych tylko dla uprzywilejowanych. Oto opowieść o pewnym pracowniku Delikatesów: „Szło się na zaplecze i tam przyjmował. Jak znał, to znał, jak nie, trzeba było się powołać. Miał listy z nazwiskami naukowców, ludzi z władz, prezydentów miast, sekretarzy, ludzi mniej czy bardziej znajomych. Brał kartkę i zapisywał co trzeba; Żytnia z kłoskiem, kawa Orient lub Super w opakowaniach po dwadzieścia pięć deko, herbata, ptasie mleczko w czekoladzie, a nie w polewie czekoladopodobnej, jakieś wędliny. Z kartką szło się parę metrów dalej i dostawało się towar".

Hotele, te nowoczesne, powstałe w czasach Gierka, były – jak pisze autorka – namiastką zagranicy. Kawiarnia, restauracje, basen i bale w warszawskiej Victorii przyciągały polityków, dziennikarzy, aktorów. A także tzw. prywaciarzy i ludzi z innych powodów bardzo zamożnych. „Byliśmy panami tego miasta i kraju – mówi W. – Victoria dla naszej grupy była drugim domem. Nie było nic lepszego, a chcieliśmy mieć wszystko najlepsze".

Był oczywiście też czas, kiedy ludzie żyjący z prywatnej inicjatywy starali się ukrywać swoją zamożność, nie afiszować się z nią. Ale młodzież z tych kręgów stroiła się modnie, w zagraniczne ciuchy. Jeden z bohaterów książki zapewniał: „To nie była chęć pokazania majątku, tylko odrębności od szarej komuny". ©℗

Tomasz Stańczyk



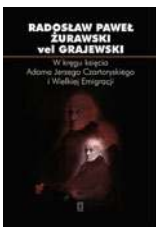
ALEKSANDRA BOĆKOWSKA
„KSIĘŻYC Z PEWEKSU. O LUKSUSIE W PRL"
CZARNE

Książę Adam Wielki

Mało jest w naszej historii ludzi tak dla Polski zasłużonych, a jednocześnie tak mało znanych. Książę Adam Jerzy Czartoryski z pewnością należy do tego grona. Książę Adam to nie tylko twórca Hotelu Lambert. To też myśliciel, polityk i, śmiało można rzecz, wojownik sprawy polskiej, o którą walczył przez kilkadziesiąt lat. Nieuczciwością byłoby szufladkować go tylko jako dyplomatę, rosyjskiego ministra spraw zagranicznych czy prezesa Rządu Tymczasowego w czasie powstania listopadowego. Na jego spuściznę patrzeć trzeba kompleksowo, poprzez pryzmat przeróżnych aktywności, rozumiejąc zarazem, że cokolwiek robił, zawsze działał dla „kwestii polskiej", która stała się sensem jego życia.

Czartoryski przez lata był dla władców Europy, jak sam pisał, „niczym wyrzut sumienia" przypominający o sprawie, o której chcieli już zapomnieć. Car Aleksander I przyrównał go kiedyś nawet do powracającego „widma Polski", która przecież miała na zawsze zniknąć z map Europy po trzecim rozbiorze. Książę Adam Jerzy Czartoryski przez kilka dekad udowadniał jednak możnym epoki, że Polska wciąż żyje, a Polacy będą walczyć – jeśli nie orężem, to dyplomacją – dopóki nie odzyskają wolności. Ta książka wspaniale przybliża jego postać, przede wszystkim jako nieformalnego „ambasadora" Polski. ©℗

Anna Szczepańska



RADOSŁAW ŻURAWSKI VEL GRAJEWSKI
„W KRĘGU KSIĘCIA ADAMA JERZEGO CZARTORYSKIEGO I WIELKIEJ EMIGRACJI"
OŚRODEK MYŚLI POLITYCZNEJ

eprasa.pl 31615842ca



Rafał A. Ziemkiewicz

/ Felieton

Mordercze czytadło

Tylko niewtajemniczonym wydaje się, że literatura popularna to jedynie zabawa, niemająca wpływu na losy świata. Nic podobnego – istnieje wiele „książek zbójeckich" z najniższej księgarskiej półki, swego czasu niezwykle popularnych, dziś często zupełnie zapomnianych, które narobiły szkód nie mniejszych niż „poważne" dzieła Marksa czy Marcusego. Ot, choćby „The Coming Race" sir Bulwera-Lyttona, która zainspirowała Himmlera. Czy „Lewa Ręka Ciemności" Ursuli K. Le Guin, która wsączyła w umysły amerykańskich elit uniwersyteckich koncept utopii opartej na zastąpieniu społecznych ról płci „genderem" i „niebinarnością". Nie wspominając już o pochłanianej w nazistowskich Niemczech w milionowych nakładach sadze „heroic fantasy" Edmunda Kissa o bohaterach Atlantydy.

Wśród takich dzieł rekord – jeśli chodzi o współczynnik z jednej strony braku literackiej wartości, a z drugiej społecznego rezonansu – pobiła powieść Williama Le Queux „The Invasion of 1910". Były brytyjski dyplomata, który po odejściu ze służby odkrył w sobie zamiłowanie do pisania czytadeł, głównie podróżniczych (trochę w życiu pozwiedzał) z wątkami romansowymi w tle, napisał ją właściwie na zlecenie – choć, prawdopodobnie, z przekonaniem, że służy szlachetnej sprawie. W połowie pierwszej dekady XX w. podzielił bowiem angielską politykę gorący spór pomiędzy rządzącymi liberałami, pragnącymi znacząco zmniejszyć wydatki na zbrojenia i przeznaczyć oszczędności na reformy społeczne, a konserwatystami, którzy w rozpętaniu histerii zagrożenia, które miało to jednostronne rozbrojenie stanowić, zobaczyli szansę przełamania liberalnych rządów.

Wojna światowa, którą nazywamy pierwszą, do pewnego momentu wcale nie musiała wybuchnąć. Obok obiektywnych sprzeczności interesów, na których skupiają się dzisiejsze podręczniki, wielką rolę odegrały ambicje, słabości charakteru, a nawet przypadki. Robert K. Massie w książce „Drednought" świetnie opisał, jak od momentu zbudowania owego legendarnego okrętu Europa zaczęła staczać się w wojenne szaleństwo, aż sama sobie wmówiła, że wojna (która miała oczywiście być krótka i zwycięska) stanowi najlepsze, co może się światu przydarzyć.

Jaką rolę odegrało w tym czytadło pana Le Queux? Niepoślednią. Była to drukowana w odcinkach w „Daily Mail" (nakład wzrósł ponadtrzykrotnie!) wizja niemieckiej napaści, podboju Wyspy i jej okupacji, która nastąpiła za kilka lat, bo Anglicy nie posłuchali torysów i nie sypnęli groszem na zbrojenia ani nie zachowali ostrożności wobec „piątej kolumny" niemieckich imigrantów zarobkowych. Niemcy panoszą się i na wszelkie sposoby okazują podłość, Anglicy płacą krwią i cierpieniem, pomstując na liberałów i swoją niedbałość przed kilku laty. Oczywiście w końcu wygrywają, ale ich dumne imperium zostało splądrowane i poniżone…

Co najciekawsze, powieścidło stało się wielkim bestsellerem także w Niemczech, gdzie tłumacz zmienił tylko zakończenie. Wizja zdeptania „butnego Albionu" bardzo się tam spodobała i na pewno wzmogła entuzjazm, z którym poborowi kilka lat później maszerowali na „największą wojnę w dziejach", obiecując radośnie bliskim, że będą „w domu na Gwiazdkę".

Nie lekceważmy popkultury, choćby nie wiem, jak godną pożałowania grafomanią i chałturą wydawały nam się jej przeboje. Naprawdę. ©℗

/ Nie lekceważmy popkultury, choćby nie wiem, **jak godną pożałowania grafomanią i chałturą** wydawały nam się jej przeboje

eprasa.pl 31615842ca



Piotr Semka

/ Felieton

Kto chce umierać za Essequibo?

Gujana i Wenezuela nie uciekną się do »siły«, ale pozostaną przy swoich stanowiskach" – ten komunikat przywódców Gujany i Wenezueli z grudnia zeszłego roku wywołał westchnienie ulgi w wielu latynoamerykańskich stolicach. Od czasu wojny Argentyny z Wielką Brytanią o Falklandy w 1982 r. na terenie Ameryki Południowej nie było żadnej wojny.

Tymczasem pól roku temu Wenezuela zaczęła pobrzękiwać szabelką w sporze z sąsiednią Gujaną o duży kawałek dżungli. Ten zapomniany w Europie rejon nazywany jest, od miejscowej rzeki, Essequibo.

Pierwsi osiedlili się tu w 1618 r. Holendrzy. Kilkadziesiąt kilometrów w górę rzeki wzniesiony został Fort Kijkoveral, pełniący funkcję ośrodka administracyjnego. Niderlandzcy handlarze skupowali tu od okolicznych plemion indiańskich egzotyczne drewno i barwniki.

Z czasem powstały na tym terenie plantacje trzciny cukrowej i Zjednoczone Prowincje osiedliły tu żydowskich uchodźców ze zdobytej przez Anglików Nowej Holandii, czyli okolic dzisiejszego Nowego Jorku.

/ Wszystko wskazuje na to, że El Presidente Maduro nie porzuci zbyt szybko haseł przyłączenia Essequibo do macierzy

Jednak synowie Albionu nie odpuszczali Holendrom także i tu. W 1666 r. kolonia została zajęta i zniszczona przez Anglików. Holendrzy zdołali jednak odbić swe ziemie i wkrótce rozpoczęli odbudowę. W 1700 r. na terenie Essequibo funkcjonowały cztery plantacje Kompanii Zachodnioindyjskiej i 14 prywatnych, na których żyło ok. 100–200 holenderskich osadników i ok. 500 niewolników (głównie sprowadzonych z Afryki, a także Indian).

W latach 1708 i 1709 kolonia dla odmiany atakowana była przez francuskich korsarzy, czego skutkiem było niemal doszczętne zniszczenie plantacji. Z kolei w latach 1782–1784, podczas IV wojny angielsko-holenderskiej, Essequibo zajęły wojska brytyjskie. Po raz kolejny kolonia zajęta została przez wojska króla Jerzego III w 1803 r. W 1815 r. Holendrzy machnęli ręką na swoją południowoamerykańską kolonię i formalnie odstąpili Essequibo Wielkiej Brytanii, która włączyła zdobyte ziemie w skład Gujany Brytyjskiej. Urzędnicy z Londynu przesunęli przy okazji granicę swej nowej kolonii daleko za rzekę Essequibo.

Tego z kolei nigdy nie zaakceptowała Korona Hiszpańska, która zarządzała terenami obecnej Wenezueli. Tyle tylko, że Hiszpanie, a następnie wolna Wenezuela, byli za słabi, by zabrać brytyjskiej Gujanie choćby piędź ziemi. W 1899 r. granicę Wenezueli i Gujany brytyjskiej wytyczył oficjalnie Sąd Arbitrażowy w Paryżu. To właśnie ta granica obowiązywała także po porozumieniu z 1966 r., które przyniosło niepodległość Gujanie.

Dlaczego w takim razie władze w Caracas odgrzewają teraz stary spór? Odpowiedź jest prosta. Wenezuela pod rządami neomarksisty Nicolása Maduro jest w stanie upadku. A czym lepiej odwrócić uwagę mas od nędzy i zapaści państwa jak nie hasłem zwrotu „zrabowanych ziem"?

Tymczasem do akcji weszła dyplomacja Brazylii, dając do zrozumienia, że nie będzie tolerować wojennej awanturki w swoim sąsiedztwie. Wszystko wskazuje jednak na to, że El Presidente Maduro nie porzuci zbyt szybko haseł przyłączenia Essequibo do macierzy. Wenezuelskie władze od lat promują mapę, na której sporna prowincja włączona jest już do kraju Simona Boliwara.

Skąd my znamy te namiętności? ©℗

eprasa.pl 31615842ca



2014 r. / Na ratunek okrążonym Ukraińcom

Pogromca „zielonych ludzików”



Grzegorz Janiszewski

Rajd Zabrodskiego z 2014 r. był wyczynem, który nie tylko uratował kilka tysięcy ukraińskich żołnierzy, lecz także podniósł morale wojska i społeczeństwa. Pokazał też, że Rosjan można, jeśli nie pokonać, to przynajmniej wystrychnąć na dudka

Latem 2014 r. Ukraina stała w ogniu. Ukraińskie wojsko nie otrząsnęło się jeszcze po oddaniu (kosztem zaledwie kilku wystrzałów) Krymu, gdy zaczęło tracić kontrolę nad dużymi obszarami na wschodzie. Przejmowali je inspirowani i szkoleni przez Rosję „separatyści”. Wydawało się, że Ukraina wkrótce straci cały Donbas. Nie stało się tak m.in. dzięki pewnemu pułkownikowi spadochroniarzowi i jego podwładnym, którzy swoimi śmiałymi działaniami nie tylko uratowali kilka tysięcy ukraińskich żołnierzy od niewoli lub wręcz zagłady. Po fatalnym początku niewypowiedzianej wojny z Rosją tchnęli też nowego ducha w zdemoralizowane porażkami ukraińskie oddziały.

Po zajęciu przez „zielone ludziki” Krymu w marcu 2014 r. sytuacja zaczęła się zaogniać również na wschodzie Ukrainy. Dywersanci w nieoznakowanych mundurach pojawili się w Donbasie. Zajmowali mosty, lotniska, skrzyżowania, fabryki i budynki administracji. Tym razem jednak Ukraińcy byli o wiele bardziej zdeterminowani. Do początków maja separatyści zostali wyparci ze strategicznych punktów. Odbyło się to głównie poprzez negocjacje i demonstrację siły. Wkrótce jednak starcia rozgorzały na nowo. Przysyłane z Rosji pododdziały ochotników, dowodzone przez rosyjskich oficerów, napadały na ukraińskie posterunki i bazy, urządzały zasadzki na kolumny pojazdów. Skaptowani wcześniej przez Rosjan policjanci i żołnierze przekazywali rebeliantom posterunki i składy broni. Walki koncentrowały się głównie wokół okrążonego przez siły rządowe Słowiańska. Ukraińcy zaczęli ponosić dotkliwe porażki. Pod koniec maja we wsi Rubiżne w zasadzkę wpadła kolumna z 30. Brygady Zmechanizowanej, jadąca w kierunku Lisiczańska. Kilka dni później rebelianci zaskoczyli i zdziesiątkowali grupę bojową z 51. Brygady Zmechanizowanej pod Wołnowachą. W zasadzce pod Karliwką została ranna połowa żołnierzy ochotniczego batalionu „Donbas”.

W rosyjskim kotle

Stwierdzenie, że ukraińskie wojsko nie było wówczas gotowe do walki, nie oddawałoby w najmniejszym stopniu rzeczywistości. Przeciw „terrorystom” można było w zasadzie użyć jedynie jednostek powietrznodesantowych i specjalnych, doświadczonych na zagranicznych misjach. Zostały one przerzucone na wschód Ukrainy jako pierwsze – już w marcu. Po drugiej stronie sytuacja wyglądała inaczej. Rosjanie byli przygotowani do wsparcia rebelii. W terenie działali oficerowie FSB i GRU przygotowujący bojowników do walki i kierujący ich działaniami. Z Rosji przerzucani byli kozacy, żołnierze czeczeńskiego batalionu „Wostok” i szukający okazji do walki członkowie rosyjskich organizacji paramilitarnych. Kluczową sprawą dla rebeliantów było utrzymanie dostępu do granicy Donbasu z Rosją. Stamtąd napływały uzbrojenie, amunicja i ochotnicy.

Na początku lipca separatyści z tzw. Donieckiej Republiki Ludowej pod dowództwem Igora Striełkowa razem z bojownikami z Republiki Ługańskiej przeprowadzili operację, w wyniku której opanowali pas terenu między wsią

eprasa.pl 31615842ca



Ukraińscy żołnierze na froncie walki z separatystami (2015 r.)
FOT. MINISTERSTWO OBRONY UKRAINY

Marinowka a przejściem granicznym Izwarino. Ukraińskie oddziały chroniące granicę znalazły się w kotle. Okrążone zostały 24. i 72. samodzielne brygady zmechanizowane, 79. samodzielna brygada desantowo-szturmowa i jednostki straży granicznej. Razem od 3 do 4,5 tys. ludzi i prawie 300 jednostek sprzętu. Odcięte od zaopatrzenia i drogi odwrotu zaczęły być ostrzeliwane z terenu Rosji przez ciężką artylerię, ponosząc dotkliwe straty. Wyjściem było poddanie się separatystom, oddanie im broni i wyposażenia albo całkowite zniszczenie przez Rosjan.

W dowództwie ukraińskiej Operacji Antyterrorystycznej podjęto decyzję o próbie przebicia się do okrążonych oddziałów i wyprowadzenia ich z kotła. Wydzielono do tego ok. 1,5 tys. żołnierzy, głównie z pododdziałów z 25. i 95. brygad powietrznodesantowych, mających doświadczenie w operacjach pokojowych. Miały im towarzyszyć czołgi i piechota z 30. i 51. brygad zmechanizowanych.

Operacją dowodzić miał 41-letni pułkownik spadochroniarzy Mychajło Zabrodski. Jego ojciec i dziadek byli zawodowymi żołnierzami. W 1994 r. skończył Wojskową Akademię Inżynierysko-Kosmiczną w Sankt Petersburgu i pięć lat służył na kontrakcie w Rosji. W 2000 r. rozpoczął służbę w ukraińskiej 95. Samodzielnej Brygadzie Desantowo-Szturmowej, a po 13 latach został jej dowódcą. W 2006 r. skończył kurs dowódczy w United States Army Command and General Staff College w Fort Leavenworth, a w 2009 r. został wyznaczony na dowódcę ukraińskiego kontyngentu w Kosowie. W kwietniu 2014 r. jego brygada została przerzucona na wschód Ukrainy razem z pododdziałami 80. Brygady Desantowo-Szturmowej i 25. Brygady Powietrzno-Desantowej. Spadochroniarze mieli za zadanie blokować Słowiańsk i Kramatorsk oraz chronić ważne obiekty, które mogły wpaść w ręce „powstańców" – lotniska, jednostki i osiedla wojskowe, składy uzbrojenia. Sam dowódca operacji tak wspominał jej początki: „Po to, żeby zlikwidować zagrożenie, które powstało wzdłuż południowej granicy w obwodzie donieckim, po tym, jak Federacja Rosyjska zaczęła wysyłać uzbrojenie i amunicję przez granicę, zostało postawione grupie rajdowej zadanie wyprowadzenia pododdziałów, które wtedy znajdowały się w południowych rejonach obwodu donieckiego".

Operacja do końca była utrzymywana w tajemnicy. Jej plany zakładały wyjście z miejsca dyslokacji pod Słowiańskiem, odbicie wznoszącego się nad stepami strategicznego wzgórza Sawur-Mohyła, osad Stiepanowka i Marinowka, a potem ustanowienie przeprawy na rzece Mius i zabezpieczenie wyjścia z okrążenia. Rozkazy zostały przekazane bezpośrednio dowódcom brygad i batalionowych grup bojowych, którzy zapoznali z nimi podwładnych bezpośrednio przed akcją. Podjęto też działania dezinformacyjne. Pierwsza do boju weszła 25. Samodzielna Brygada Powietrznodesantowa. Spadochroniarze wykonali rajd na kierunku Debalcewo-Szachtarsk-Torez, skupiając na sobie uwagę separatystów i tworząc przestrzeń do działania 95. Brygady. Podstęp się udał. Separatyści zaczęli ściągać w okolice Szachtarska i Iłowajska wszystkie dostępne siły. Wybuchły intensywne walki.

19 lipca działania rozpoczęły pododdziały 95. Brygady. Zgodnie z planem miały wyjść na południe od Lisiczańska i zacząć oczyszczanie miasta. Na tym samym kierunku miał atakować batalion Gwardii Narodowej „Donbas". Walki zaczęły się w południe. Na podejściach do 100-tysięcznego miasta zbudowano przy pomocy rosyjskich doradców wojskowych solidne fortyfikacje. Bunkry i zamaskowane pozycje ogniowe połączone transzejami powstrzymywały Ukraińców do wieczora. Po zdobyciu miasta znaleziono tam magazyny, a w nich znaczne ilości uzbrojenia i amunicji wyprodukowanych w Rosji. Pięciu spadochroniarzy zginęło, 40 zostało rannych.

Tydzień później rozpoczął się atak na Sawur-Mohyłę. Spadochroniarze wyszli



Pułkownik Mychajło Zabrodski
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/MINISTERSTWO OBRONY UKRAINY



Igor Striełkow w mundurze Armii Czerwonej
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/ICORPUS YOUTUBE CHANNEL/CC-BY

eprasa.pl 31615842ca



Ukraińscy żołnierze w Donbasie
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/WO „SWOBODA"/CC BY 3.0

na drogę Charków-Rostów, minęli wieś Ługańskoje i po rozbiciu blokpostu przy torach kolejowych w pobliżu wsi Gornoje skręcili na południowy wschód. Szturm rozpoczął się 28 lipca. Na czele w czołgach i transporterach atakowały pododdziały zmechanizowane, za nimi szli spadochroniarze. Separatyści nie spodziewali się, że przeciwnik tak szybko rozwinie się z kolumny w szyk bojowy. Ukraińcy zdobyli wzgórze, ale wkrótce zaczęły na nie spadać pociski wystrzeliwane z wyrzutni rakietowych „Grad", stojących po rosyjskiej stronie granicy. Po kilku godzinach zmusiło to zdobywców do wycofania się. Starszy szeregowy Aleksander Czub tak później wspominał te walki: „Szybko wyszliśmy na pozycje i przydusiliśmy ich. Nagle zza granicy z Rosją zaczęły po nas bić »grady«. Nie mogłem uwierzyć, że rosyjska armia z rosyjskiego terytorium ostrzeliwuje nasze wojsko. Nie mogłem zrozumieć, że to rzeczywiście zbrojna agresja. Nie tylko ja w to nie wierzyłem. Zdziwienie i niedowierzanie malowało się na twarzach i spadochroniarzy, i artylerzystów, i specjalsów. Bardzo nam szkoda było sprzętu, który wtedy spalili nam »sąsiedzi«. Ostrzał trwał cały dzień, aż do wieczora. Z wioski, obok której staliśmy, nic nie zostało, a wokół nas rozciągał się księżycowy krajobraz".

Ciągle pod ogniem

Po ataku na wzgórze Zabrodski otrzymał rozkaz przebicia się do otoczonych pododdziałów. Oprócz 95. Brygady miały w nim uczestniczyć batalionowa grupa bojowa i dywizjon artylerii rakietowej z 30. Brygady Zmechanizowanej, kompanijna grupa taktyczna z 72. Brygady Zmechanizowanej i pododdział z 3. pułku specjalnego przeznaczenia. Łącznie 1611 żołnierzy. Najpierw należało odbić zajęte przez separatystów osady Marinowka i Stiepanowka leżące na drodze zaopatrzenia. Walki o Stiepanowkę trwały ok. półtorej godziny. Żołnierze zdobyli tam na rebeliantach dwa czołgi. Trzy kompanie zmechanizowane i jedna pancerna z 30. Brygady po wejściu do osady natychmiast znalazły się pod ostrzałem z dział i wyrzutni rakietowych z kierunku Dymitrowki, Marinowki i z Rosji. Walki trwały tam kilka dni przy wsparciu ochotników z Prawego Sektora. W końcu do 1 sierpnia udało się zdobyć wszystkie osady. Mieszkańcy wsi zdążyli już doświadczyć „dobrodziejstw" życia w niedawno utworzonych „republikach ludowych". Jak wspominał sierżant z 95. Brygady Wasilij Bondar, „to była największa radość w czasie mojej służby. Kiedy miejscowi widzieli, że jadą BTR-y z ukraińskimi znakami, biegli nam naprzeciw. Machali wyciągniętymi skądś niebiesko-żółtymi flagami, zakładali przez głowy wyszywanki. Ustawiali się wzdłuż drogi, klaskali, krzyczeli »Chwała Ukrainie!«, »Dziękujemy, że przyszliście!«, śpiewali hymn".

Na początku sierpnia batalionowe grupy z 95. i 30. brygad, cały czas walcząc z przeciwnikiem, wyszły na rubież Łatyszewe-Rasypnoje, ok. 20 km od granicy z Rosją, tworząc korytarz dla okrążonych ukraińskich pododdziałów. Saperzy zbudowali przeprawę przez rzekę Mius, 3 km na północ od Dymitrowki, która była już pod kontrolą przeciwnika. Separatyści i Rosjanie cały czas ostrzeliwali przeprawę ogniem artylerii i kilkakrotnie ją zrywali. Ogień z bezpiecznych miejsc za rosyjską granicą prowadzili kursanci rosyjskich szkół artylerii, których specjalnie tam ściągnięto dla wprawiania się w swoim fachu.



Barykada separatystów w Słowiańsku
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/ALEKSANDR SIROTA

Jak wspominał płk Siergiej Sobko z 30. Brygady: „Wszyscy zapamiętaliśmy tę noc – ogień od strony Rosji był nieprzerwany. Nie milkł ani na chwilę. Bez przesady, ale można było od tego wszystkiego oszaleć. Wybuchy. Ranni. Zniszczony sprzęt. Żołnierzom było bardzo ciężko". Ukraińcy utrzymali przeprawę przez dwa dni (6–7 sierpnia) dopóty, dopóki wszystkie pododdziały nie przeszły na drugą stronę. Uratowanych od całkowitego zniszczenia zostało ok. pięciu batalionów wojska i pododdziały straży granicznej. Łącznie ok. 3 tys. ludzi i ponad 250 jednostek sprzętu.

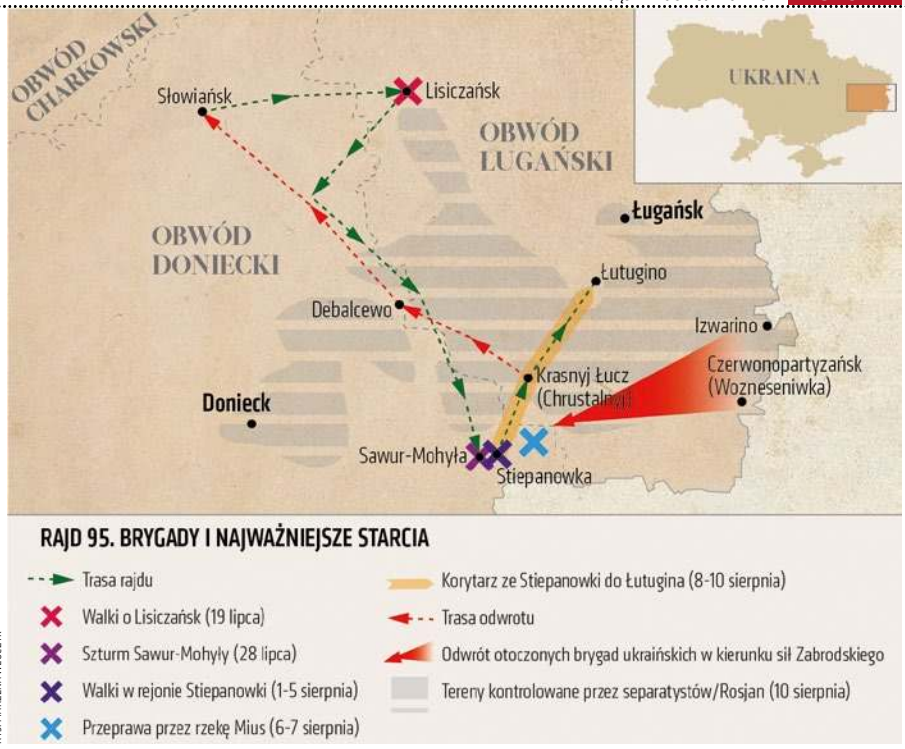
Potem pododdziały z brygad 95. i 30. skierowały się na północ, po trasie Stepanowka-Krasnyj Łucz-Krasnaja Polana-Łutugino, żeby odciąć rebeliantów od pomocy idącej od granicy z Rosją. Żołnierze z 95. brygady wyszli na drogę E50 pomiędzy Krasnym Łuczem i Antracytem i postawili tam posterunki, blokując dostawy zaopatrzenia dla rebeliantów. Podczas walk o Krasnyj Łucz i Miusinsk doszło do pierwszych walk ukraińskich żołnierzy z regularnymi jednostkami rosyjskimi z pskowskiej 76. Dywizji Powietrznodesantowej. Jak wspominał sam Zabrodski dla portalu Politeka: „Pierwszy raz w historii zdarzyło się, że niebieskie berety walczyły z niebieskimi beretami. Nie myśleliśmy wtedy, czy są z Pskowa czy z Tuły. Dla nas był to przeciwnik". Po kilku dniach zagrożona odcięciem grupa Zabrodskiego wycofała się z tego rejonu, podążając drogami na tyłach przeciwnika w kierunku Sło-

eprasa.pl 31615842ca

wiańska, do którego dotarła 10 sierpnia. W rejonie Krasnego Łucza pozostała batalionowa grupa ppłk. Sobki, która ścigała niedobitki z rozbitych w tym rejonie oddziałów rebeliantów (m.in. Girkina, który przebił się przez ukraińskie pozycje i uciekł do Rosji).

Podczas rajdu przebyto ponad 400 km, z czego 170 na tyłach przeciwnika. Zginęło zaledwie 13 żołnierzy, a 74 odniosło rany. Ponad połowa pojazdów i ciężkiego wyposażenia została zniszczona lub pozostawiona na opuszczanym terenie. Sprzęt był – jak wspominał mjr Igor Lisiuk – „postrzelany jak durszlak, można na nim było cedzić makaron". Niektóre ośmiokołowe transportery BTR wracały na czterech sprawnych kołach.

Wyjście z okrążenia nastąpiło w samą porę. Kilka dni później przez granicę zaczęły się wdzierać regularne siły rosyjskie, które z pomocą separatystów zaczęły zamykać ukraińskie oddziały w kotłach, zmuszając do poddania albo niszcząc je. Ostatecznie 5 września w Mińsku zostało podpisane porozumienie o zawieszeniu broni. Rajd Zabrodskiego był najjaśniejszym momentem tej niezbyt chwalebnej dla Ukraińców kampanii.



RYS. MARZENA WŁOCZYK

Bohater Ukrainy

Zabrodski już 23 sierpnia został odznaczony tytułem Bohatera Ukrainy, a następnego dnia prowadził w Kijowie pododdział honorowy uczestników Operacji Antyterrorystycznej na paradzie z okazji Dnia Niepodległości. Sam o swoim udziale w rajdzie wyrażał się skromnie. Jak wspominał: „Po prostu wykonaliśmy swoją pracę. Zadania postawione przez dowództwo. Wtedy wzięliśmy na siebie duże siły przeciwnika, który zamiast atakować i ostrzeliwać naszych, był zmuszony zająć się nami".

Inne zdanie miała większość jego podwładnych. Jak wspominał dowódca 1. batalionu 95. Brygady ppłk Igor Gierasimienko: „Opisałbym to krótko – żywi zazdrościli martwym. Dlatego że cały czas nie było żadnej możliwości odesłać rannych na tyły i na ich ewakuację trzeba było czekać nawet trzy dni. Wyruszyliśmy, żeby uratować chłopaków z Izwarina, ale żeby to zrobić, trzeba było przejść przez Sawur-Mohyłę. Krótko mówiąc, naprawdę weszliśmy na tył wroga, do jego tyłka. I wyszliśmy stamtąd tylko dzięki Zabrodskiemu. Jego sprytowi i intuicji. Byliśmy wyczerpani. Kiedy stamtąd wyszliśmy, nie wierzyliśmy, że to już skończone i jedziemy do domu".

Mychajło Zabrodski w marcu 2015 r. został dowódcą ukraińskich wojsk powietrznodesantowych. Brał później udział w walkach na wschodzie Ukrainy, dosłużył się stopnia generała porucznika. W 2019 r. wystartował w wyborach do ukraińskiego parlamentu z listy partii Europejska Solidarność Petra Poroszenki i bez trudu zdobył mandat. W marcu 2023 r. zrezygnował z niego i powrócił do Ministerstwa Obrony. Według pogłosek miał zajmować się przygotowaniem ukraińskiej letniej ofensywy, ale na razie niewiele wiadomo o jego działalności. Z pewnością warto przypomnieć, co ów absolwent amerykańskiego wojskowego college'u mówił o różnicach między zachodnią i rosyjską taktyką prowadzenia działań zbrojnych: „W armii modelu postsowieckiego w centrum zawsze znajduje się zadanie bojowe i wszystko kręci się wokół niego: ludzie, sprzęt, działania, zapasy. Ten model filozofii wojskowej zakłada, że zadanie musi być wykonane każdym kosztem. Podejście zachodnie w centrum ma człowieka i wszystko kręci się wokół niego: zadania, broń, zasoby. Takie podejście jest o wiele bardziej efektywne".

Docenieni zostali też inni uczestnicy Rajdu Zabrodskiego, jak powszechnie zaczęto nazywać tą operację. Jewhen Mojsiuk – podczas rajdu dowódca batalionu w 25. Brygadzie, potem dowódca obrony lotniska w Doniecku – został w 2021 r. zastępcą naczelnego dowódcy Sił Zbrojnych Ukrainy. Podpułkownik Serhij Sobko, dowódca batalionu w 30. Brygadzie, w 2022 r. został zastępcą dowódcy Wojsk Obrony Terytorialnej.

Prezydent Potomac Foundation dr Phillip Karber stwierdził, że operacja dowodzona przez Zabrodskiego była „najdłuższym rajdem formacji zbrojnej we współczesnej historii wojen". Nie jest to do końca prawda, bo podczas rosyjskiej wojny domowej zarówno Ukraińcy, jak i Rosjanie organizowali w tamtych stronach o wiele dłuższe, bo liczące i ponad tysiąc kilometrów marsze, w dodatku zimą, nazywane potem lodowymi. Bezsprzecznie jednak Rajd Zabrodskiego był w tamtym czasie ogromnym wyczynem, który nie tylko uratował kilka tysięcy ukraińskich żołnierzy, lecz także z pewnością podniósł morale wojska i społeczeństwa. Pokazał też, że Rosjan można jeśli nie pokonać, to przynajmniej wystrychnąć na dudka, co Ukraińcy do dzisiaj z powodzeniem robią.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 31615842ca



Werndle dla legionistów



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Zapał i chęć do walki były wśród Polaków tak bardzo silne, że ochotników do Legionów nie zrażały ani niejednolite mundury, ani całkiem przestarzałe karabiny, które otrzymywali na początku pierwszej wojny światowej

August Krasicki, późniejszy oficer Komendy Legionów, wspominał: „Umundurowanie w opłakanym stanie, mała część ma jednolite szare mundury i maciejówki. Poza tym zbieranina mundurów, bluz austriackich i rubaszek rosyjskich, także częściowo cywilne i kolejarzy, a było też kilku w zakopiańskich góralskich strojach. Buty przeważnie w podobnym stanie jak mundury […]. Uzbrojeni są przeważnie w karabiny Werndla, tj. karabiny starego typu, bez magazynu i nierepetujące, z jedną kulą ołowianą okrągłą w lufie".

Broń systemu Werndla nie była polskim ochotnikom zupełnie nieznana, ponieważ używano jej w organizacjach paramilitarnych przed 1914 r. Karabiny te przyjęto w Austrii po upokarzającej klęsce w wojnie z Prusami w 1866 r. Zastąpiły odprzodowo ładowaną broń kapiszonową systemu Lorenza. Josef Werndl był twórcą zakładów zbrojeniowych Österreichische Waffenfabriks-Gesellschaft w Steyr, natomiast rzeczywistym twórcą karabinu był czeski rusznikarz Karel Holub.

Broń miała kurek zewnętrzny i obrotowy zamek w kształcie walca z półokrągłą bruzdą. Aby karabin załadować, należało najpierw częściowo odciągnąć kurek, a potem, trzymając za skrzydełko zamka, obrócić go; wówczas półokrągła bruzda ustawiała się dokładnie na osi komory nabojowej, umożliwiając włożenie patronu. Teraz można było zamknąć zamek i odciągnąć kurek do końca. Ściągnięcie spustu powodowało obrót kurka i uderzenie w ruchomą iglicę znajdującą się wewnątrz trzonu zamkowego, a ta z kolei biła w spłonkę naboju. Broń strzelała amunicją kal. 11 mm. W 1873 r. dokonano niewielkiej innowacji polegającej na zastosowaniu znacznie wygodniejszego kurka, który osadzono częściowo wewnątrz i przede wszystkim bliżej osi lufy.

Oczywiście w chwili wybuchu pierwszej wojny światowej karabiny i karabinki Werndla były już zupełnym przeżytkiem, ale zalegające w magazynach egzemplarze wydano niektórym jednostkom tyłowym, a także żywiołowo organizującym się Legionom. „Najważniejszy jednak moment dnia to fasunek Werndli – wspominał dzień 11 sierpnia 1914 r. Wilhelm Wilczyński, żołnierz późniejszego 1. Pułku Piechoty. – Są to stare austriackie karabiny jednostrzałowe, które na skutek zastąpienia ich nowymi o ładunku 5-nabojowym i powtarzalnymi karabinami Mannlicher z użycia w armii austriackiej były wycofane". Zapał i chęć do walki były wśród Polaków tak silne, że nawet archaiczna broń nie mogła ich zniechęcić. Starano się nawet podkreślać przewagi werndli nad bronią małokalibrową; jeden z dowódców plutonów relacjonował: „Chłopcy nasi nabrali w końcu dużego zaufania do Werndli: wzbudzał szacunek długi i szeroki bagnet tych karabinów, podnoszono to, iż kule werndlowskie zadają cięższe rany niż delikatne kulki mannlicherów. A przecież niedawno z taką niechęcią brano tę broń". Faktycznie, bagnet robił wrażenie; mimo że w latach 70. znacznie go skrócono, to i tak w porównaniu z krótkim „nożem" stosowanym do mannlichera jego 47-centymetrowa klinga budziła respekt.

Maxim

Ameryka była ojczyzną wielu genialnych konstruktorów broni, a nazwiska Colta czy Browninga stały się synonimami rewolweru i pistoletu samopowtarzalnego. Hiram Stevens Maxim zajmuje w tym gronie miejsce szczególne; stwo-

eprasa.pl 31615842ca



rzony przez niego karabin maszynowy zrewolucjonizował sposób wojowania. Ten utalentowany samouk urodził się w 1840 r. i zanim wynalazł swą maszynkę, ochrzczoną w latach pierwszej wojny światowej „Ponurym Żniwiarzem znad Sommy", zabłysnął na rynku cywilnym. Zbudował m.in. pierwszą elektrownię gazową, która rozświetliła Manhattan. Potem Amerykanin postanowił spróbować sił za oceanem. W 1883 r. zaprezentował w Anglii broń, w której naciśnięcie spustu powodowało lawinę pocisków umieszczonych w parcianej taśmie i wypluwanych z lufy z prędkością kilkuset na minutę.

Z karabinem Maxima nie mógł się równać żaden inny, a zwłaszcza popularne kartaczownice napędzane siłą ludzkich mięśni. Wszystko za sprawą zjawiska odrzutu następującego po strzale, cennej energii marnotrawionej do tej pory, a przez Maxima wykorzystanej do napędzania skomplikowanego mechanizmu. Lufa osadzona była ruchomo i poprzez suwadło sprzęgnięta z zamkiem poruszającym się w obszernej komorze. Po strzale następował jej krótki ruch wsteczny, który wymuszał pracę zamka, a więc: wyrzucenie pustej łuski, wyciągnięcie kolejnego naboju z donośnika (pierwszy nabój strzelec wprowadzał do komory ręcznie) i wprowadzenie go do komory oraz odpalenie. Broń, choć skomplikowana (zwłaszcza zamek), okazała się niezawodna.



Karacena

Ten efektowny pancerz rozpowszechnił się w Rzeczypospolitej w okresie baroku – szczególnie w czasach króla Jana III Sobieskiego. Karacena zbudowana była z metalowych łusek przytwierdzanych do skórzanego podkładu i swą genezą sięgała starożytności. Odzwierciedlała także fascynację Orientem. Karacen używała kadra dowódcza jazdy narodowego autoramentu Rzeczypospolitej. Wzorowano je na zbroi husarskiej; posiadały w zasadzie wszystkie jej elementy składowe, czyli: napierśnik, naplecznik, obojczyk, naramienniki oraz karwasze, czasami także osłony bioder i nóg. Metalowe łuski polskich karacen przytwierdzano, każdą z osobna, do jeleniej bądź łosiowej skóry. Obojczyk bywał często zrobiony z jednej metalowej płyty. Na naramiennikach i nabiodrkach umieszczane były tłoczone w mosiężnej blasze maszkarony, a niektóre elementy wykładano od wewnątrz aksamitnym płótnem. Poszczególne części zbroi łączono paskami i sprzączkami. Zdobienie podobnie jak w przypadku husarskich napierśników polegało na stosowaniu mosiężnych rozetek i blaszek w kształcie np. krzyża kawalerskiego bądź znaku herbowego. Spotykane są także karacenowe szyszaki, w całości wykonane z metalowych łusek, przytwierdzonych do skórzanego podkładu. Waga karaceny dochodziła do kilkunastu kilogramów i wydaje się, że nie zapewniała właścicielowi dostatecznej wygody i swobody ruchów. Ten typ zbroi szczególnie upodobał sobie król Sobieski, który miał kilka egzemplarzy, m.in. zrobiony z łusek z kości słoniowej. Na większości portretów król występuje właśnie w karacenie.

Tarcza hoplity

Duża tarcza stanowiąca atrybut walczącego w zwartej formacji piechura nie była wynalazkiem Greków, jednak właśnie u nich zyskała pierwszorzędne znaczenie taktyczne (szyk falangi). Do naszych czasów nie przetrwały kompletne egzemplarze, a jej wizerunek znamy dzięki przedstawieniom ikonograficznym (wazy) oraz przekazom pisanym. Pozwalają one dosyć dokładnie zrekonstruować wygląd i poszczególne elementy. Miała średnicę ok. 80–100 cm, wyodrębniony płaski, wąski brzeg i wypukły środek. Zasadniczy materiał konstrukcyjny stanowiły klejone deski



(topola, wierzba) o grubości ok. 0,5 cm, pokrywane kilkoma warstwami wołowej skóry i wzmacniane dodatkowo cieniutką brązową blachą (mocowaną za pomocą smoły), którą zawijano na krawędziach. Tarcza miała dwa uchwyty – usytuowaną centralnie brązową obejmę/kabłąk zwaną porpax, w którą wkładano przedramię, i znajdującą się na obrzeżu drewnianą, mocowaną na sznurkach antilabe. Dzięki temu wagę ciężkiej (6–8 kg) tarczy przenoszono na mięśnie ramienia, a nie na przeguby. Przedramię osłaniane było dodatkowo od strony wewnętrznej metalową listwą. Niewykluczone, że porpax wraz z ową listwą nie były elementami integralnymi, można je było wyjąć choćby w celu wygodniejszego transportu na plecach podczas przemarszów (służył do tego dodatkowy sznur przytwierdzony do obrzeża).

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 31615842ca

„Cud" w Kitty Hawk / Flyer wlatuje do historii



Pierwszy lot Flyera
FOT. COMMONS WIKIMEDIA/LIBRARY OF CONGRESS

Podniebny rajd braci Wright



Tymoteusz Pawłowski

Pierwsza napędzana silnikiem maszyna cięższa niż powietrze – czyli samolot – wzniosła się w powietrze 120 lat temu. Jej konstruktorzy zdobyli nie tylko sławę, lecz także pieniądze, co nieczęsto zdarza się w świecie wynalazców...

Oczywiście wszystkie nacje pretendują do wynalezienia maszyny latającej. Występuje tu typowy zestaw narodowych geniuszy. Chińczycy twierdzą, że dokonał tego wielki starożytny filozof o imieniu Mo Di, znany też jako Mozi. Włosi – że zrobił to Leonardo da Vinci. Polacy są dumni z Tytusa Liwiusza Burattiniego pochodzącego z cywilizowanego Zachodu. Dla Rosjan ojcem lotnictwa jest genialny samouk Siergiej Możajski, który po bliższym poznaniu okazuje się bałtyckim admirałem o polskich korzeniach. Brytyjczycy mają arystokratycznego inżyniera George'a Cayleya, a Amerykanie parę self-made manów: braci Wrightów. I jak to zwykle bywa w historii techniki, nie można zaprzeczyć, że ktoś przed Amerykanami zbudował samolot, ale trzeba też przyznać, że to oni zbudowali pierwszy samolot, który naprawdę latał...

Eksperymenty

Bracia Orville i Wilbur Wright pochodzili z wielodzietnej rodziny biskupa jednego z wielu protestanckich wyznań na środkowym zachodzie USA. Nie zdobyli formalnego wykształcenia, ale najpierw otworzyli małą drukarnię, a potem warsztat rowerowy w Dayton, w Ohio, który przyniósł im nie tylko doświadczenie w budowie maszyn, lecz także spory sukces finansowy. W połowie lat 90. XIX w. na poważnie zainteresowali się lotnictwem i sprowadzili niemal całą literaturę dotyczącą dotychczasowych eksperymentów ze statkami powietrznymi cięższymi od powietrza.

Eksperymenty takie były prowadzone na całym świecie od kilkunastu lat i polegały przede wszystkim na budowie coraz większych latawców, zdolnych do uniesienia człowieka. Publicznie wszyscy aeronauci głosili, że istniały dwa problemy: brak odpowiedniego silnika oraz brak możliwości sterowania taką maszyną w powietrzu. Prywatnie przyznawali, że dopóki problem sterowania nie zostanie rozwiązany, dopóty silnik jest... nieistotny.

Samolot – a także latawiec i szybowiec – unosi się w powietrzu dzięki nieruchomym skrzydłom. Skrzydła są płaskie z dołu i nieco wypukłe u góry, gdy skrzydło przesuwa się do przodu, wówczas cząstki powietrza na górze skrzydła są niejako rozpychane, rosną pomiędzy

eprasa.pl 31615842ca



Znaczek z 1949 r. upamiętniający braci Wright

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/U.S. POST OFFICE

nimi odległości, czyli maleje ciśnienie. Różnica ciśnienia ciągnie całe skrzydło do góry, a powstała siła nośna jest tak duża, że przy prędkości kilkudziesięciu kilometrów na godzinę unosi w górę kilkusetkilogramowy ciężar (to zresztą zależy od konstrukcji płata i innych czynników).

Już w połowie XIX w. uznano, że latawcem nie ma sensu sterować tak jak statkiem, za pomocą steru, tylko pochylając cały samolot na bok. Wówczas siła nośna płata również pochyli się w jedną ze stron i pociągnie za sobą cały płatowiec. Zdarzało się jednak, że podczas zakrętu cały latawiec zsuwał się wprost w przeciwną stronę, co doprowadziło do śmierci kilku pilotów. Nie wiedziano, jak sobie poradzić z tym problemem ani nawet dlaczego tak się zdarza.

Pierwszy lot

Bracia Wright od 1900 r. spędzali lato w miasteczku Kitty Hawk, nad wietrznym Oceanem Atlantyckim, budując coraz to większe latawce i starając się nimi sterować za pomocą lin. W fabryce w Ohio zbudowali zaś tunel aerodynamiczny, gdzie weryfikowali swoje teorie na małych modelach. W 1902 r. rozwiązali problem sterowania: okazało się, że podczas pochylania skrzydeł w jedną stronę po drugiej rośnie opór i maleje prędkość, a z nią siła nośna, i płatowiec spada na ziemię. Rozwiązaniem było zamontowanie w tylnej części latawca – w tym czasie był to już szybowiec, bracia bowiem zdecydowali się latać na nim – wychylanego steru, niczym na okręcie. Nie służył on jednak do zmiany kierunku, tylko do neutralizacji niechcianego oporu.

Wówczas konstruktorzy mogli się zająć rozwiązaniem problemu silnika. W tym czasie większość samochodów była napędzana silnikami elektrycznymi albo parowymi, a te – a dokładniej „paliwo" do nich – były zbyt ciężkie. Bracia Wright zbudowali więc lekki silnik spalinowy i zamontowali przy nim dwa śmigła napędzane łańcuchami rowerowymi. Do tej pory niemal wszyscy uważali, że śmigła powinny być niczym śruby na okrętach: pękate, a krótkie. Bracia Wrightowie postąpili inaczej, zrobili bardzo smukłe śmigła, które były w gruncie rzeczy pomniejszonymi skrzydłami samolotu: silnik obracał je, a one wytwarzały siłę nośną, tyle tylko, że nie skierowaną w górę, tylko w przód.

Ich samolot – Wright Flyer, czyli „Latacz braci Wright" – wykonany był z sosnowych listew, muślinu, jedwabnych linek, miał aluminiowy silnik o mocy 12 KM i ważył ok. 274 kg. Późną jesienią 1903 r. bracia przywieźli go do Kitty Hawk i 14 grudnia wykonali pierwszy lot. Rzut monetą zadecydował o tym, że pierwszy startować będzie Wilbur. Próba nie była specjalnie udana: samolot przeleciał raptem kilkadziesiąt metrów, a lądowanie nieco go uszkodziło. Po przeprowadzeniu koniecznych napraw kolejną próbę podjęto 17 grudnia, a pilotem był Orville. O godz. 10.35 wykonał on pierwszy udany lot, trwający 12 sekund, osiągając odległość… 37 metrów. Za czwartym podejściem tego dnia Wilbur pokonał dystans 260 metrów w ciągu 59 sekund. Wyczynowi przypatrywali się świadkowie, zrobiono kilka zdjęć, ale nagły szkwał przewrócił stojący na ziemi samolot i więcej lotów w 1903 r. nie przeprowadzono.

Spory o pierwszeństwo

Bracia byli dyskretni i nie chwalili się zbytnio swoim dokonaniem. Wcześniej opublikowali kilka artykułów i zgłosili kilka patentów, więc byli znani w środowisku lotniczym, ale stawką nie była sława, lecz pieniądze. Rządy chciały dysponować powietrznymi maszynami bojowymi i przeznaczały na to całkiem duże pieniądze: urzędnicy z Waszyngtonu rozdawali granty w wysokości 50 tys. dol., ale dotychczas nie dostali latających samolotów. Wright Flyer kosztował jedynie 1 tys. dol., więc zarobek braci mógł być spory (a było to w czasach, gdy dolar był wart 20 razy więcej niż dziś).

Wrightowie kolejne lata poświęcali więc na udoskonalanie swojego wynalazku w domowym zaciszu. Tymczasem coraz więcej lotników chwaliło się przeprowadzeniem pierwszego lotu. Wszystkie te rzekome osiągnięcia okazywały się fałszerstwami, choć nie przeszkadza to w przypominaniu sobie o nich po latach i głoszeniu rzekomych sensacji. Do sfrustrowanych pionierów lotnictwa docierały wiadomości o osiągnięciach braci Wright, ale były one traktowane jako coś pomiędzy pustymi przechwałkami a grubą przesadą.

Początkowo rząd w Waszyngtonie nie chciał kupić samolotów od braci Wrightów, więc w 1908 r. Wilbur wsiadł na transatlantyk i popłynął sprzedać ulepszonego Flyera Francuzom. Ci przyjęli go sceptycznie, wierząc w swoje pierwszeństwo: w 1906 r. brazylijski Francuz Alberto Santos-Dumont przeleciał 220 metrów w 22 sekundy. Mało kto wierzył w to, że już w 1905 r. bracia Wright wykonali 39-kilometrowy lot trwający 38 minut. Co więcej, Europejczycy nie rozwiązali problemów ze sterowaniem i potrafili latać tylko prosto.

Gdy 8 sierpnia 1908 r. Wilbur wzniósł się w powietrze na lotnisku Le Mans, jego lot obserwowało klika osób. Kolejnego dnia przyszło kilka tysięcy. Wszyscy mu gratulowali i… kopiowali jego rozwiązania. W kolejnym roku nad Europą latało już kilkaset samolotów, ale Wrightowie nie mieli z tego zarobku – jedynie sławę. Wieść o europejskim sukcesie dotarła jednak do Waszyngtonu, gdzie w październiku samolot zaprezentował Orville. Wreszcie przyszła największa nagroda dla prawdziwego twórcy: pieniądze. W 1909 r. Wrightowie sprzedali posiadane patenty nowo powstałej spółce Wright Company za 100 tys. dol. gotówką, 40 proc. akcji przedsiębiorstwa wartego miliony i 10 proc. zysku od każdego sprzedanego samolotu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 31615842ca



Lata 50. XX w. / Nakręcanie izraelsko-arabskiej spirali nienawiści

Masakra na Przełęczy Skorpionów

Zaatakowany autobus

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/NATIONAL PHOTO COLLECTION OF ISRAEL, PHOTOGRAPHY DEPT. GOVERMENT PRESS OFFICE FRITZ COHEN



Piotr Zychowicz

W 1954 r. palestyńscy terroryści wymordowali pasażerów autobusu. Był to jeden z epizodów błędnego koła wzajemnych ataków i odwetów

Autobus z mozołem wspinał się pod górę. Wąska, skalista przełęcz w tym miejscu mocno się zwężała. Kierowca zredukował bieg i ostrożnie pokonywał kolejne zakręty. Był 16 marca 1954 r. Autobus izraelskiej sieci Egged przemierzał trasę z Ejlatu nad Morzem Czerwonym do Tel Awiwu.

Droga wiodła przez spaloną słońcem pustynię Negew. Przez całe godziny jedynymi śladami życia, które widzieli pasażerowie, były krążące po niebie sępy. Miejsce, przez które właśnie przejeżdżali, nosiło złowrogą nazwę Przełęcz Skorpionów. Niecałe 100 km dzieliło ich od Ber Szewy, gdzie mieli zatrzymać się na nocny przystanek.

Nigdy tam jednak nie dotarli. Nagle rozległ się huk wystrzału i brzęk tłuczonego szkła autobusowej szyby. Zza skał wyskoczyli uzbrojeni Arabowie i zasypali pojazd gradem kul. Przerażeni pasażerowie rzucili się na podłogę. Kierowca został trafiony i osunął się na fotelu. Autobus się zatrzymał.

Czterech pasażerów wyskoczyło na zewnątrz i rzuciło się do ucieczki. Zostali jednak skoszeni seriami z broni maszynowej. Dwóch napastników przeskoczyło krwawiące ciała i wdarło się do autobusu. W rękach mieli pistolety maszynowe Thompson z charakterystycznymi okrągłymi magazynkami. Broń używaną często do gangsterskich porachunków w Chicago.

Terroryści opróżnili magazynki, celując w kłębiących się na podłodze i na fotelach pasażerów. Gdy skończyły im się pociski, wyjęli rewolwery i zaczęli dobijać rannych strzałami w głowy. „Udawałam martwą – zeznała potem kelnerka Miriam Lesser. – Jeden z Arabów złapał mnie za włosy i podniósł do góry, żeby sprawdzić, czy żyję. Strzelił mi w głowę, ale nie trafił".

Na pokładzie autobusu znajdowało się dwoje dzieci. Pięcioletni Chaim przeżył, bo jeden z pasażerów, izraelski żołnierz, zasłonił go własnym ciałem przed pociskami. Gdy napastnicy wysiedli z autobusu, chłopiec wygrzebał się spomiędzy ciał i zapytał siostrzyczkę:

– Czy już sobie poszli?

Niestety, jeden z terrorystów go usłyszał. Wrócił do autobusu i wpakował dziecku kulę z rewolweru w czaszkę. W sumie na miejscu zginęło 11 osób. Dwaj kierowcy i dziewięciu pasażerów. W tym dwie kobiety. Mały Chaim został sparaliżowany i przeżył jeszcze 32 lata. Gdy umarł, uznano go za 12. ofiarę masakry na Przełęczy Skorpionów.

eprasa.pl 31615842ca



Żołnierze oddziału Meir Har-Zion, 1955 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Po zakończeniu masakry Arabowie splądrowali autobus. Z nóg ofiar ściągnęli buty, nożem odcięli palec, z którego nie chciała zejść obrączka. Zabrano damską torebkę, skrzynkę z narzędziami i walizkę. A także broń strażników jadących autobusem. Gdy po kilku godzinach na miejscu pojawiło się wojsko, po mordercach nie było śladu. Rozpłynęli się na pustyni. Trop urwał się w pobliżu granicy z Jordanią.

Atak przeżyło czworo pasażerów, którzy udawali martwych. Jeszcze długo po ucieczce Arabów ludzie ci leżeli bez ruchu między trupami. Bali się ruszyć, bo z przodu autobusu słychać było stukanie. Dopiero potem okazało się, że to noga jednej z konających ofiar miarowo uderzała o podłogę…

Pogranicze w ogniu

Mord zszokował Izrael i odbił się szerokim echem na całym świecie. Premier Mosze Szaret zwołał specjalne posiedzenie gabinetu, Izrael złożył protest w ONZ. „Ta masakra to akt wojny – grzmiała izraelska gazeta „Haboker". – Jedyną odpowiedzią naszej strony może być inny akt wojny!".

Ze względu na duże zainteresowanie światowej opinii publicznej Izrael zdecydował się jednak nie dokonywać natychmiastowego odwetu. Jak wiadomo, zemsta najlepiej smakuje na chłodno… Dopiero po kilku miesiącach pogranicze Izraela z Jordanią miało znowu zapłonąć.

Masakra na Przełęczy Skorpionów była tylko jednym z epizodów zaciekłej wojny podjazdowej, która toczyła się w południowym Izraelu w latach 1949–1956. Palestyńscy Arabowie nie pogodzili się z porażką w wojnie 1948 r., powstaniem państwa Izrael i wypędzeniem z ojczystej ziemi.

Dlatego zdecydowali się prowadzić wojnę partyzancką przeciwko okupantowi. Pod osłoną nocy uzbrojone grupy fedainów – Izraelczycy nazywali ich „infiltratorami" – przechodziły przez granicę, aby siać terror i spustoszenie. Dochodziło do napadów na miasteczka i kibuce, zasadzek drogowych, niszczenia mienia. Każdy napotkany Żyd był zabijany.

Dużą rolę w tych nocnych atakach odgrywała beduińska organizacja Czarna Ręka. Napastnicy nadchodzili zarówno ze Strefy Gazy, znajdującej się pod kontrolą Egiptu, jak i z Zachodniego Brzegu Jordanu, znajdującego się pod kontrolą Jordanii.

Izraelska armia kiepsko radziła sobie z nieuchwytnym, asymetrycznym przeciwnikiem. Palestyńczycy doskonale znali teren i byli mistrzami wojny szarpanej. Dlatego Izraelczycy zdecydowali się naśladować ich taktykę. W 1953 r. powołana została tajna Jednostka 101.

Na jej dowódcę wyznaczono młodego, agresywnego oficera Ariela Szarona. Przyszłego premiera Izraela. „Palestyńczycy muszą się nauczyć, że za zabijanie Żydów płaci się wysoką cenę" – powiedział Szaron. I wziął się do roboty. Działalność Jednostki 101 polegała na przenikaniu przez granicę (zarówno do Egiptu, jak i Jordanii) i odwetowym pacyfikowaniu palestyńskich wiosek.

Już pierwsza, „treningowa", akcja na terenie Strefy Gazy pochłonęła 20 ofiar cywilnych. I została uznana przez międzynarodowych obserwatorów za „oburzający, popełniony z premedytacją masowy mord".

Najgłośniejszą akcję Jednostka 101 przeprowadziła 14 października 1953 r. w przygranicznej wiosce Kibja na Zachodnim Brzegu Jordanu. Operacja była odwetem za zamordowanie przez Palestyńczyków Żydówki i jej dwojga dzieci. Do mieszkania Suzanne Kinyas terroryści wrzucili granat.

Dowodzona przez Ariela Szarona jednostka okrążyła Kibję, a następnie ostrzelała wioskę z moździerzy. Po wdarciu się do środka izraelscy żołnierze wysadzili w powietrzne kilkadziesiąt domów. Wraz ze znajdującymi się w środku cywilami. Innych Palestyńczyków rozstrzelano. W masakrze zginęło co najmniej 69 osób. Trzy czwarte ofiar stanowiły kobiety i dzieci.

Rozkaz Szarona

Krwawy rajd izraelskich komandosów zszokował świat. Zbrodnię potępiły zgodnie Rada Bezpieczeństwa ONZ i Departament Stanu USA. Izrael oficjalnie twierdził, że nie ma ze sprawą nic wspólnego. Według podanej przez niego wersji wioskę zniszczyć mieli spontanicznie izraelscy pracownicy z położonych po drugiej stronie granicy kibuców. Była to oczywiście nieprawda.

Ariel Szaron w swoich wspomnieniach przyznał, że Kibja miała być „odstraszającym przykładem" dla wszystkich, którzy chcieliby atakować Izrael. Młody oficer osobiście nakazał swoim ludziom, aby „zabili maksymalnie dużo ludzi i wywołali maksymalnie duże zniszczenia".

Ta palestyńsko-izraelska wymiana ciosów sprzed 70 lat może posłużyć za ciekawy temat do rozważań na temat konfliktu na Bliskim Wschodzie. Po pierwsze, wyraźnie pokazuje, że już wówczas Izrael przyjął zasadę „nieproporcjonalnego odwetu". Zasada ta jest prosta: jeżeli Palestyńczycy zabiją naszych ludzi, to my w odwecie zabijemy znacznie więcej ich ludzi.

Mszczenie się na kobietach i dzieciach jest znaczenie prostsze niż tropinie i eliminowanie terrorystów. W ten sposób– zakładali pomysłodawcy tej strategii– odstraszy się Palestyńczyków od kolejnych aktów terroru i agresji. Jak bowiem często powtarzają Izraelczycy, Arabowie rozumieją tylko język siły.

W rzeczywistości, co pokazały już tamte wydarzenia, zasada ta przynosi skutki dokładnie odwrotne do zamierzonych. Jej skutkami są gigantyczny wzrost nienawiści i kolejne krwawe akty zemsty. Dalsze nakręcanie błędnego koła wzajemnej przemocy.

Obecnie mamy rok 2024 i – jak widać – obie strony nie wyciągnęły z tego żadnych wniosków. Na Bliskim Wschodzie bez zmian.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 31615842ca

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

MELCHIOR WAŃKOWICZ W LATACH 30. XX WIEKU DAŁ SIĘ POZNAĆ JAKO ZNAKOMITY REPORTAŻYSTA. W KSIĄŻCE ZATYTUŁOWANEJ ,,NA TROPACH SMĘTKA'' ZRELACJONOWAŁ SWOJĄ PODRÓŻ PO NIEMIECKICH PRUSACH WSCHODNICH I OPISAŁ NASTROJE POLSKIEJ MNIEJSZOŚCI. PIERWSZE WYDANIE Z 1936 ROKU SPRZEDAŁO SIĘ NA PNIU, DLATEGO POTRZEBNE BYŁY KOLEJNE. GDY WE WRZEŚNIU 1939 ROKU WOJSKA NIEMIECKIE WKROCZYŁY DO BYDGOSZCZY, NOWA EDYCJA BYŁA WŁAŚNIE PRZYGOTOWYWANA.



WAŃKOWICZ WIEDZIAŁ, ŻE JEST POSZUKIWANY, DLATEGO POKONAŁ WPŁAW DNIESTR BY DOSTAĆ SIĘ DO RUMUNII. STAMTĄD EWAKUOWANO GO NA CYPR, A PÓŹNIEJ DO PALESTYNY. DOŁĄCZYŁ DO ARMII ANDERSA, ZOSTAJĄC KORESPONDENTEM WOJENNYM PRZY II KORPUSIE. JEGO NAJWAŻNIEJSZYM DZIEŁEM JEST ,,BITWA O MONTE CASSINO'', W KTÓREJ SZCZEGÓŁOWO OPISAŁ PRZEBIEG WALK I RELACJE POLSKICH ŻOŁNIERZY.



PO WOJNIE NIE WRÓCIŁ DO POLSKI. PRZEBYWAŁ WE WŁOSZECH I ANGLII, A PÓŹNIEJ W USA, GDZIE MIESZKAŁA JEGO CÓRKA. NA STAŁE DO POLSKI WRÓCIŁ DOPIERO W 1958 ROKU. ZACZĘTO WÓWCZAS TEŻ PUBLIKOWAĆ W KRAJU JEGO STARSZE I NOWSZE KSIĄŻKI.

W 1964 ROKU PODPISAŁ WRAZ Z INNYMI PISARZAMI I INTELEKTUALISTAMI ,,LIST 34'' SPRZECIWIAJĄCY SIĘ OGRANICZENIOM W PRZYDZIAŁACH PAPIERU ORAZ ZAOSTRZAJĄCEJ SIĘ CENZURZE. WAŃKOWICZ PRZEKAZAŁ INFORMACJĘ O ,,LIŚCIE 34'' NA ZACHÓD, DZIĘKI CZEMU POINFORMOWAŁO O NIM RADIO WOLNA EUROPA. PONADTO POPRZEZ AMBASADĘ USA WAŃKOWICZ PRZESŁAŁ CÓRCE LIST Z MEMORIAŁEM KRYTYKUJĄCYM SYTUACJĘ W POLSCE. TO DAŁO PRETEKST WŁADZOM PRL, ABY 5 PAŹDZIERNIKA 1964 ROKU ARESZTOWAĆ PISARZA I POSTAWIĆ MU ZARZUTY. JEGO OBROŃCĄ ZOSTAŁ MECENAS JAN OLSZEWSKI.



JUŻ 10 LISTOPADA OGŁOSZONO WYROK SKAZUJĄCY WAŃKOWICZA NA 3 LATA POZBAWIENIA WOLNOŚCI, JEDNOCZEŚNIE NA MOCY AMNESTII SKRACAJĄC GO O POŁOWĘ. ZWOLNIONO GO Z ARESZTU. WŁADZE LICZYŁY NA TO, ŻE PISARZ BĘDZIE SKŁADAŁ APELACJĘ, JEDNAK WAŃKOWICZ NIE MIAŁ TAKIEGO ZAMIARU.



MELCHIOR WAŃKOWICZ ZMARŁ 10 WRZEŚNIA 1974 ROKU. DOPIERO 16 LAT PÓŹNIEJ, JUŻ W WOLNEJ POLSCE, OCZYSZCZONO GO Z ZARZUTÓW W WYNIKU PROCESU REHABILITACYJNEGO. ,,W 50. ROCZNICĘ OD JEGO ODEJŚCIA SEJM RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ USTANAWIA ROK 2024 ROKIEM MELCHIORA WAŃKOWICZA – NIEPOKORNEGO, ODWAŻNEGO, WNIKLIWEGO DZIENNIKARZA, PISARZA I REPORTAŻYSTY, BĘDĄCEGO WZOREM I SYMBOLEM POLSKIEGO DZIENNIKARSTWA'' – NAPISALI POSŁOWIE W UCHWALE Z LIPCA 2023 ROKU.

eprasa.pl 31615842ca

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”

+ W PREZENCIE KSIĄŻKA **MAREK A. KOPROWSKI: „MORD NA WOŁYNIU”**

Mord na Wołyniu. Zbrodnie ukraińskie w świetle relacji i dokumentów

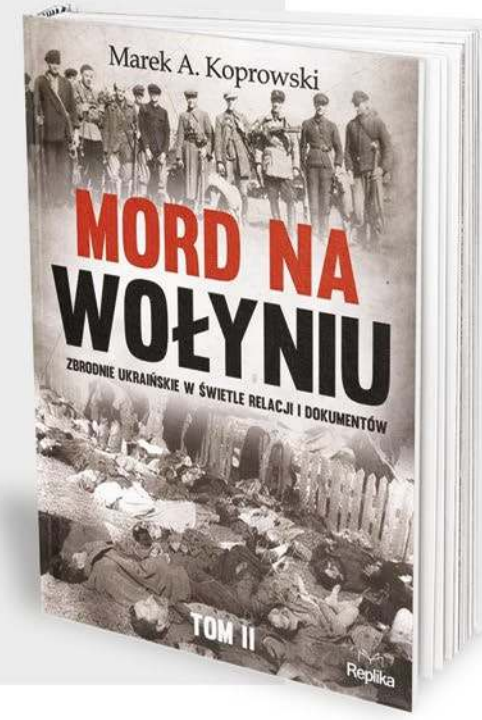
Pełna historia tragedii wołyńskiej – kolejna odsłona

Niniejsza książka opowiada o ostojach polskości podczas rzezi wołyńskiej – największych ośrodkach samoobrony. Tworzone ad hoc stały się azylem dla Polaków, starających się uchronić przed wyrżnięciem. Ukraińscy nacjonaliści skazali ich bowiem na eksterminację. Na dowód autor przytacza opisy ukraińskich zbrodni, które rozszalały się na Wołyniu i które zmusiły Polaków do utworzenia samoobrony w miastach.

Nie wszyscy zdołali się w nich schronić. Ci, którym się to udało, stali się świadkami zwyrodniałych mordów. Ukraińcy nie chcieli pozostawiać świadków, dlatego też z zaciekłością atakowali miasta. Nie zrezygnowali nawet wówczas, gdy ziemia drżała już od wystrzałów armat, zwiastując nadejście Sowietów.

Na północno-wschodnim Wołyniu sytuacja była jeszcze bardziej skomplikowana. Tutaj Polacy, broniąc się przed Ukraińcami, musieli balansować między Niemcami a silnymi zgrupowaniami partyzantki sowieckiej. Ich dowódcy nie ukrywali, że traktują Wołyń jako część Związku Radzieckiego. Jakikolwiek sojusz i współpraca mogły mieć tylko charakter czasowy i taktyczny.

Autor poświęca tej sprawie dużo uwagi, cytując sowieckie dokumenty, szyfrówki i rozkazy. Podobnie jak w pierwszym tomie, przywołuje unikatowe dokumenty ukraińskie oraz relacje, wspomnienia i pamiętniki świadków, którzy na własne oczy widzieli tamte wydarzenia.



153 zł

oszczędność 42 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO sp. z o.o.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 31615842ca

SENSACYJNA, OPARTA NA FAKTACH

KULISY GŁOŚNYCH SPRAW I ARESZTOWAŃ

WSTRZĄSAJĄCE RELACJE

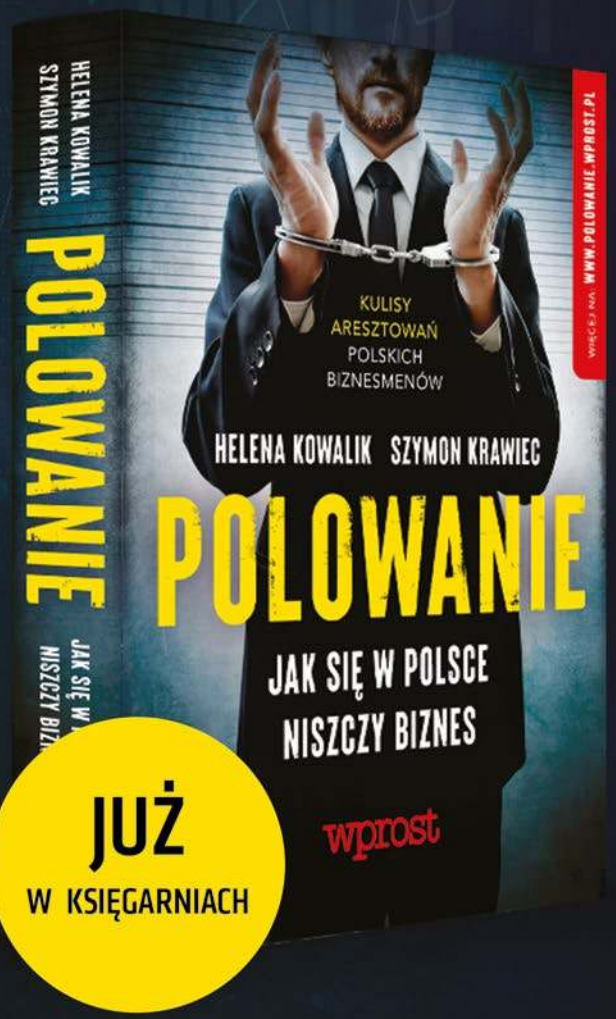
ROZMOWY Z EKSPERTAMI I LUDŹMI Z WYMIARU SPRAWIEDLIWOŚCI

PONAD 500 NAZWISK I FIRM

AUTORAMI SĄ DOŚWIADCZENI DZIENNIKARZE ŚLEDCZY

Bezprawne areszty, popisowe zatrzymania, stawianie zarzutów bez pokrycia w dowodach. Tasiemcowe rozprawy sądowe, prawdziwe historie o twardym zetknięciu się z więziennymi realiami.

Bohaterami tej książki są ludzie sukcesu, rozpoznawalni biznesmeni z pierwszych stron gazet, jedni z najbogatszych Polaków, którzy w jednej chwili znaleźli się w środowisku zupełnie dla siebie obcym, znanym im dotąd jedynie z filmów kryminalnych.



JUŻ W KSIĘGARNIACH



Zamawiając książkę wraz z PDF na stronie

KSIAZKA.WPROST.PL

Otrzymasz gratis praktyczny poradnik stworzony w oparciu o porady adwokatów i osobiste relacje osób zatrzymanych.
W przypadku chęci zakupu większej liczby książek, prosimy o kontakt
+48 539 953 631 , +48 508 040 664

PARTNERZY:

Polska Rada Biznesu · ZPP · WEI · Fundacja Court Watch Polska · Fundacja Pomysł o Przyszłości · Comparic.pl · My Company Polska · Towarzystwa Biznesowe · BRIEF

eprasa.pl 31615842ca